

KHANIS

PATRYK WAŚKOWSKI



Patryk Wańkowski

Khanis - dzieje Hazana

© Copyright by Patryk Wańkowski 2020

ISBN 978-83-7564-597-2

Wydawnictwo My Book

www.mybook.pl

Publikacja chroniona prawem autorskim.

Zabrania się jej kopiowania, publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży bez zgody Wydawcy.



Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Podziękowania](#)

[Początek](#)

[Ucieczka](#)

[Szkolenie](#)

[Egzamin](#)

[Koniec szkolenia](#)

[Misja zwiadowcza](#)

[Klasztor](#)

[Morze dolne](#)

[Inicjacja](#)

[Tajemnicza wyspa](#)

[Przeszłość](#)

[Nowy cel](#)

[Zmagania](#)

[Coś się kończy, coś się zaczyna](#)

[Wielkie wody](#)

[Nieznane ziemie](#)

[Tajemna akademia](#)

[Przygotowania](#)

[Odwieczny konflikt](#)

[Zjednoczenie sił](#)

[Czas przepowiedni](#)

Serdecznie dziękuję za wsparcie mojego pomysłu:

- 1.Efiksowy
- 2.PAULINA DD
- 3.Krystek od MrKryha
- 4.Paulina
- 5.wujek600
- 6.Mateusz Ostapiuk

Okładkę wykonał:
Mariusz Waszak

Wstępnie zredagowała tekst:
Monika Łasińska

Zapraszam do przeczytania mojej opowieści

Początek

– Hazanie, wstawaj, już czas! Świnie same się nie nakarmią! – ryknął agresywny głos z drugiego pomieszczenia.

Przeklęty okres żniw. Życie na wsi znacznie się zmieniło po królewskim pakcie. Jest o wiele bezpieczniej. Musiało minąć sporo czasu, zanim możni tego świata zrozumieli, że wojny są złe, bardzo złe. No, ale to nie oznacza lenistwa – wręcz przeciwnie. Jeszcze teraz, gdy są żniwa, pomyślał chłopak, wygrzebując się z łóżka.

Dzień już od początku był gorący. Dębowa łąka to piękne miejsce z małym lasem i żyzną ziemią. Rządzi tutaj sołtys Herman, starszy jegomość o ciepłym sercu. Zawsze jest starannie ubrany. Raczej niskiego wzrostu. Ma długie, siwe włosy i brodę starannie przyciętą. Są tutaj tak naprawdę tylko trzy rodziny: Sołtys z żoną Zorą oraz ich córką Madi. Rodzina zachodnia: Naron z żoną Elzą i dziećmi – Rolą, Franem, Mitem i Hazanem. Natomiast rodzina wschodnia składała się z Joela i Tirany oraz Aspaita, Roba i Awaidy. Cała ziemia należy do Hermana. Mężczyźni zajmują się niewielką trzodą i polem, a kobiety pracami domowymi. Najbliższy ośrodek miejski to Twierdza Rowińska, oddalona o cztery godziny drogi pieszo. Tam właśnie trafia całe zboże oraz mleko.

– Dobra, Hazanie, ja już tutaj dokończę, a ty idź przygotuj sierpy – powiedział ojciec.

Ten człowiek widział wiele podczas szóstej wielkiej wojny. Czasem wydaje się, że zapomniał, co to radość, ale w gruncie rzeczy jest dobrym człowiekiem. Ewidentnie robi wszystko, co w jego mocy dla dobra rodziny. Jego ciało, choć duże, nosi już ślady wyczerpującego życia. Często chodzi w roboczych ciuchach. Ma rozwichrzone włosy i brodę. Hazan to jego najmłodszy, szesnastoletni syn. Jest mocno umięśniony, pewnie dlatego, że je za dwóch. Chłopak jest typem marzyciela, ale raczej nie dzieli się swoimi przemyśleniami.

Hazan wychodząc z stajni, zauważył Mita, najstarszego brata. Wraz z Franem znosił narzędzia na pole. Obaj szczupli i wysocy, byli do siebie bardzo podobni. Mit miał dziewiętnaście, a Fran osiemnaście lat. Starszy miał raczej ciemne włosy, młodszy jasne. Głównie po tym się ich odróżniało.

– Hej, czekajcie! – zawołał chłopiec i dołączył do braci.

– Słyszeliście? Rano matka nie mogła dobudzić Roli. Chyba znowu jest chora – powiedział Mit.

– Tak, słyszałem, ale myślałem, że po prostu znowu ma humorki. Jak tak dalej pójdzie, to nasza matka się zatyra – odparł Fran.

– To silna kobieta, na pewno da sobie radę – wtrącił Hazan.

Pole było oddalone od domu jakieś pięć minut drogi. Cała część, za którą była odpowiedzialna ich rodzina, miała około jedenastu miar. Podobnie jak część rodziny wschodniej. Co prawda sołtys nie ma takiego obowiązku, ale zawsze członkowie jego gospodarstwa pomagali chłopom. Szczególnie w tak ciężkim okresie.

Hazan miał nadzieję, że dzisiaj Madi trafi do jego części pola. Ta piętnastoletnia dziewczyna jest niezwykle piękna. Ma długie jasne włosy, niebieskie oczy, ciemną karnację i zawsze uśmiech na twarzy. Hazan nie potrafi się jej oprzeć. Często marzy o tym, aby uciec z nią gdzieś daleko, zacząć zupełnie inne życie, ale nie ma odwagi jej tego powiedzieć. Stara się ciężko pracować, w nadziei, że to jej zaimponuje.

Tym razem miał szczęście. Mniej więcej po godzinie usłyszał jej kroki. Madi roznosiła wodę, a dzień był wyjątkowo gorący. Każde spojrzenie na nią, jej zapach i uśmiech dawały chłopcu siłę do pracy.

– Cześć, Hazanie! Weź, proszę, trochę wody – powiedziała Madi, podając mu bukłak.

Zmieszany chłopak wziął duży łyk i ukradkiem podziwiał piękno dziewczyny.

– Dziękuję bardzo. – To jedyne, co z siebie wycisnął.

– Nie ma za co, uważaj na siebie! – odpowiedziała i pobiegła dalej.

W sumie już widać koniec. Został jeszcze tydzień, może dwa tej harówki. Potem będzie można trochę odpocząć i wybrać się do twierdzy, by nieco zabalować. Może uda się wyciągnąć Madi, i kto wie... – marzył chłopak.

Gdy tak sobie rozmyślał, nagle usłyszał krzyk:

– Śniadanie! Chodźcie coś zjeść!

To był ojciec. Rola przyniosła chleb z serem. Na szczęście siostra okazała się jednak zdrowa. Była bardzo podobna do matki. Miała długie, czarne włosy i była niska. Poranne problemy to tylko objawy przemęczenia.

Jak zwykle o tej porze wszyscy milczeli. Byli zajęci swoją porcją jedzenia. Czas biegł od przerwy do przerwy i jakoś dzień zleciał. Zawsze lepsza praca w spokoju niż okrucieństwo wojny. Te ziemie nie raz były rozgrabione i palone. Kiedyś było tu o wiele więcej rodzin, a wioska nawet miała swój magazyn. Przechodzące tędy wrogie wojska i dezercerzy zrobili swoje. Rodzina Hazana wprowadziła się tutaj kilka miesięcy temu wraz z rodziną zachodnią na rozkaz króla. Wcześniej mieszkali w wiosce oddalonej o trzy dni drogi na wschód. Szczęśliwie za życia dzieci było już spokojniej. Jak tylko tu przybyli, szybko zbudowali drewniany dom. Nie jest to wielka chata, jak na taką rodzinę. Składa się z dwóch niewielkich pokoi oraz jednego większego. Ponadto postavili stodołę dla trzech świń i krowy, które sprowadzili z sobą.

Teraz, gdy jest pakt królewski, chłopcy już nie chodzą głodni, a nawet pojawia się perspektywa odłożenia trochę miedziaków. Otwiera się coraz więcej szkół w dużych miastach. Może rzeczywiście nastanie obecnie czas rozwoju. Ciekawe, jak świat będzie wyglądał za dziesięć, piętnaście lat. Może nie będzie trzeba tak tyrać.

– Dobra, chłopcy, trzeba wrócić do pracy, bo noc nas dogoni – stwierdził ojciec.

Niechętnie, ale niemalże natychmiastowo wszyscy wrócili do pracy. Dalsza część

dnia była wyjątkowo nudna i długa, aż w końcu rozległ się dźwięk dzwonka, oznaczający koniec pracy. Wszyscy pospiesznie zebrali narzędzia i wrócili do domu, gdzie czekała na nich kolacja – zupa cebulowa, specjalność mamy. Po posiłku zaczęło się robić ciemno za oknem. W tym czasie noc nie była nazbyt długa. Wszyscy zmęczeni dniem i świadomi tego, co ich jutro czeka, jak najszybciej położyli się do łóżek.

– Cholera, ale wyją! Mam nadzieję, że szybko skończą – zaczął narzekać Mit.

Niedaleko w lesie mieszkają wilki i choć normalnie są spokojne, to dzisiaj wyjątkowo wrzeszczą. Może to dlatego, że niedługo powinna być pełnia. Tyle szczęścia, że wilki raczej boją się ognia i nie atakują zwierzyny hodowlanej. Nim zdążyli się wszyscy dobrze zdenerwować na hałas, usnęli ze zmęczenia.

– Jeszcze tylko dziś i jutro już niedziela, trochę odpoczniemy – stwierdził ojciec.

Z kuchni dobiegały rozmowy, które obudziły Hazana. Może powinienem jej powiedzieć, co czuję, ale jak to zrobić? – rozmyślał.

– A ty, leniu, jeszcze w łóżku! – zawołał poirytowany Fran. – Wstawaj z wyra i wynocha przygotować sierpy! Szybciej zaczniemy, szybciej skończymy – dodał.

Chłopak bez słowa wstał i poszedł do szopy.

Gdy dostanę miedziaki od ojca, to będę mógł zaprosić Madi do miasta. Jeśli się zgodzi, to wszystko jej powiem, postanowił.

Dzień był bardzo gorący i piękny, aż szkoda go marnować na pracę w polu. Sobota jest w tej wsi ostatnim dniem pracy w tygodniu. Niedziela to czas zarezerwowany na modlitwy w świątyni i odpoczynek. Wtedy rodziny mają też chwilę dla siebie i przyjaciół. Przeważnie towarzyszy temu wystawny obiad, szczególnie na wsi, gdzie każdy każdego zna.

Nagle Hazan usłyszał kroki. Przekonany, że to Madi, pełen nadziei odwrócił się z uśmiechem na ustach. To jej matka.

– Napij się, proszę, wody – powiedziała Zora i szybko poszła dalej. Była też ciemnej karnacji, jak Madi, natomiast miała ciemne włosy i zielone oczy. Była wysoka.

Skoro tutaj jest jej matka, to znaczy, że Madi jest po drugiej stronie pola. Wprawdzie go to w złość, ponieważ był zazdrosny o Roba. Ten przystojny dwudziestoletni chłopak zawsze żartował sobie z dziewczyną. Same diabły oraz złe bogi wiedzą, co z nią robił.

Wściekły pracował szybciej, a i czas szybciej mu mijał. Zanim się obejrzał, Rola przyniosła jedzenie, a niedługo potem nastał wieczór.

Przy kolacji wszyscy jakoś dziwnie milczeli. Hazan czuł się jakby we śnie, jednak z powodu zmęczenia nie myślał o tym. Wilki były dzisiaj jeszcze głośniejsze, pomimo że księżyc nie osiągnął wciąż pełni. Łóżko było jakoś dziwnie wygodne, a powieki ciężkie.

Ogień wszędzie, wszystko dookoła płonie. Ojciec i matka leżą w kałuży krwi. Co się dzieje? Nasza wioska została zaatakowana, czy to gniew boży? Pomocy! Kto to woła? To Madi, coś ją goni. Coś jakby pies z ludzką twarzą, niezwykle szpetną, i kłami jak sierpy, muszę jej pomóc. Co? Dlaczego nie mogę się ruszyć? To coś zaraz ją dopadnie. Nie wiadomo skąd pojawił się tajemniczy stwór, wielki na co najmniej dziesięć stóp i szeroki jak stodoła. Ubrany w czarną zbroję i futro z niedźwiedzia. Na jego kolanach były czaszki, na głowie hełm z byczymi rogami, a do przedramion miał przyłączone niedźwiedzie pazury. W jego ręku błyszczał ogromny miecz z dziwnymi znakami. Oczy płonęły mu na czerwono. Nagle odwrócił się w moją stronę i powiedział: „Na co czekasz? Właśnie uwalniam cię od twoich słabości. Uciekaj! Odkryj, kim jesteś, znajdź moc i stań do wojny!”

Hazan wybudził się zlany potem. To tylko senny koszmar, pomyślał. Rozejrzył się dookoła i zobaczył, że za oknem jest jeszcze ciemno. Wilki wyły, jakby walczyły o przetrwanie. Jednak zmęczenie zrobiło swoje.

Rano w całym domu unosił się zapach chleba i ciasta. Matka była wybornym piekarzem, rodzina wschodnia miała przednie mięsa, a sołtys wyszukane wina. Podział, kto co przyniesie na obiad, był oczywisty. Ponieważ tradycja nakazywała milczenie przed obrzędami, w domu panowała cisza i wszyscy porozumiewali się na migi. Aż przyszedł czas, żeby udać się do świątyni. Mała kapliczka była oddalona o godzinę drogi. Wszyscy ubrani w odświętne stroje wyruszyliśmy z poważnymi minami.

Na miejscu była już rodzina sołtysa oraz – co ważniejsze – Madi. Wszyscy zajęli swoje miejsca. Po chwili wszedł kapłan, ubrany w pomarańczowe szaty i kaptur, aby rozpocząć obrzędy. Podszedł do ołtarza Al-ramona – boga plonów i bydła. Jednym słowem wszystkiego, co wiejskie. Złożył na nim trochę nasion oraz kawałek mięsa, po czym zapalił świecę. W milczeniu wrócił na swoje miejsce, gdzie miał oczekiwać rozkazów od boga. Wszyscy w tym czasie błagali o urodzaj. Po kilkunastu minutach kapłan wstał.

– Miła jest Al-ramonowi nasza ofiara – powiedział.

Na twarzach zebranych zagościł uśmiech, bowiem znaczyło to powodzenie w pracy.

Po powrocie do domu wszyscy ubrali się w nieco luźniejsze ubrania i zgromadzili się w domu sołtysa.

– A ty co cały czas chodzisz z posępną miną? – zapytał Fran Hazana.

– A nic, tak tylko się zamyśliłem. – Miał ciągle w głowie ten dziwny sen i tę postać w czerni.

– I tak nic nie zdziałasz, jeśli jej nie powiesz – stwierdził brat z szyderczym uśmiechem.

– To nie czas na miłostki, kiedy tyle pracy – odpowiedział zmieszany.

– Daj spokój, chyba wszyscy widzą, jak robisz maślane oczy. Wszyscy oprócz niej – zaszydził Fran.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Poza wódeczką nie ma dla ciebie rozrywki – odpowiedział poirytowany chłopak.

– Dorośniesz, to zmądrzejesz! – dodał brat.

Choć zabawa trwała w najlepsze, Hazan siedział gdzieś z boku i rozmyślał: a co jeśli to nie był tylko sen, a jakiś istotny znak? Kim była ta postać? Opis trochę pasuje do niedźwiedziego boga – wielkiego wojownika, który według podań, sam wybił całą armię. Jednak w żadnym z nich nie miał miecza. Poznaj swoją moc? Ale jaką moc, jestem tylko człowiekiem. To musiał być wytwór mojej wyobraźni. Nic w tym śnie nie ma sensu.

Wykorzystując moment zamętu wśród uczestników spotkania, Hazan najpierw przeliczył miedziaki, jakie mu pozostały, a następnie podszedł do Madi.

– Mamy dzisiaj piękny dzień, może wybralibyśmy się na spacer? – zaproponował.

Madi w pierwszej chwili się trochę zmieszała i odpowiedziała:

– Jeśli chcesz, to bardzo chętnie!

Nie mówiąc nic nikomu, oddalili się od domu i poszli w stronę drogi.

– Powiedz mi, jak się dzisiaj czujesz? – zapytał młodzieniec.

– Dobrze, w końcu mamy dzień wolny – odpowiedziała dziewczyna. – Pewnie jest ci ciężko pracować całe dni dla mojego ojca.

– Nie jest tak źle, można się przyzwyczaić – odpowiedział trochę zakłopotany.

W jednym momencie spojrzeli sobie w oczy i powiedzieli:

– Widzę, że coś cię gryzie.

Na początku rozbawiła ich ta sytuacja.

– Jesteś kobietą, więc zacznij, a ja cię wysłucham.

– Miałam dzisiaj niepokojący sen – zaczęła, a mina chłopaka natychmiast spoważniała. – Widziałam starca z wielką białą brodą i długimi włosami, ubranego w białe szaty. Na jego piersi był symbol, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Byliśmy na skraju lasu, w nocy. Niewiele było widać, ale czułam obecność wielkiego zła w pobliżu. „To od ciebie zależy przyszłość świata. Czeka cię straszliwa próba, a jej powodzenie jest kluczowe dla przetrwania nas wszystkich. Musisz zachować silną wolę pomimo tortur albo będziemy zgubieni”, powiedział mędrzec. Wtedy obudziłam się w środku nocy, złana potem.

Hazan złapał Madi za rękę, ona spojrzała w jego oczy.

– Nie martw się, jakoś damy radę.

– A ty? Co ciebie trapi?

Młodzieniec zwiesił głowę i opowiedział jej swój sen oraz opisał dokładnie wygląd czarnej postaci i jej słowa.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Wtedy Madi powiedziała, uśmiechając się:

– A może jesteśmy wybrani przez bogów do wielkich rzeczy?

– Co złego może się stać? – zapytał Hazan. – Na świecie nie ma już wojen, dzisiaj zostało nam przekazane błogosławieństwo. Czego więc mamy się bać? – wyjaśnił, pytając.

– Masz rację – odpowiedziała dziewczyna. Złapali się za ręce i poszli dalej.

Mijali piękne zielone drzewa z obu stron drogi. Towarzyszył im śpiew ptaków, a delikatne słońce ogrzewało ich ciała. Hazan czuł się jak w niebie. To była prawdziwa nagroda za jego pracę. Po chwili doszli do stajni, należącej do starszego człowieka imieniem Gadryk.

– Masz ochotę pojeździć konno? – spytał chłopak.

– Jasne! – odpowiedziała Madi.

Hazan zapukał do drzwi.

– Dzień dobry! Czy możemy trochę pojeździć?

– Nie ma sprawy! – odpowiedział właściciel stajni i zabrał opłatę z rąk chłopca.

Następnie wyprowadził dwa osiodłane czarne konie i dał młodej parze.

Gdy tylko wyjechali za ogrodzenie, Madi zaproponowała:

– Pościgajmy się! Kto pierwszy do tego dużego drzewa po lewej!

Ogarnięci entuzjazmem, popędzili konie bez opamiętania. Jeśli przegram, to wstyd, bo przegrałem z kobietą, a jak wygram, to może być smutna, myślał chłopak i po chwili wpadł na najlepsze rozwiązanie.

– Całkiem nieźle jeździsz, udało ci się nawet ze mną zremisować – stwierdziła z uśmiechem.

– To dla mnie zaszczyt! – odpowiedział chłopiec z wielkim uśmiechem na twarzy.

Po chwili beztrudnej zabawy odprowadzili konie do stajni. Złapali się za ręce i poszli do wioski.

– Wiesz, Madi, dziękuję, że się zgodziłaś – powiedział Hazan.

– Na co? – zapytała.

– No wiesz, na spacer ze mną – odpowiedział trochę zakłopotany.

– Ha, ha! To ja dziękuję, bardzo miło spędziłam z tobą czas – i szeroko się do niego uśmiechnęła.

Oczy chłopaka zapłonęły. To był płomień nadziei, poprzysiągł w swoim sercu, że zrobi wszystko, aby była jego dziewczyną.

Po chwili wędrówki wrócili do rodzin, które wciąż jadły i piły. Hazan miał nawet wrażenie, że nikt nie zauważył ich zniknięcia. Usiadł na swoim miejscu i puścił wodze fantazji. Marzył o tym, jak zabierze Madi w daleką podróż. Tylko ona i on. Ta wizja napawała go wielkim szczęściem. Widział, jak razem żartują, przygotowują sobie jedzenie, wspólnie spacerują... Jego błogie wyobrażenia przerwał głos matki. Tak minęło zebranie i wraz z rodziną wrócił do domu.

– Coś słabo się czuję – powiedziała Rola i poszła do łóżka.

– Te wilki dzisiaj znowu wyją jak opętane! – powiedział Mit, spoglądał przez okiennicę.

– Chyba jest pełnia – stwierdził ojciec.

Hazan wyszedł do chlewu nakarmić zwierzęta. Po dłuższej chwili usłyszał krzyki. Wybiegł i zobaczył przed domem zakrwawione ciała rodziców i ogień dookoła. Deja vu, pomyślał. Wszystko wyglądało jak w jego śnie. Chwycił za sierp i wpadł do domu.

zobaczyć, co z rodzeństwem. Zastał martwą Rolę z dziwnymi wrzodami na całym ciele. Następnie zobaczył dwa zgniłe ciała. To na pewno Mit i Fran. Instynktownie wybiegł z płonącego domu z sierpem w ręku. Zobaczył Madi w szponach bestii, dokładnie tak, jak to wyśnił. Chcąc za wszelką cenę jej pomóc, wpadł na człekokształtnego stwora. Zrobił unik i jak opętany walczył swoim sierpem. Czuł się, jakby to nie on władał ręką. Może to gniew, a może strach przed utratą ukochanej walczył za niego i sprawił, że sierp ściął głowę przeciwnika. Gdy się obejrzał, zobaczył już tylko zgliszcza wioski i ani śladu swojej ukochanej. Po polu biegały bestie. Jedyne ratunek to ucieczka do lasu.

Ucieczka

Chłopak popędził co sił w nogach, szukając schronienia w lesie. W rękę wciąż ścisnął mocno sierp, a do oczu zaczęły napływać mu łzy. Było ciemno i głucho. Czasem tylko słyszał uciekające ptaki. Pierwsza myśl to ucieczka do świątyni. Las był dobrze oświetlony przez agresywne światło księżyca. Nie wiadomo, co czai się w mrokach. Nagle jego oczom ukazał się dym. Świątynia spłonęła, a przed nią nabito na pal kapłana z odciętą głową. Chłopak postanowił zajrzeć do środka. Ławki były porozwalane, a ołtarz rozbity na dwie części. Wokół niego widniały demoniczne znaki nakreślone krwią. Wyglądało to jakby odbył się tutaj jakiś czarny rytuał. Hazan nic z tego nie rozumiał i rozumieć nie chciał. Instynkt przetrwania brał górę nad uczuciami i chłopak wybiegł.

Czy to apokalipsa? A może bogowie zniszczenia dostali się na ziemię i rozesłali swoje demony? Jedyne ślady, jakie chłopak znalazł, to ślady kopyt. Do zbrodni doszło niedawno, więc te bestie mogą ciągle gdzieś tu być. Walka nie wchodziła w grę. Sierp to marny oręż.

Wszystkie drzewa wyglądały tak samo. Każdy obrany kierunek mógł być już tym ostatnim. Co jakiś czas było tylko słychać wrzask mordowanego człowieka. Hazan modlił się, aby nikt go nie zauważył, i szedł przez las.

Kolejna myśl to twierdza. Był już środek nocy, do warowni cztery godziny drogi pieszo, biegiem może godzina. Strach i emocje robią swoje. Chłopak pędził najszybciej, jak potrafił. Nagle coś w niego uderzyło. Serce podeszło mu do gardła. Odruchowo użył sierpa. To tylko sarna, w razie czego będzie, co jeść, pomyślał. Szybko odciął kawał mięsa, schował do torby i pobiegł dalej. Wszędzie było pełno krwi zwierzęcia. A co jeśli te psy mnie wyczują? – pomyślał. Teraz już niewiele z tym zrobi, ale przynajmniej będzie miał jakieś zapasy. Ujadanie bestii zaczęło rozchodzić się echem w lesie. Jakby się komunikowały, czegoś szukały...

– Tylko cud może odmienić mój los – powiedział do siebie i pędził w stronę twierdzy.

Chwilę potem usłyszał odgłosy bitwy. Przed twierdzą było pęknięcie w ziemi. Z jego wnętrza wydostawała się niezliczona ilość bestii, które atakowały zrozpaczonych obrońców. Nieopodal krateru stała postać ubrana w czarne szaty i kaptur. Wydawała się rozkazywać stworom. Jedną ręką wywoływała demony z dziury, a drugą nawoływała do ataku. Mur był w rozsypce, a z twierdzy dobiegał wrzask. Straż miejska dzielnie walczyła przy bramie. Ich celem raczej nie było zwycięstwo, a godna śmierć. Bestie wychodzące z krateru przyjmowały rozmaite kształty. Ich posłuszeństwo wobec zakapturzonej postaci musiało być skutkiem działania jakiejś magii. Po dokładniejszym

przyjrzeniu się Hazan zauważył coś dookoła krateru. Znaki wyrysowane świeżą krwią przypominały te z świątyni.

Nic tu po mnie. Tutaj jest tylko śmierć – wpadło mu do głowy. Wiedział, że stosunkowo blisko jest stolica, ale dojście do niej wiąże się z przetrwaniem w lesie kilku dni. Może te potwory mogą atakować tylko nocą? – pojawiła się nadzieja w jego głowie. Może dołączę do grupy uchodźców zmierzających do stolicy. Na pewno nie jestem jedynym ocalałym.

Niedługo powinno się rozjaśnić. Niewiele miał do stracenia – jego ekwipunek składał się z sierpa i kawałka sarniny. Kiedyś ojciec opowiadał mu, jak dostać się na szklak handlowy, a z niego do stolicy. Starając się pozostać niezauważony, ukrywał się za drzewami. Gdy tak szedł, sytuacja się nieco uspokoiła i zaczęło się rozjaśniać. To cud, że przeżył. Opadły emocje i zaczęły wracać obrazy. Widok rodziny, ich ciała przyprawiał Hazana o dreszcze. Do tego Madi... Czuł rozpacz, a jego życie legło w gruzach. Obok nieopisanego żalu pojawiły się gniew i żądza zemsty. Kto był odpowiedzialny za tę rzeź? Ta postać koło twierdzy wyglądała jak człowiek. To pierwsze pytanie w jego głowie, drugie: jak zgładzić winnych? Chłopak poprzysiągł poznanie prawdy o dziewczynie. No i jej sen – musiał mieć znaczenie...

Hazan szedł niestrudzenie cały dzień bez odpoczynku. Pograżony w przemyśleniach i smutku, nie zauważał nawet zmęczenia. Co jakiś czas widział lub słyszał dzikie zwierzęta. Lasy wyglądały, jakby nic się nie stało. Poza małymi wyjątkami niedojdzonych zwłok. Nigdzie jednak nie było widać truchła bestii. Jakby rozplynęły się w powietrzu. Albo, co gorsza, żadna z nich nie poległa.

Pośród wielu kłębiących się myśli w jego głowie i pytań bez odpowiedzi jedna była najważniejsza: gdzie jest Madi i jak ją odzyskać? Te psy to na pewno stworzenia drapieżne. Skoro ją ciągnęły, ale nie zabiły, to znaczy, że miały taki rozkaz. Podobnie jak stworzenia przy twierdzy. Nieważne, dokąd i w jakim celu ją porwali. Będę jej szukał, postanowił. Dopóki ona żyje, szczęście jest możliwe.

Zaczęło się ściemniać, a chłopak był wyczerpany. Po drodze nie spotkał żywej istoty. Nazbierał chrustu i rozpałił ognisko. Następnie przygotował mięso. Część zjadł, a część zachował. Usiadł przed ogniskiem i wpatrywał się w ogień. W jego głowie wracały wrzaski ludzi. Przed oczami miał palące się domy swojej wsi. Te wydarzenia odbiły się nieodwracalnie na jego duszy. Tylko wola bogów może go uleczyć.

Obudził się cały zlany potem. To przez koszmary. Śniło mu się poszarpane ciało Madi. Niemalże czuł jej ból. Sen, który niegdyś miał, spełnił się całkowicie, poza jednym szczegółem. Brak osoby w czarnej zbroi. Co miały znaczyć jego słowa? Teraz już wiedział, że one nie są przypadkowe. Czy miał szansę zapobiec tragedii? Nic nie wskazywało na tak wielki kataklizm. Ciekawe, jak jest w innych miejscach na ziemi. „Uwalniam cię od twoich słabości”. Czy to właśnie ta postać sprowadziła na nas nieszczęście, a słabością nazwała rodzinę i miłość do Madi? „Odkryj, kim jesteś, znajdź moc i stań do wojny”. Jestem tylko wieśniakiem, synem wieśniaka. Jestem silniejszy od rówieśników, ale to by było na tyle, jeżeli chodzi o moją moc. Do tego jeszcze ta wojna,

to wszystko nie ma sensu. Magia to tylko opowiadki dla dzieci, tak myślałem do wczoraj. Teraz już sam nie wiem, co powinienem zrobić.

Dlaczego we śnie Madi była poszarpana? Tak naprawdę nie było widać choćby ranki na jej ciele, kiedy ostatnio ją widziałem – rozmyślał, idąc. Może teraz cierpi. Może ją torturują jakieś okrutne stworzenia – zadreślał się. To było nie do zniesienia. Do jakiego plugawego planu chcą ją wykorzystać? – ciągle miał w głowie to pytanie.

Duża część dnia upłynęła mu na tego typu rozważaniach. Wydawał się pogrążony w myślach, zagubiony. Nagle koło wieczoru zobaczył małe ognisko koło drogi. Był też wóz i dwa konie. Starał się trochę podejść, pozostając w ukryciu, gdzieś między drzewami. Zaczął się zbliżać do ognia. Zobaczył, że wóz był pusty, a ognisko zostało rozpalone niedawno. Nagle poczuł metal przystawiony do pleców.

– Hans, co z nim zrobimy? Chyba wygląda na zdrowego – zawołał ktoś stojący za jego plecami.

– Moją wioskę zaatakowały dziwne bestie. Tylko ja przeżyłem i zmierzam do stolicy – zaczął się tłumaczyć.

– Zobacz, czy ma ślady na szyi – polecił Hans.

– Wygląda na czystą – oznajmił ten drugi i schował sztylet.

– Nazywam się Franc, a to mój brat Hans, dostarczamy towar do stolicy. Jeśli chcesz, możesz do nas dołączyć. Coś dziwnego zaczęło atakować ludzi, a ci, którzy mają plamy na szyi, są dotknięci dziwną i śmiertelną chorobą. Wszyscy, którzy przeżyli noc, ciągną do stolicy – wyjaśnił Franc.

– Usiądź przy ognisku i opowiedz jak przetrwałeś – zachęcił Hans.

– Wszystko działo się tak szybko. W jednej chwili straciłem całą rodzinę. – Głos Hazana zaczął drżeć, a oczy zalały się łzami. – Uciekłem najpierw do świątyni, ale tam zastałem tylko zwłoki kapłana i dziwne znaki – kontynuował. – Następnie pobiegłem do twierdzy, ale była oblegana przez bestie, które wydostawały się z dziwnego otworu w ziemi. Ponadto była tam postać podobna do człowieka i ubrana na czarno. Nie było szans na przetrwanie. Biegłem co sił w nogach w stronę stolicy – dokończył.

– Miałeś wiele szczęścia – powiedział po krótkiej chwili ciszy Hans. – Pomożemy ci dostać się do Hobbs, ale tam już musisz sobie radzić sam. Takich ataków jak opisałaś było więcej, ale jeszcze za szybko, żeby zweryfikować informacje.

– Wiele wiosk zostało zrównanych z ziemią. My też widzieliśmy i słyszeliśmy straszne rzeczy – powiedział Franc.

– Nasz kapłan podzielił los twojego – dodał Hans.

– Widzieliśmy też wiele dziwnych znaków namalowanych krwią – dopowiedzieli.

Nikt nie miał wątpliwości. Tutaj odbył się jakiś mroczny rytuał. Musi istnieć jakaś niezwykle plugawa sekta odpowiedzialna za wszystko. Kto jest na tyle głupi, żeby służyć złym bogom? Nastroje były bardzo ponure. Wszyscy byli zmęczeni, więc po kilku krótkich chwilach poszli spać.

– Pobudka! – zaczął krzyczeć Franc.

– Chyba chcecie jeszcze przed wieczorem dostać się do stolicy – dodał. Hans

i Hazan pospiesznie wstali i zabrali pozostałe mięso do wozu. Franc zaprzągnął konie i wyruszyli w drogę. Panowała cisza. Chłopak leżał jak zbity i wyglądał na przygnębionego oraz pogrążonego w myślach. Trudy pieszej drogi i wymęczenie organizmu przez żniwa dały się we znaki. Najpierw przyjrzał się Hansowi, wczoraj było ciemno i nawet przy ognisku niewiele widział, ponadto był zmęczony wędrówką. Ów Hans wyglądał na około czterdzieści lat i na miejscowego. Miał czarne, krótko ścięte włosy i ogoloną twarz. Był średniego wzrostu i wydać było, że nigdy nie musiał pracować fizycznie. Franc był niski, ale bardzo silnie zbudowany. On raczej nie stronił od pracy. Jego wiek był zbliżony do wieku Hansa.

Co mnie czeka w stolicy? Przecież jedyne, na czym się znam to praca w polu. Ciekawe, jak tam jest po tych wszystkich atakach. Pewnie będzie praca przy odbudowie, a może nawet wojsko – rozmyślał młodzieniec. Kiedyś słyszał opowieści o pięknym życiu miejskim. Łatwa praca, pieniądze, własny dom. Teraz już raczej nie da się tego zweryfikować. Byleby przetrwać i znaleźć ukochaną.

Cały świat, jaki jest mi znany to tylko ta okolica, która właśnie przepadła. Z historii wiem wyłącznie tyle, że były wojny, a one prowadziły do głodu. O religii też niewiele mi wiadomo. Znam tylko boga wiosek, Tynosa – boga króla, Menkesa – boga zagłady i zniszczenia oraz kilka legend. Może udałoby mi się czegoś dowiedzieć w stolicy, gdybym umiał czytać.. – kontynuował rozważania.

– Zaraz dojedziemy, już widać miasto – krzyknął Franc. Hazan wychylił się, by zobaczyć jak wygląda stolica. Podług tego, co widział dotychczas była ogromna. Otoczona wielkim murem i lasem. Widać było zza muru siedzibę króla Odrika. Widać też było ślady walki. Szczербiny w murach i smród śmierci mówiły same za siebie. Gdy dojechali do bramy usłyszeli głos strażnika

– Coście za jedni?

Był średniego wieku w pełnej zbroi i miał świeżą ranę na policzku.

– Przetrwaliśmy atak i szukamy schronienia w stolicy – odpowiedział Hans.

– Was kojarzę, a kim jest ten chłopak? – zapytał strażnik.

– Znaleźliśmy go przy drodze, cudem przeżył. Jego rodzina nie miała tyle szczęścia – wyjaśnił Franc.

Strażnik zmierzył chłopaka wzrokiem, po czym powiedział:

– Dobrze, możecie wejść, ale biada wam, jak coś przeskrobiecie, szczególnie ty, dzieciaku.

W środku chłopak czuł się zagubiony. Hans i Franc gdzieś zniknęli, a tłum był ogromny. Ludzie byli zrozpaczeni i przybyli szukać tutaj schronienia. Na środku wielkiego placu chłopak dostrzegł słup. Prawdopodobnie są na nim ogłoszenia. Podeszedł bliżej i jego oczom ukazały się rozliczne pergaminy. Jednak nic po nich, skoro nie potrafił czytać. Jedni ludzie podchodzili i w pośpiechu zrywali ogłoszenia. Inni przynosili nowe i szybko łatali dziury. Stanie tutaj nie mogło przynieść jakichkolwiek korzyści. Pomyślał sobie: pójdę i rozejrzę się między budynkami, może tam znajdę pracę albo odszukam garnizon i zapytam o rekrutację.

Chłopak widział wiele różnych budynków. Domy, gildie, karczmy. Był tutaj nawet wielki gmach uniwersytetu. Wielu ludzi chodziło w pośpiechu. Gdzieś na ulicy leżeli ranni lub żebracy. Hazan był pewien, że znajdzie tutaj zajęcie. Nie wiedział tylko jakie.

Po pewnym czasie natrafił na bibliotekę. Gdyby potrafił czytać, może by się czegoś dowiedział. Na pewno były jakieś księgi, może nawet ukryte, z opisami rytuałów mroku. Albo chociaż informacje o sekcie. Musiały istnieć księgi poświęcone bogom i opis stworzenia świata. Może chociaż na część pytań odnalazłby odpowiedź. Hazan widział, jak młodzi ludzie coś wynosili w paczkach z biblioteki. Prawdopodobnie uniwersytet szuka odpowiedzi, a ci ludzie to studenci. Przez chwilę przeszła mu przez głowę myśl o nauce, ale to nie ma sensu. Nie zda egzaminów bez umiejętności czytania.

Tym, co bardziej przyciągało jego uwagę, to sztuka walki. Fajnie byłoby trafić na przykład do gildii wojowników. Wykonywać specjalne misje dla króla i państwa. Wiele słyszał o zasługach tej instytucji. Ale ciężko o miejsce w tak elitarnym gronie bez dobrego nazwiska. A Hazan nazwiska nie miał wcale. Może stracili wielu ludzi podczas ataków i rekrutują wszystkich? Pierwszy raz od feralnej nocy na ustach chłopca pojawił się uśmiech. Spróbować nigdy nie zaszkodzi, w najgorszym razie wróci do punktu wyjścia.

Hazan skierował swoje kroki w stronę dzielnicy gildyjnej. Miał nadzieję, że rozpozna właściwy budynek po szyldzie. Wyobrażał sobie coś w rodzaju skrzyżowanych mieczy. Przechodząc między domami, trafił do ciemniejszej uliczki. Rozglądał się na wszystkie strony, mając nadzieję na odszukanie właściwej budowli. Nagle, gdy spojrzął przed siebie, wyrosła przed nim postać. Ubrana w czarne szaty z kapturem, tak iż nie było widać twarzy. Na piersi miał łańcuch z symbolem przypominającym psa.

– Czekaliśmy na ciebie, chodź ze mną! – przemówiła postać i skręciła w bok.

Gdy Hazan pobiegł, aby skręcić za tajemniczym człowiekiem, jego oczom ukazał się ślepy zaułek i ani śladu żywej duszy.

Szkolenie

Chłopak zaczął rozglądać się na wszystkie strony. Nie widział żywej duszy. Owa postać po prostu zniknęła.

– Może to tylko zwidy, a może jakiś znak. Później o tym pomyślę, jak już znajdę zajęcie – powiedział do siebie.

Początkowo czuł nadzieję połączoną ze strachem. Jego oczom ukazał się poszukiwany szyld. Serce zaczęło bić znacznie szybciej. Pojawiła się perspektywa na odnalezienie Madi. Drogę do niej Hazan chciał utorować sobie przez truchła wrogów. Podchodząc do wejścia, zauważył, że ktoś w pośpiechu wychodzi z budynku.

– Hej, jak można dołączyć do gildii? – zapytał nieznajomego. Mężczyzna odwrócił się w stronę chłopaka.

– Gildia już nie istnieje. Jeśli śpieszno ci do grobu, zapisz się do garnizonu. – W jego oczach wyraźnie widniał smutek i żal.

Hazan odwrócił się na pięcie z wielkim zawodem i wyszedł z tej części miasta.

W przeciągu jednego dnia jego życie prysnęło jak bańka mydlana. Zrezygnowany, postanowił pójść w stronę dzielnicy królewskiej i odszukać garnizon. Tak jak na rynku przy wejściu do miasta panował tłok, tak jego reszta wydawała się opustoszała. Przeszedł kilka uliczek, a napotkanych ludzi mógłby policzyć na palcach jednej ręki.

W końcu jego oczom ukazał się budynek wojskowy, a przed nim kolejka. Na jej końcu potężny mężczyzna w zaawansowanym wieku. Siedział przy stole z piórem i pergaminem. Jego twarz zdobiły liczne blizny. Stojąc w kolejce, chłopak zadawał sobie pytania na temat postaci w czarnych szatach. Czy ma jakiś związek z tym wojownikiem, który niegdyś mu się przyśnił? I skoro na niego czekał, to dlaczego zniknął? A może taki był ich plan, żebym się zapisał do garnizonu? Jeszcze będą przeklinać ten dzień!

Nim się zorientował, przyszła na niego kolej.

– Imię i wiek – krzyknęła postać zza stołu.

– Hazan, lat szesnaście – odpowiedział chłopak.

– Hmm wyglądasz na silnego i jesteś młody. Przydasz się nam. Idź za Helim! – wyjaśnił rekrutant. Koło niego pojawiła się postać młodego, mniej więcej dwadzieścia pięć lat, żołnierza. Ubranego w czerwoną tunikę z królewskim herbem. Był ogolony na łyso, ze starannie obciętą brodą.

– Za mną – powiedział.

Zaprowadził Hazana najpierw do pomieszczenia z uzbrojeniem. Dał mu spodnie i koszulę, po czym poszukał miecza. Ewidentnie stara broń, ponad łokieć długości. Wręczył go chłopcu, mówiąc:

– Pilnij tego jak oka w głowie. Jeśli go stracisz, niechybnie zginiesz.

Gdy Hazan złapał za miecz, poczuł dziwne ciarki na całym ciele. Czuł się, jakby używał go od lat, a przecież trzymał tę broń pierwszy raz w ręku. Jakby miał już tylko walczyć, stać się bezwzględna maszyną do zabijania i we właściwym czasie umrzeć za ojczyznę.

– Tutaj będziesz spał – powiedział Heli, wskazując palcem podniszczoną pryczę w rogu pomieszczenia.

Taką samą jak kilkanaście innych. Koło każdej stała mała szafka.

– Za godzinę odbędzie się pierwszy trening rekrutów, obwieści go dzwon – dodał, wskazując na okno, za którym był niewielki plac ziemi.

Było na nim widać plamy krwi i kilka kukieł treningowych. Hazan już wtedy wiedział, że nie będzie łatwo. Wiedział też, że widok dziewczyny wykreowany w jego głowie pozwoli mu przetrwać w tym miejscu.

Jeszcze parę dni temu byłem zapatrzony w Madi i pracowałem na polu, a teraz zrobią ze mnie żołnierza – zaczął rozmyślać. Ciekawe, kiedy przyjdzie tęsknota i jak sobie z nią poradzić. Zemsta. To jest to! Zaufam swoim przeczuciom i będę szukał mocy, a tutaj nauczę się walczyć. Jeśli rzeczywiście jestem przeznaczony do posiadania tajemnej siły – przyjmę ją. Jednak nie pozwolę, by ktokolwiek mną manipulował. Będę z niej korzystał według własnego uznania – postanowił Hazan i położył się na swoim łóżku.

Głośne bicie dzwonu wybudziło chłopaka. Uciął sobie drzemkę. Wziął miecz do ręki i wybiegł na pole treningowe. Oprócz niego stało tam dziewięciu innych świeżych rekrutów. Był też ten, który przyjmował nowych.

– Co to za miejsce? – zapytał stary żołnierz, wskazując na losowego rekruta.

Ten był wysoki i szczupły, nieco starszy od Hazana, a na jego twarzy było widać strach.

– Miejsce do treningów – odpowiedział.

– Źle! – krzyknął dowódca. – To miejsce to wasz nowy dom. Tutaj będziecie trenować tak długo, aż coś z was będzie, a jak nie, to zdechniecie. Bez rozkazu stąd nie wyjdziecie. Co lepsi z was będą mieli honor zginąć w walce.

Po zebranych przeszła fala strachu, ale nie było już odwrotu.

– Nazywam się Kazar i będę próbował coś z was zrobić – powiedział rekrutant. – Ty i ty chodźcie na środek – wskazał palcem na chłopaka podobnego wiekiem do Hazana i na niego. – Weźcie miecze i pokażcie, co potraficie! – rozkazał.

Ten drugi chciał się pokazać i gwałtownie zaatakował Hazana. On jednak automatycznie parował każdy cios, trzymając miecz w jednej ręce. Był jak w transie. Nie skupiał się na konkretnym ruchu, tylko na woli wygranej. Jego ciało samo wiedziało, co ma robić. Hazan bez problemu parował ciosy lub robił skuteczne uniki. Pozostał w tym transie, cieszył się nim. Po dłuższej chwili wykonał kontratak, a siła uderzenia wytrąciła miecz z rąk jego przeciwnika. Może wcale nie będzie tak źle – pomyślał z uśmiechem na ustach.

– Dość! – krzyknął dowódca. – Tylko na tyle was stać? U ciebie praca nóg nie istnieje i ruszasz się jak worek z ziarnem – mówił w stronę Hazana. – A ty nie potrafisz utrzymać miecza w dłoni! – powiedział do drugiego.

Chłopak nie bardzo się tym przejął. Kazar pewnie krytykuje, bo musi. Ale ten stan był genialny. Już nie mógł się doczekać kolejnego pojedynku.

– Dobierzcie się w pary. Tak powinniście trzymać miecz. Jedna noga z przodu, druga z tyłu, nigdy ich nie łączcie – zaczął wyjaśniać Kazar.

Trening był długi i wyczerpujący, a miecz wydawał się ciężki jak kowadło. Oprócz treningu technicznego był też siłowy. Samo machanie mieczem nie jest tak męczące, jak bieganie z belką na plecach. Hazan wiedział, że to zaprocentuje. W chwilach słabości widział Madi w swojej głowie i szedł naprzód.

Po wszystkim dowódca opuścił plac bez słowa. Wszyscy – nazbyt zmęczeni, by rozmawiać – poszli do sadzawki się umyć, a następnie do łóżek.

– Jak się nazywasz? – zapytał Hazana chłopak leżący w sąsiednim łóżku; ten sam, z którym walczył na początku treningu. Był średniej postury, łysy i miał zielone oczy. Wyglądał na wieśniaka.

– Hazan, a ty? – zapytał.

– Serwan. Wpadliśmy w niezłe bagno – odpowiedział sąsiad.

– Tak, nie będzie łatwo, dlatego musimy dać z siebie wszystko. Nie wiadomo, jak szybko przyjdzie nam stanąć do prawdziwej walki – zagadał Hazan.

– Chyba dadzą nam czas, mają przecież już wyszkolonych żołnierzy – powiedział zakłopotany Serwan.

– Myślisz, że będą dbali o nasz staż, gdy przyjdzie zagrożenie? – zapytał stanowczo Hazan.

– Myślę, że musimy być na to gotowi, choćby mentalnie. Wróg, który jest drapieżnikiem, nie zna litości – dodał Serwan.

– Dlatego musimy liczyć na własne umiejętności! – odpowiedział bardzo pewny siebie chłopak.

Na tym skończyła się ich rozmowa. Wszyscy szybko usnęli ze zmęczenia.

Coś puka do okna. Hazan wstaje, aby to sprawdzić. Widzi na środku placu treningowego postać ze snu.

– Kim jesteś? Czy to ty stoisz za atakiem na moją rodzinę? – począł wrzeszczeć rozgniewany chłopak i wyskoczył przez okno.

Miał w ręku miecz i zaatakował postać w czarnej zbroi. Potwór nawet nie zrobił uniku, a miecz tylko się od niego odbił. Następnie wyrwał broń z jego ręki, chwycił go i rzucił nim jak zabawką. Bestia spojrzała na niego bez cienia emocji.

– Trenuj ciężko! Czeka cię próba – powiedziała.

Uderzenie dzwonu. To był tylko sen. Wszyscy w pośpiechu wzięli miecze i wybiegli na pole treningowe. Hazan obudził się złany potem. Jego pewność siebie prysła. I coś sobie uświadomił – czeka go nierówna walka.

– Poranne treningi będą treningami kondycyjnymi – oznajmił Kazar.– Za mną! – dodał i wybiegł przez bramę poza miasto.

Trening składał się z pięciu okrążeń miasta – dużego miasta. Nie wszyscy dali radę. Kilku pomdlało i zabrali ich medycy. W końcu dobiegli z powrotem na plac. Większość dyszała bardzo ciężko. Kazar wyglądał, jakby przebiegł mały kawałek drogi. Następnie dał rozkaz, aby wszyscy ustawili się w rzędzie przed nim.

– Widzę, że zostało was aż sześciu, nieźle – doliczył się Kazar. – Tamci już tutaj nie wrócą. Jeśli chcecie mieć jakąś wartość, musicie się starać – dodał.

Wśród tych, którzy wytrzymali trening, byli Hazan i Serwan.

– Rozgrzewkę mamy już za sobą – powiedział dowódca. – Dobierzcie się w pary i pokażcie mi, co pamiętacie z wczoraj.

Hazan znowu dobrał się z Serwanem. Jeden atakował trzema krótkimi cięciami, a drugi parował. Potem zmiana. Byli bardzo skupieni i wykonywali techniki dokładnie. Co jakiś czas Kazar dawał komendę do zmiany ruchów. Kiedy uznał, że wystarczy im treningu technicznego, rozkazał im wziąć się za bale. Całe ich ciała czuły ciężar ćwiczeń i tylko czekali na ich efekty.

Jedzenie było wydawane dwa razy dziennie – rano i wieczorem. Szkolenie trwało od świtu do zmroku i było okrutnie męczące. Młodzi wojownicy nie rozmawiali ze sobą, nie mieli czasu. Kazar twierdził, że czas na bratanie się przyjdzie w czasie misji, gdy będą maszerować lub siedzieć przy ognisku. Teraz, odcięci od świata, mieli oddać się treningowi, budować mięśnie i technikę.

Mijały dni, tygodnie, a oni się zmieniali. Nie czuli już zmęczenia – przyzwyczaili się. Ich miecze wydawały się lekkie, a serca miały tylko ślady uczuć. Kazar wpoił im, że najważniejszy jest honor i tylko on się dla nich liczy. Ich ciała stały się bardzo twarde. Hazan zachował rozmiary większe od rówieśników pomimo trybu życia.

Nie mieli wieści spoza murów. Nie było też żadnych ataków na stolicę. Uznali, że tamta noc była wyjątkowym, jednorazowym kataklizmem. W głowie Hazana wciąż tkwił obraz snów i ta postać czarnego wojownika. Codziennie powtarzał sobie, że musi być silniejszy. Nie rozumiał, czym miał być ów test i jakiej mocy ma szukać. Wiedział, że to tylko cisza przed burzą. Możliwe też, że ich trzymali pod kloszem. Nie mówili im prawdy, żeby ich nie martwić. A ci, którzy wyjdą poza mury tego gmachu, będą elitarnymi wojownikami na czarną godzinę.

Kolejny poranek. Chłopcy wiedzieli, co należy robić, i wybiegli. Kazar już na nich czekał, by ich poprowadzić. Gdy biegli przez miasto, jeden z nich dostrzegł kobietę, która zachowywała się dziwnie. Upadła na ziemię i zaczęła pluć krwią. Trzęsa się, a jej oczy pokazywały tylko białka. Szyja zaczęła czernieć, a z pleców wychodziło coś na kształt skrzydeł. Krzyk kobiety można było usłyszeć z daleka. Wszyscy stanęli jak wmurowani, a Kazar bez mrugnięcia okiem podbiegł i odciął kobiecie głowę. To

zatrzymało tę straszliwą przemianę. Dziwna mieszcanka po prostu zmarła.

A więc o tym mówili Hans i Franc – pomyślał Hazan, patrząc na jej znamię. Co gorsza, przechodniów wiele ta sprawa nie zdziwiła. Tylko młodzież Kazara wyglądała na nieobeznaną z sytuacją. Cała grupa żądała natychmiastowych wyjaśnień i jakichkolwiek wieści z zewnętrznego świata. Ich oczy były pełne przerażenia. Pomimo trudnego treningu nie mieli wielu problemów. Takie życie wcale nie było złe, ale właśnie okazało się bajką. Kazar wyraźnie spoważniał.

– Nie ma powodów, aby dłużej to przed wami ukrywać – zaczął wyjaśniać. – Złe siły niewiadomego pochodzenia zaatakowały nasz świat. Prawdopodobnie to sprawa demonów, a może nawet samego Menkesa. Wiadomo, że demony i im podobni zostali zapieczętowani dawno temu przez Tynosa w innym wymiarze. Ktoś musi im pomagać. Obecnie wiadomo o kilku rodzajach bestii i chorób. Najznamienitsi naukowcy z całego świata prowadzą badania. Na chwilę obecną nie wiemy, jak odesłać to nieszczęście tam, skąd przybyło. Możemy tylko przetrwać jak najdłużej i mieć nadzieję na znalezienie sposobu. Dzisiaj po treningu porannym przyjdzie ktoś z uniwersytetu i powie wam, co i jak, a teraz wracać do roboty – skończył Kazar i pobiegł jakby nigdy nic.

Wśród chłopaków panowały ponure nastroje. Więc jednak tragedii ciąg dalszy, a co za tym idzie – nierówna walka z okrutnym przeciwnikiem.

Bieg wydawał się dłużyć w nieskończoność. Wszyscy byli zniecierpliwieni. Chcieli wiedzieć, co się dzieje. Szeptali między sobą o tym, co przeżyli przed dotarciem do Hobbs. Atakowały ich czarne myśli odnośnie do przyszłości. Szeptali o potwornościach czających się w mrokach lasu. W końcu dokończyli biegu i wrócili do koszarów. Posłaniec z uniwersytetu już na nich czekał.

Uczony szukał czegoś nerwowo w swoich książkach. Pewnie czuł na plecach oczy całej grupy. Hazan zadawał sobie jedno pytanie: jak to możliwe, że ów człowiek przybył tutaj tak szybko? Kazar nie miał jak go tutaj zaprosić, gdy biegali. Może cała ta akcja była zaplanowana, a może to jakiś magiczny przepływ informacji. Spojrzał w lewą stronę, tam stał Serwan. Wydawał się przestraszony i opanowany zarazem. W końcu mężczyzna znalazł to, czego szukał. Zamienił jeszcze kilka słów szeptem z Kazarem i odwrócił się w stronę grupy. Mieli teraz okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Dość wiekowy, ubrany w schludną szatę, miał krótko obciętą, siwą brodę. Jego oczy były trochę rozbiegane, chaotyczne.

– Mam na imię Darlik – zaczął. – Przysłano mnie tutaj, abym przekazał wam, czego się dotychczas dowiedzieliśmy. Zacznijmy od najsłabszych bestii: są to psy z ludzką twarzą i wielkimi kłami. Nazywamy je khanisami. Niezwykle agresywne, ale łatwo je zabić. Zachowują się i umierają jak psy, lecz nie wiemy, czy są inteligentne. Są wysyłane tam, gdzie trzeba zrobić duże zamieszanie. To coś w rodzaju mięsa armatniego w armii wroga. Kolejna bestia to ghule. Miej więcej osiem stóp wysokości, są przygarbione, mają wielkie pazury i kły. Żywią się ludzkim mięsem, głównie padliną. Mają tętnicę szyjną i w ten właśnie sposób najłatwiej je zabić. Łączą się w niewielkie stada. Uwielbiają krypty i cmentarze. Nie wiadomo, czy są wstanie

wznieść się ponad swój pierwotny instynkt. Na szczęście trzymają się z dala od światła i jakiegokolwiek cywilizacji. Impy to stworzenia na kształt człowieka o czerwonej skórze, ze skrzydłami, rogami i pazurami. Są inteligentne. Pojawiają się też w czarnych szatach i podszywają się pod ludzi. One wydają rozkazy i otwierają szczeliny, z których wychodzą bestie. Jeszcze nikomu nie udało się zabić choć jednego, choć prawdopodobnie jest to możliwe. Wiadomo, że znają magię, atakują głównie ogniem. Czasami na ich amuletach lub szatach pojawia się symbol psa. Podejrzewamy, że kiedyś byli ludźmi, ale zostali opętani przez okrutne demony. To wszystko, co wiemy. Oczywiście spodziewajcie się wielu innych informacji. Ciągłe trwają badania i eksploracje. To trochę tak, jak odkrywanie nowych gatunków.

Cała grupa słuchała mędrca z zaciekawieniem. Znajomość słabych punktów, takich jak umiejscowienie tętnic, daje przewagę. Teraz już rozumieli precyzyjny trening Kazara.

– Czy to możliwe, żeby kobieta z dzisiaj zamieniała się w impa? – zapytał Serwan Hazana.

– Nie wydaje mi się, to chyba było coś innego – odpowiedział chłopak.

– Co do chorób, wiemy o gnilycy. Zaczyna się ona od dużego palca prawej stopy. Od rozpoczęcia choroby do okrutnego i bolesnego zgonu jest mniej więcej siedem dni. Na razie lekarstwo jest nieznanne. Jej odmiana atakuje również plony, doszczętnie niszcząc rośliny. Czasem jej przebieg jest znacznie krótszy. Przypuszczamy, że to za sprawą magii. Im silniejsza bestia ją zsyła, tym szybciej przychodzi śmierć. Kolejną znaną chorobą jest mutacja, czyli to, co widzieliście dzisiaj rano. Ludzie zmieniają się w coś na kształt impa, tego procesu nie da się przerwać. Jest to jednak istota o wiele słabsza i mniej inteligentna. Jedyne, do czego jest zdolna, to mord pobliskich ludzi. Sama ginie po około kilku godzinach.

– No to masz odpowiedź – szepnął Hazan do przyjaciela.

– Można jednak temu zapobiec, gdy widzi się ciemne plamy na szyi. Do tego trzeba kogoś, kto zna się na zjawiskach, jakie niedawno się pojawiły i są zwane magią. To by było na tyle z mojej strony. Mam nadzieję, że ta wiedza pozwoli wam wygrać jak najwięcej bitew. Dalsze badania, jakie prowadzimy, mają wam dać chociaż szczątki przewagi w walce z tymi potworami – skończył stary uczonek i wyszedł.

Egzamin

Wszyscy osłupieli i próbowali przetrwać informacje. Chociaż każdy spodziewał się w głębi serca walki, sytuacja ich zaskoczyła. Jedni byli przerażeni, a inni się cieszyli.

– W końcu pojawiła się okazja, by opuścić te mury i zażyć wolności – mówili między sobą.

– A więc jednak, czeka nas ciężka walka. Co kryje się za murami? – pytali sami siebie niektórzy z pierwszej grupy młodych wojowników.

Hazan czuł się dziwnie spokojny, jakby właśnie tak miało być. Jego wielkie ciało jest teraz twardsze i wytrzymalsze. Wie też, jak używać miecza.

W tej chwili pojawił się Kazar i oznajmił:

– To nie przypadek, że właśnie teraz się o wszystkim dowiedzieliście. Za chwilę otrzymacie wyposażenie i wyruszyacie w pierwszą misję. Wioska oddalona od nas około sześć godzin drogi nie daje znaku życia od trzech dni. Macie sprawdzić, co się stało. Heli będzie dowodził wyprawą. Ci z was, którzy nie dadzą się zabić, zdadzą egzamin. O ile nie zostaną dezertarami... – dodał dowódca.

Po chwili pojawił się Heli z dwoma pomocnikami.

– Każdy z was otrzyma prowiant na dwa dni, torbę, koc, nóż, miecz, tarczę oraz kolczugę. Macie chwilę na przygotowanie się i wyruszamy – powiedział.

Sam Heli też był już w innym ubraniu niż zwykle. Nie wydawał się zbyt przejęty sytuacją. Może dla niego to chleb powszedni.

Chłopcy nie myśląc wiele, spakowali koce i prowiant oraz noże. Kolczugi założyli, a miecze przyczepili do pasa. Tarcze umieścili na plecach. Miecze otrzymali inne niż te, które mieli na treningach. Może nie były szczytem marzeń, ale przynajmniej dłuższe i wytrzymalsze. Po nich wnioskowali, że nie są od parady. Ekwipunek był adekwatny do ryzyka – pomyśleli sobie.

– W końcu zatopię w kimś swój miecz – szepnął do siebie jeden z chłopaków.

– Tylko Tynos może wiedzieć, co nas czeka.

Zebrali się przed wyjściem z ośrodka, gdzie już czekał na nich Heli.

– Idziemy, po drodze wszystko wam opowiem – dał rozkaz dowódca brygady.

Szli szlakiem handlowym, a dookoła był gęsty las. Heli przemówił:

– Jest was sześciu, którzy przeszliście trening. Czas się przedstawić. Moje imię znacie mam dwadzieścia pięć lat i pochodzę ze stolicy.

Drugi odezwał się Serwan:

– Mam szesnaście lat i pochodzę z północy – powiedział.

– Jestem Debi, mam osiemnaście lat i pochodzę z pobliskiej wsi.

– Ja jestem Hazan, mam siedemnaście lat i również jestem ze wsi.

– Mnie zwał Finc, mam siedemnaście lat i jestem ze stolicy – przemówił kolejny.
– Moje imię to Sar, mam dwadzieścia lat i jestem ze wsi – przedstawił się następny.
– Mnie nazywają Far, mam dziewiętnaście lat i jestem wieśniakiem – powiedział ostatni.

– Jesteście jeszcze młodzi. Ale to bardzo dobrze, jesteście bardziej sprawni. Bardzo możliwe, że czeka nas bieganie po lesie – powiedział Heli. – Cisza w fazie treningu miała was ochronić przez zaprzyjaźnieniem się z kimś, kto nie da sobie rady. Ale teraz to już przeszłość – wyjaśnił. – Wioska, do której idziemy, zapewniała nam owoce. Jest bogata w drzewa, a i ludzi do pracy nie brakuje. Teraz, gdy jest lato, powinni pojawiać się niemal codziennie. Dostali do tego specjalnie wydelegowany wóz i woźnicę. Można spodziewać się wszystkiego, gdy już dotrzemy na miejsce. Naszym zadaniem jest tylko zwiad. Jeśli to możliwe, powinniśmy unikać walki. I tak nie mamy szans zaszkodzić armii wroga, a przydamy się jeszcze żywi. Jedyne, czego dowództwo od nas wymaga, to złożenie raportu.

– Co tak naprawdę działo się, gdy my trenowaliśmy? – zapytał odważnie Hazan.

– Tak jak wam wyjaśniono, pojawiają się dziwne istoty i choroby, które nękają ludność. Stolica jest otoczona kilkoma warownymi posterunkami. Szczęśliwie bestie są raczej w małych grupach. Dotychczas udawało się je szybko likwidować. Nie wiadomo, co się czai głęboko w lasach i górach, gdzie nie ma miast. Jedni mówią o wielkiej armii istot człekokształtnych i nazywają je orkami. Według ich relacji, ma być ona dowodzona przez ogromnego demona, który jest esencją wojny i chce sprowadzić na nas zagładę. Jednak owe doniesienia są nieoficjalne i traktowane jak mit – wyjaśnił Heli. – Wieść niesie, że owa horda pojawiła się północnej części kontynentu. Jeśli to prawda, niech Tynos ma nas w swojej opiece.

– Gdyby takowa armia istniała, mogłaby zwiastować początek końca – stwierdził Debi.

– Masz rację! – odpowiedział Heli. – Zaczęło istnieć coś takiego, co nazywane jest magią. Ciężko jest to wyjaśnić, więc podam przykład: człowiek obdarzony taką mocą może na przykład wystrzelić kulę ognia z ręki; jednym słowem, kontrolować żywioł. Nauka ta na razie raczkuje, obecnie wiemy o pięciu jej rodzajach. Pierwsze cztery odpowiadają żywiołom i są nam dostępne, jednak ostatnia, zwana czarną magią, jest dla nas całkowicie tajemnicza. Z magią jest trochę jak z nożem – dodał. – Możesz ukroić kawałek chleba albo obciąć koledze głowę. Nie wiadomo też, jakie konsekwencje wiążą się z używaniem tych mrocznych narzędzi.

– A może magia to rodzaj komunikacji z naturą? – spytał Serwan.

– Możliwe, ale w takim razie dlaczego nie była znana przedtem? – odpowiedział dowódca.

– Czy ktoś widział użycie czarnej magii? – spytał Finc.

– Jest kilka doniesień i teorii. Ponoć jej znajomość pozwala rozmawiać z diabłami i jej właśnie przypisuje się istnienie tych przerażających chorób – odpowiedział Heli. – Magia żywiołów prawdopodobnie pozwala na ich kontrolowanie. Można na przykład

wywołać deszcz. To by nam dało wielkie możliwości – oznajmił chyba pierwszą dobrą wiadomość. – Co do czarnej magii, to czysty mrok. Na pewno jest napędzana wolą Menkesa. Prawdopodobnie to ona jest odpowiedzialna za wkroczenie jego sług do naszego świata. Wiemy, że kontakt z nią potrafi zbroczyć duszę – wyjaśnił.

Ta informacja przepełniła grupę lękiem.

Gdy tak rozmawiali, zaczęło się ściemniać, a ich oczom ukazały się domy. Wszystko wyglądało normalnie. Kilka chat, a dookoła sad jabłoni. Gdzieś można było zobaczyć kosze w różnym stopniu wypełnione owocami. Tak jakby ktoś przerwał pracę. Coś w rodzaju przerwy obiadowej. Finc zajrzał do jednego z koszy i krzyknął:

– Te tutaj są całe zgniłe.

– Koło mnie to samo – zawołał Far.

– Bądźcie czujni! – ostrzegł Heli. – Podzielimy się na dwie grupy: Debi, Finc i ja pójdziemy od północy, a reszta od południa. Sprawdźcie domy i wszystko, co wygląda interesująco. Pamiętajcie, że za dokładniejszy raport czeka nas nagroda. Im więcej powiemy uczonym, tym większa szansa, że coś wymyślą. Gdy już coś znajdziecie, spotkamy się tutaj – polecił.

Hazan zauważył, że na ich terenie są trzy domy. Podeszli do pierwszego i zauważyli, że nie ma w nim światła. Świece, które stały przy wejściu, już się wypaliły.

– Stanę na czatach, a wy sprawdźcie środek – zaoferował Serwan.

Tak właśnie zrobili. Nim jednak zdążyli otworzyć drzwi, usłyszeli stukanie dobiegające z wewnątrz. Szybko wyjęli miecze, Hazan ostrożnie wszedł do środka. Za nim wszedł Far z zapaloną świecą. Pierwsza izba wyglądała całkiem normalnie. Wszystko było na swoim miejscu. Weszli do drugiego pomieszczenia. Nagle coś prychnęło i przebiegło koło nich. Serce podeszło im do gardła.

– To tylko kot – oznajmił Hazan i uspokoił sytuację.

Poza tym nie dostrzegli śladów życia. Nie było też widać śladów walki. Cała chata wyglądała tak, jakby jej mieszkańcy po prostu wyszli na spacer. Grupa uznała, że nie znajdą tutaj nic ciekawego, po czym ruszyli dalej.

Zrobili to w takiej samej kolejności. Serwan został na czatach. Przed ich oczami ukazał się stół z już spleśniałą potrawą i fotel, a w nozdrza uderzył niesamowity smród, tak jakby daleko posuniętego rozkładu padliny. Hazan podszedł bliżej fotela.

– Coś tutaj leży – powiedział szeptem.

Far zbliżył się.

– Wygląda, jakby kompletnie zgniło. Czy to możliwe, aby to był człowiek? – zadał pytanie.

Zastawa wskazywała na to, że ktoś powinien tutaj zasiąść do posiłku. Plama przypominała jakąś breję. I naprawdę okrutnie śmierdziała. Far wsadził w nią miecz. Była bardzo kleista. Hazanowi przeszła przez głowę pewna myśl – przypomniał sobie los siostry.

Reszta pomieszczenia wyglądała normalnie, więc przeszli do kolejnego. Było

niewielkie i wyglądało na pokój dla dzieci. Stała w nim szafa i dwa łóżka. Na obu także była ta dziwna maź.

– Myślisz, że to przypadek? – zapytał Far.

– Obawiam się, że nie – odpowiedział Hazan z trwogą w oczach.

Weszli do ostatniego już pokoju. Wyglądało jak sypialnia dla dorosłych. Wszystkie meble znajdowały się na swoim miejscu, a pośrodku stało pościelone łóżko. Jedną jego stronę pokrywała maź podobna do tych znalezionych wcześniej.

– To nie może być przypadek – warknął Hazan.

– Chyba nie – odpowiedział kolega.

– Ty, a gdzie jest Sar? – zapytał Far.

– W sumie to nie widziałem go, odkąd weszliśmy, może został z Serwanem?

– Powinniśmy już wracać – stwierdził Hazan.

Poczułi, że kłopoty są przed nimi.

Gdy przechodzili przez pierwsze pomieszczenie, Far poczuł kapanie na ramieniu i podniósł głowę. Jego oczom ukazał się Sar, przybity na kołki do sufitu w środku pentagramu. Jego oczodoły były puste. Nie zabrakło też dziwnych znaków wymalowanych krwią przyjaciela. Szybko szarpnął Hazana i wskazał palcem na sufit.

– Ale jak, kiedy? Przecież nic nie słyszeliśmy – zmieszał się Hazan.

– Czarna magia. Jedyne, co mi przychodzi do głowy – odpowiedział Far. – Wyjdźmy stąd jak najprędzej.

Pełni strachu i nerwowie rozglądali się na wszystkie strony. Miecze mocno ściskali w dłoni. Obaj sądzili, że użycie ich to tylko kwestia czasu. I to raczej krótkiego. Głucha cisza mogła zwiastować tylko jedno...

Gdy wyszli, zauważyli, że Serwan kuca nad czymś kilkanaście kroków od wyjścia, więc podeszli bliżej.

– Zobaczcie, co znalazłem – powiedział chłopak, wskazując na padlinę psa, a raczej to, co z niej zostało. Pies nie miał głowy i kończyn, jednak nie było śladu krwi.

– Kto to mógł zrobić? – zapytał Far.

– Na pewno nic naturalnego – odpowiedział Serwan. – Wygląda, jakby ktoś po prostu wypił jego krew – dopowiedział.

– Nie ma co się wiele nad tym rozwodzić. Im szybciej wrócimy do Hobbs, tym lepiej! – stwierdził przerażony Far.

– Chodźmy do następnego domu – zaproponował Hazan.

– Hej, a co z Sarem? – zapytał młody chłopak.

– Jego już nie ma... – odpowiedzieli wspólnie z żalem w oczach.

Kiedy mieli otworzyć drzwi, usłyszeli krzyk dobiegający z północnej części wioski. Szybko pobiegli w tamtą stronę. Po chwili zobaczyli, że Debi leży bez głowy, a Heli walczy z tajemniczą bestią. Monstrum było humanoidem dwukrotnie większym od rosłego mężczyzny. Miało kopyta, w miejsce twarzy potężną ssawkę, a na końcu rąk długie ostrza.

– To wyjaśniałoby los psa – szepnął Serwan.

Bestia napierała na Heliego, tak iż ten tylko się bronił. W jej ruchach nie było widać planu. Po prostu nacierała do przodu.

Czy to możliwe, żeby on użył magii i zabił Sara? – pomyślał Hazan. Następnie doskoczył i ciął monstrum w nogę – tam, gdzie powinna być tętnica. Zawyło przerażająco, odwróciło się i machało łapami na oślep. Serwan doskoczył w czas i zasłonił Hazana tarczą. Heli korzystając z okazji, wbił miecz potworowi w tył głowy. Ten rozwścieczony odniesionymi ranami, rzucił się w oszalałą szarżę. Na jego drodze stali Finc i Far. Ich tarcze na nic się zdały wobec okrutnej mocy. Obaj zostali nabici na ostrza, a potwór użył na jednym z nich ssawki. Wyglądało to tak, jakby wysysał z nich życie i się regenerował. Czy to możliwe pokonać wroga, który odradza się w walce? – pomyślał Heli z przerażeniem.

Serwan, jako jedyny niesparalizowany strachem, odciął bestii łeb. Ciało uderzyło o ziemię z głuchym łomotem. Ciemna ciecz zaczęła lecieć z niego strumieniem. Ssawka ciągle się ruszała. Po chwili, ku zdziwieniu wszystkich, truchło zmieniło się w proch, który natychmiast zniknął. Nie pozostawił po sobie nawet najmniejszego znaku.

– No, to czeka nas sporządzenie ciekawego raportu – powiedział zziębnięty Heli.

– Co tu się stało? – zapytał Serwan.

– Przeszukaliśmy pierwszy dom i jedyne, co znaleźliśmy, to dziwna zgniła maź w miejscu, gdzie powinni być ludzie. Gdy otworzyliśmy drzwi do drugiego domu, wyskoczyła na nas ta bestia. Debiego dopadła po chwili walki. Potem przybiegliście wy. Całe szczęście, bo mógłbym być już martwy – wyjaśnił Heli. – Widać szkolenie nie poszło w las – zażartował.

Chłopcy w skrócie opowiedzieli, co znaleźli. Wszyscy razem jak najszybciej opuścili wioskę, aby zdać raport. Noc w takim miejscu to nic przyjemnego. Księżyc lśnił dziwnym, złowieszczym blaskiem. Strach przeszywał każdego z trojga ocalałych. Nie byli chyba jeszcze gotowi na tak makabryczne starcie. Serwan zadawał sobie pytanie, dlaczego akurat oni przeżyli.

– Ja szybko nie usnę – powiedział Heli.

– Chyba jak my wszyscy – odpowiedział Serwan.

– Nie lada diabelstwo zaatakowało to miejsce – stwierdził Hazan.

– Nie ma co, nasze życie już nie wróci do normalności – westchnęli zgodnie.

– Żyjemy w chorych czasach – dodał Hazan.

Był środek nocy, a oni szli przez las. Ich wędrownice towarzyszyła cisza i nie było widać oznak życia zwierząt leśnych. Po chwili nawet oni przestali rozmawiać, co dodatkowo spotęgowało wrażenie martwoty. Byli zbyt zmęczeni i przerażeni po walce. W ich głowach było tylko wielkie pragnienie powrotu do domu. Pierwotne pragnienie bezpieczeństwa dawało się we znaki. Każda chwila wydawała się niezwykle długa.

– Niech to już się skończy... – mówili między sobą. Wiedzieli, że w każdej chwili może stać się coś bardzo złego. Wiedzieli też, że las pełen zwierząt nie powinien być aż tak cichy.

Niespodziewanie coś spadło z drzewa prosto na Heliego. W ciemności było tylko

widać małą posturę przeciwnika, który ignorując resztę, zaczął go zjadać. Serwan szybko kopnął monstrum, a Hazan wbił miecz w jego grzbiet. Bestia wydała z siebie przeraźliwy syk, niczym wąż. Następnie, tak jak poprzednik, rozplynęła się w powietrzu.

– Mamy szczęście, możemy iść dalej! – stwierdził Hazan.

– Chyba już po nas! – Serwan zamarł jak wryty i wskazał palcem na zarośla, z których wyłoniła się cała horda khanisów.

Heli się ocknął. Jego ramię było całe we krwi, a ugryzienie, choć niegłębokie, wyglądało paskudnie. Serwan szybko do niego dobiegł. Nigdy wcześniej nie widział takich śladów zębów. Obaj dobyli miecza. Pewni śmierci, ale chociaż z honorem. Mieli trochę poczucia winy – pierwsza misja i już zawiedli.

– Ihn’a por’ah fa zon fir – dobiegł donośny głos z ust Hazana, a jego oczy zapaliły się na czerwono. On sam lekko się uniosł, a jego rysy twarzy wskazywały na wielki gniew. Wszystkie khanisy uciekły, a chłopak stracił przytomność.

Moja głowa, gdzie ja jestem? – pomyślał Hazan i rozejrzał się po pomieszczeniu. To było jego łóżko w garnizonie. Wstał i ubrał się, po czym wyszedł na zewnątrz. Tam zobaczył przechadzającego się Kazara. Gdy dostrzegł chłopaka, powiedział:

– Umyj się, załóż świeże ubranie, a następnie zgłoś się do mnie.

Tak też zrobił. Gdy przyszedł do Kazara, zobaczył, że koło niego stoi jakiś mnich w brązowych szatach. Na jego piersi był symbol Tal’naha – boga odpowiedzialnego za ochronę świata przed demonami. Po chwili Hazan uświadomił sobie, że nie powinien rozpoznać tego znaku. Nigdy wcześniej go nie widział ani o nim nie słyszał.

– Podejdz do mnie – powiedział mnich.

Miał kompletnie łąsą głowę i sympatyczną, choć w tej chwili niezwykle poważną twarz. Był raczej wątej postury i zdecydowanie leciwy.

– To Amos – powiedział Kazar. – Z rozkazu jego królewskiej mości udasz się z nim do klasztoru, gdzie będziesz pobierał nauki i chronił bractwo swoim mieczem – wyjaśnił dowódca.

– Chłopcze, będę z tobą szczery. To, co stało się dwa tygodnie temu, bardzo nas niepokoi. Będzie bezpieczniej, jeśli zostaniesz w naszym bractwie, przynajmniej przez jakiś czas – stwierdził Amos.

– A co z Serwanem? On też był ze mną – zapytał Hazan.

– Nie chodzi nam o to, z czym ani w jaki sposób walczyliście. Mamy namyśli raczej to, w jaki sposób przepędziłeś hordę khanisów – wyjaśnił Amos.

Koniec szkolenia

Hazan otrzymał czyste, nowe ubranie i zachował ekwipunek z misji.

– Nasz klasztor znajduje się niedaleko, jakieś dwa dni drogi – powiedział Amos.

– A więc czeka nas noc w lesie – stwierdził Hazan.

Sam dobrze nie wiedział, co ma myśleć o tym, co stało się kilka dni temu. Bardzo chciał przeżyć i jak widać, udało się. Hazan był gotów poświęcić wszystko, byleby tylko wyjść cało z tej sytuacji i raz jeszcze zobaczyć Madi.

Czy to możliwe, żebym otworzył swoją duszę na złe moce? – pomyślał. W chwili, gdy to się stało, czuł niewyobrażalną potęgę. Towarzyszyły jej bardzo złe intencje. Hazan też słyszał mroczne szepty, których nie rozumiał. Nie potrafi ich powtórzyć.

– No cóż, będę musiał z tym żyć, obym tylko ją odnalazł – powiedział do siebie.

Nie zwlekając wiele, przyłączył się do mnicha. Wyszli szlakiem handlowym z Hobbs. Aby dojść do celu, musieli dość szybko zagłębić się w las.

– Powiedz mi, co pamiętasz z końca swojej misji. To, co znaleźliście, zostało mi już dobrze przedstawione przez Helego – zaczął mnich.

– Ostatnie, co pamiętam, to walkę ze stworem w lesie. Potem słabo się poczułem, zakręciło mi się w głowie i obudziłem się w garnizonie – skłamał Hazan.

Pamiętał, jak coś przemówiło do niego słowami: „To twoje sługi, rozkazuj im!”. Chłopak mając zamiar kazać im uciekać, powiedział coś w nieznanym mu języku. Słowa przyszły same, nie wiadomo skąd. Potem poczuł ogromne zmęczenie i zemdłał. Chyba jego ciało nie było gotowe na taką moc. Bał się o tym mówić, gdyż można by go uznać za opętanego albo coś w tym rodzaju.

– Jesteś pewien? – nie dowierzał duchowny. – No cóż, na miejscu wszystko się wyjaśni, a i może coś ci się przypomni do tego czasu – dodał.

Hazan nie chciał im zaufać w ciemno. Bał się okrutnego losu heretyka.

Serwan, jedyny z rekrutów, który pozostał na miejscu po krótkim treningu z Helim, wrócił do garnizonu. Tutaj zastał puste łóżko przyjaciela i brak jego wyposażenia w szafce. Wybiegł szybko, by spytać kogoś, co z nim się stało. Gdy zobaczył Kazara z pergaminem w dłoni, krzyknął:

– Hej, co się stało z Hazanem?

– Został odesłany do zakonu – odpowiedział Kazar.

– Ale jak? Przecież on ma być wojownikiem, jego szkolenie jeszcze się nie skończyło! – wykrzyczał rozzalony chłopak.

– Wręcz przeciwnie. Zarówno on, jak i ty zdaliście egzamin, wracając żywi. Ciebie

też czeka przydział, dołączysz do grupy zwiadowców. Ich wysłannik powinien tu być za kilka godzin, tymczasem idę rekrutować kolejne osoby – wyjaśnił Kazar i poszedł dalej jakby nigdy nic.

Serwan stał jak wryty i nie mógł uwierzyć w to, czego się właśnie dowiedział. Wrócił do garnizonu, a następnie położył się i patrząc w okno, rozmyślał.

Przeżyłem tu kilka miesięcy z ludźmi, których znam zaledwie z imienia. Większość z nich straciła życie w pierwszej misji. Czy żyję, bo mam szczęście, czy pomogły mi w tym umiejętności? Czy jeszcze uda mi się zobaczyć Hazana? Nawet nie wiem, co to za klasztor.

Po mniej więcej trzeciej godzinie Serwan usłyszał głosy dobiegające z zewnątrz

– Jesteście wszyscy?

– Tak, to dlatego, że mieliśmy kilka spraw do załatwienia. A teraz pokaż nam nowego.

W drzwiach ukazał się Kazar w towarzystwie pięciu mężczyzn między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia. Wszyscy mieli wysokie buty z skóry i mocne spodnie. Lekką – widać było, że dobrze wykonaną – zbroję i miecz za pasem. Ponadto każdy miał na lewym ramieniu wybitą w metalu królewską pieczęć. Jeden z nich, dość duży i szczupły mężczyzna, wyglądał na dowódcę i zdecydowanie na najstarszego członka załogi. Był łysy i miał wiele blizn.

– Ten młodziczek jest gotowy? – zapytał pogardliwie.

– Tak, przeżył misję i przeszedł szkolenie – zapewnił Kazar.

– Dobrze, więc niech się migiem przebierze i wyruszamy. Nie mam czasu – rozkazał ów herszt.

Serwan nie zadając pytań, włożył na siebie strój bardzo zbliżony do tego, jakie miała ta grupa, i wyszli.

– Jak cię zwą? – zapytał chłopaka jeden z zwiadowców.

– Serwan – odpowiedział.

– Ja nazywam się Kadim.

Była to wojownik raczej młody, choć nie nowicjusz, a jego strój nie zdążył się jeszcze zniszczyć. Kadim był szczupły, średniego wzrostu. Prawdopodobnie to pomagało mu przetrwać misje. Dzięki takiej niezbyt rozrośniętej sylwetce mógł bez problemu się ukrywać.

– Ten tutaj wiecznie smętny to Naan – powiedział Kadim, wskazując na najwyższego w grupie wojownika o wzroku pełnym powagi. Nosił na sobie znamiona niejednej walki. Prawdopodobnie wygranej, skoro jeszcze żyje.

– Ten w środku to Zoltek – kontynuował Kadim, wskazując na małego i uśmiechniętego wojownika. Był on kompletnie łysy i wyglądał, jakby właśnie wrócił z niezłej popijawy. Lekko trąciło od niego alkoholem. Brakowało kilku zębów w jego uśmiechu. Pomimo dość niskiego wzrostu dysponował dużymi rękoma. Pewnie, co za tym idzie, też i siłą.

– Funkar to wielki wojownik. – Mina Kadima spoważniała i spojrzał na największy

„okaz” w grupie. Funkar był istną bestią nie tyle wzrostem, co budową ciała. Przypominał raczej maszynę do zabijania niż człowieka. Był nieco niższy od Naana, ale zdecydowanie szerszy. Miało się wrażenie, że może walczyć dwuręcznym toporem i tarczą na raz.

– Dobra, ja idę coś załatwić, spotkamy się tam, gdzie zwykle – odezwał się dowódca.

– Jego imię to Rasek. Uważaj, bo nie znam nikogo, kto by z nim zadarł i żył.

– Chyba czas, abyśmy przygotowali jakiś nocleg – powiedział Amos.

– Masz rację, robi się ciemno, poszukam jakichś suchych gałęzi na opał – odpowiedział młodzieniec.

Byli w centrum lasu, dość cichego lasu. Zaczęło się ściemniać, a wiatr lekko kołysał korony drzew. W końcu Hazan wrócił z chrustem i położył go na niewielkim dołku. Wtedy Amos wyjął rękę nad drewno, a ono zapłonęło. Starzec uśmiechnął się.

– Magia ognia, powoli zaczynamy coś z niej rozumieć – rzekł.

Hazana nie zdziwiło to zbytnio, w końcu widział wiele, a owa niezwykła umiejętność pasowała do duchownego.

– W miejscu, do którego zmierzamy, będziemy prosić bogów o światło, aby zrozumieć, co się stało. Natomiast ty nauczysz się czytać – powiedział Amos.

To może mi się przydać – pomyślał chłopak i przypomniał sobie pierwsze chwile w stolicy. Może gdybym wtedy umiał czytać to teraz piekłbym chleb albo podkuwał konie, a nie błąkał się po lesie.

– Amosie, chciałbym dowiedzieć się czegoś o Tal’nahu, twoim bogu – poprosił Hazan.

– Opowiem ci trochę o jego historii – zaczął mędrzec. – Tal’nahu to pierwszy syn Tynosa i Ekomi. Mówi się, że wśród rodzeństwa wyróżniał się odwagą i szczególną niechęcią do Menkesa. Ten, gdy był zamykany przez Tynosa, poprzysiął zemstę. Tal’nahu zaś poprzysiął nas bronić. Odprawiamy do niego modły zawarte w starych księgach. Ponoć pochodzą one jeszcze z czasów, gdy bogowie pomagali ludziom na ziemi. Teraz już odeszli na swoje planety, widząc, że jesteśmy samodzielni. Tacy jak ja wierzą, że oni wciąż słyszą nasze modły. Bez nich powrót zła to niechybna zguba.

Gdy tylko banda weszła do gospody, karczmarzka zapytała:

– To co zwykle?

– Tak, i jak zwykle będzie otwarty rachunek – odpowiedział, szczerząc zęby, Zoltek.

Pomimo dość wczesnej godziny w kątach można było zauważyć kompletnie pijanych mężczyzn, pewnie stałych bywalców pijalni. Serwan ujrzał kilka stołów. Za nimi siedzieli głównie najemnicy, spoglądający bardzo nieufnie na innych gości,

z licznymi kufkami przed sobą. Ekipa zwiadowców udała się do stolika w samym rogu karczmy, gdzie stało pięć krzesel. Po chwili podeszła szynkarka z wielkim garem zupy cebulowej i miskami, a jej towarzysza przyniosła kufki z piwem.

– Ciekawe, co dzisiaj ten stary przyk dla nas wymyśli – powiedział Zoltek, biorąc wielki łyk piwa z kufki.

– Pewnie to co zwykle – odpowiedział Kadim.

– Tęsknię za prawdziwą wojną, a nie wyłapywaniem dziwadł po lasach – stwierdził Funkar. – A ty, chłopcze, biłeś się już? – zapytał.

– Tak, na misji walczyliśmy z czymś naprawdę dziwnym. Na szczęście udało nam się wyjść z tego cało – odpowiedział Serwan.

Wywołało to falę śmiechu. Po chwili Kadim wyjaśnił:

– Mieliście przewagę liczebną, teraz będzie zupełnie inaczej.

– Taa – wtrącił się Naan. – Aby przetrwać, musisz wygrać z co najmniej kilkoma takimi w pojedynkę, inaczej długo nie pożyjesz.

– Nasze misje zwykle są samobójcze – wyjaśnił Kadim.

– Taa, ze względu na niedobór ludzi i wszechobecną apokalipsę nie jest łatwo – dopowiedział Funkar.

– Przynajmniej jest za co wypić po misji – powiedział uradowany Zoltek.

Wtedy uwagę Zolteka przykuły hałasy z drugiego końca pomieszczenia. To były zawody w siłowaniu się na rękę. Zwiadowca nie myśląc wiele, wziął porządny łyk piwa i poszedł w tamtą stronę.

– Wpisowe to pięć miedziaków – oznajmił parszywy typ, siedzący z brzegu stołu.

– Dobra, masz. Który jest na tyle odważny, żeby się ze mną zmierzyć? – wykrzyczał Zoltek.

Było tam kilkunastu osiłków. Mistrza miał wyłonić system turniejowy. Nasz zawiadacz siadł przy swoim stole i kładł kolejno jednego po drugim. Na reszcie jego kompanów nie robiło to wrażenia, z wyjątkiem Serwana. Chłopak oglądał jego wyczyny niemalże z otwartymi ustami. W końcu przyszedł czas na finał. Trudno stwierdzić, czy to, co usiadło naprzeciw Zolteka, było człowiekiem.

– Ha, ha! Jeszcze tylko ty mi zostałeś i kasa jest moja – zaszydził sobie osiłek wielki jak grzechy całego miasta. Był łysy i cały w tatuażach.

– No, to się zaraz okaże, jak ci te rączki połamię – odpowiedział pewny siebie Zoltek.

I zaczęli. Na początku obaj spokojnie, dokładając po trochę siły. Na ich twarzach malowało się skupienie. Nagle osiłek zaatakował pełną mocą, a ręka Zolteka wyraźnie zdrząła i zaczęła opadać. Serwan aż wstał, ciekawy, co się stanie. Jednak Zoltek lekko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: na to czekałem. Zarzucił lekko ramieniem i pociągnął z całej siły, kładąc przeciwnika na stole, aż było słychać chrupnięcie. Pokonana bestia niechętnie odeszła od stołu z podkulonym ogonem. Zoltek wstał i krzyknął:

– No! Starczy tej zabawy, teraz dawać kasę! Jego wygrana to czterdzieści

miedziaków.

Dumnie podszedł do stolika, gdzie czekali na niego kompani.

– No, to dzisiaj pijemy na koszt głupców.

Noc była jeszcze młoda, a zabawa trwała w najlepsze. Do ich stołu często podchodziła karczmarka z tacą pełną piwa, a oni sobie nie żalowali. Wszyscy pili tak, jakby jutra miało nie być. Może to właśnie przewidują, pomyślał młody zwiadowca.

– Możecie mi trochę poopowiadać o swoich misjach? – zaproponował.

– Ha, ha! Bardzo chętnie – krzyknął Zoltek.

– Nie wiadomo, czy ta opowieść będzie wiarygodna – zaszydził Kadim.

Zoltek, nie zważając na to, wziął wielki łyk piwa i zaczął opowieść:

– To było kilka miesięcy temu. Król zażyczył sobie, aby zbadać północne góry dzielące nas z innymi królestwami.

Wszyscy, poza najmłodszym, wiedzieli, o co chodzi. Tylko Serwan słuchał z pełnym skupieniem.

– Doszliśmy do pasma górskiego bez problemów. Nawet gorzałki na drogę wystarczyło. Dotarliśmy do naszego punktu obserwacji granic. Jak można było się spodziewać, nikogo tam nie zastaliśmy. Ale, jak się po krótkim czasie okazało, to nie tylko problem naszego państwa. Już mieliśmy wracać do bazy, aż żal było, że taka nuda. Ściemniło się nieco, a głowa od wódki ciążyła, więc postanowiliśmy się przespać. W nocy obudziło nas nieludzkie wycie. Poszliśmy szybko sprawdzić, co się dzieje. W mroku dojrzałem jedną postać, podobną do człowieka. – Jego głos zaczął drżeć. – Gdyby mi ktoś o czymś takim opowiedział, nie uwierzyłbym. Stał tam mój kolega z dawnych lat, Gord. Tylko że już daleko mu było do człowieka, z rysów twarzy go tylko poznałem. – Łzy już zaczęły napływać mu do oczu. Wziął większy łyk piwa i kontynuował: – Wyglądał jak żywy trup. Cały blady, a oczy miał bez źrenic. Rzucił się na nas i wtedy znalazła się reszta załogi posterunku. A właściwie posterunków, bo nie tylko z naszego państwa. Udało nam się uciec do garnizonu. W drzwiach mieliśmy większe szanse wygrać i udało się.

– Misje, jakie wypełniamy, nie są łatwe, a świat stał się okrutnym miejscem – powiedział Kadim. – Sądzymy, że za tym stoi jakaś przeklęta choroba, która robi z ludzi żywe trupy. Sama tylko zaraza może doprowadzić nas do zagłady, a to zaledwie kropla w morzu problemów. – Gdy to powiedział, przy ich stoliku zagościł smętny nastrój. – Są chwile, w których nawet tacy wojacy jak Funkar czy Naan mają dość – dodał.

Nikt temu nie zaprzeczył.

– Brałem udział w jednej takiej misji, której nie zapomnę do końca życia – powiedział ów wojak bardzo smutnym tonem. – To była jedna z pierwszych, zaraz po pojawieniu się tego zła na ziemi. Mieliśmy znaleźć i odeskortować ocalałych, którzy zachowali się w jaskini na wschodzie, jakiś dzień drogi stąd. Wyruszyliśmy jak na każdą inną misję, wtedy jeszcze nie znaleźliśmy innego wroga niż człowiek. Gdy dotarliśmy do jaskini, zobaczyliśmy krew. To nie był dobry znak. Przy wejściu leżały porzucane zwłoki. Każde wygięte w makabryczny sposób. Martwe od obrażeń

wewnętrznych. – Jego głos zaczął się coraz bardziej załamywać. – Z wnętrza słyszeliśmy krzyk dziecka, a raczej błaganie o litość. Prosiło matkę, by się opamiętała. Przy pochodni widzieliśmy, że czworo dzieci skróciła już o głowy, które nabiła na paliki. To samo zrobiła i z tym, nim zdążyliśmy zareagować. Jej diabolicznego chichotu nie zapomnę do końca życia. – Po tych słowach zapadła krótka cisza. – Sądziła, że składa je w ofierze. A to ma jej dać nieograniczoną moc i panowanie nad światem – dodał. – Rzeczywiście zamordowała kilku naszych, nim podzieliła los dzieci – skończył i pogrzył się w kufli.

Serwan zaczął powoli żałować, że pytał. Same opowieści o tych strasznych wydarzeniach na długo nie pozwolą mu spać spokojnie.

Jak można cokolwiek na to zaradzić? – zapytał sam siebie.

– Świat już nigdy nie będzie taki, jak kiedyś – powiedział Kadim.

– Oby tylko nasz gatunek przetrwał – dodał Funkar.

– Musimy o to dzielnie walczyć, każdego dnia – wtrącił Naan.

Nastroje były wyjątkowo ponure. Nie sposób też zliczyć osuszonych już kufli.

Gdy tak rozmawiali między sobą, w obozisku pojawił się Rasek. Najpierw podszedł do karczmarza i odbył z nim rozmowę, a potem zbliżył się do ich do stolika.

– Niestety jest tak, jak się obawialiśmy. Rano bądźcie gotowi do drogi. Wszystko jest już przygotowane – dodał i pomaszerował na górę.

Sądząc po minach, to nie miała być wycieczka krajoznawcza. Serwan wyczytał z ich twarzy to, czego potrzebowal, i średnio mu się to podobało. Wszyscy stracili ochotę do dalszego picia i niezwłocznie udali się spać.

Misja zwiadowcza

Następnego dnia rano wszyscy zebrali się w jednym pokoju.

– Czeka nas ciężkie i odpowiedzialne zadanie – zaczął Rasek. – Po raz pierwszy opuszczamy rodzinny kontynent Rotem, ale nie państwo Markude. Naszym celem jest sprawdzenie sytuacji na wyspach dolnych, zajętych przez piratów.

– Ta wyprawa to prawie pewna śmierć – wtrącił Kadim.

– Od początku trwania plagi nie mamy żadnych raportów z tamtych rejonów. Król pragnie wiedzieć, co tam się dzieje, więc musimy wykonać misję – odpowiedział dowódca.

Nastroje były ponure, a Zolteka zapewne mocno bolała głowa po wczorajszym. Miał to wypisane na twarzy.

– Łódź z zapasami czeka na nas w porcie królewskim, gdzie jutro musimy się stawić. Czy ktoś z was zna się na żeglowaniu? – spytał.

Po chwili ciszy Naan odpowiedział

– Gdy byłem młody, pływałem z ojcem na ryby.

– A więc będzie bardzo ciężko – stwierdził Kadim.

– Naszym celem jest najbliższa wyspa. Bardzo mała, oddalona o trzy dni drogi. Służyła ona bandytom za punkt obserwacyjny. Cel misji to sprawdzić, czy ktoś tam żyje – wyjaśnił Rasek. – Macie dwie godziny na przygotowanie się, po czym wyjedziemy konno do portu królewskiego – dodał i wyszedł, a tuż za nim Zoltek, Naan i Funkar. Zostali tylko Kadim i Serwan.

– Moim obowiązkiem jest przygotowanie cię do misji – powiedział Kadim. – Nie martw się o ekwipunek, wszystko na początek dostaniesz. Powinieneś natomiast przygotować się mentalnie. Czeka nas około tygodnia na otwartej wodzie. Piraci to naprawdę najlepsza opcja, jaka może nas spotkać.

– Nie masz co się o mnie martwić – powiedział Serwan z poważną miną i wyszedł.

Kadim go nie zatrzymywał. Wiedział, że to zbędne. Pomimo młodego wieku Serwan już trochę przeżył. Wiedział, jak przygotować się do kolejnej misji. No i mieli kilka spokojnych dni na wodzie – przynajmniej na to liczyli.

To jest mój czas – pomyślał Serwan. Chcę być wielkim i silnym wojownikiem, to dla mnie dobra szansa. Dam z siebie wszystko.

Idąc miastem, nie rozglądał się za ludźmi ani widokami. Był skupiony i zdeterminowany. Niektórzy widząc go, zmieniali trasę w obawie o kłopoty. Serwan był skupiony tylko na jednym. Siła i honor – za wszelką cenę! Ciężko było odróżnić w jego sercu motywację od szaleństwa. Bardzo chciał być wielki i zasłużony. Chciał oddać swoje życie w słusznej sprawie. Za ojczyznę. I za przetrwanie rodzaju ludzkiego.

Do ostatniej kropli krwi.

Kolejna myśl w jego głowie to Hazan. Chciał go odnaleźć i walczyć z nim ramię w ramię. Serwan przeczuwał, że kolega z garnizonu wplątał się w kłopoty. Niestety, niewiele mógł teraz zaradzić. Jedyne, co pozostaje, to stawać się silniejszym. Hazan nie był byle kim, w końcu przeżył. Na pewno sobie poradzi. Zakon powinien być bezpieczny i spokojny, a wręcz nudny. Wyciągnę go stamtąd – poprzysiągł.

Idąc tak ulicą, zauważył Zolteka, Naana i Funkara w towarzystwie podejrzanego typu wątlej postury, odzianego w płaszcz z kapturem. Chłopak zaciekawiony podszedł bliżej, tak aby coś usłyszeć i pozostać niezauważonym.

– Jakie wieści? – spytał Zoltek.

– Nasz pan pragnie więcej złota. Czasy trudne, a towar cenny – odpowiedział nieznamy.

Naan ruszył w stronę rozmówcy i chciał złapać go za szyję.

– Zostaw! Chyba nie chcesz sprowadzić na nas kłopotów? – powiedział Funkar i chwycił towarzysza za rękę. – Ile dokładnie? – zapytał.

– Dodatkowe dziesięć sztuk – odpowiedział.

– Dobra, będziesz to miał – powiedział Zoltek. – Oby obeszło się bez dodatkowych komplikacji. Daj nam godzinę i spotkamy się w tym samym miejscu – dodał i wszyscy się rozeszli.

Serwan nie był pewien, czy powinien badać sprawę.

Czego oni takiego mogli chcieć? – pytał się w myślach. Hmm, w końcu i tak mam sporo czasu – powiedział do siebie.

Pozostał w ukryciu i używając osetki, przygotowywał swój miecz. Marzył o tym, jak go zatopi w przeciwniku. Jak wygra długi i krwawy bój, który okryje go sławą.

Nawet nie zauważył, kiedy jego kompani wrócili na miejsce. Podejrzanym typem już tutaj czekał. Zoltek wsunął nieznanemu sakiewkę w rękę i wyszeptał:

– Mam nadzieję, że to towar pierwsza klasa.

– Na pewno będziecie zadowoleni – odpowiedział, podając dyskretnie mały pakunek, który Zoltek szybko schował.

Rozstali się bez pożegnania, każdy poszedł w inną stronę. Serwan dziękował bogom, że go nie zauważyli, i ruszył bocznymi uliczkami w wyznaczone miejsce.

Wszyscy spotkali się przy bramie o umówionej porze, gdzie czekał na nich wóz. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Widmo śmierci z rąk piratów, albo czegoś jeszcze gorszego, było przytłaczające. Szczególnie młody Serwan ciężko to znosił, pomimo że zgrywał twardego. Natomiast Funkar i Naan zdawali się wyglądać, jakby nudzili się bez walki, a ona przecież była ich najlepszą rozrywką. Wtedy coś zbudziło ich z letargu. Uświadomili sobie, że w wozie czekała na nich kobieta, młoda i bardzo piękna. Niskiego wzrostu, miała długie, czarne włosy i niebieskie oczy oraz gładką i zadbaną cerę. Była ubrana w strój ze skóry bardzo dobrej jakości, na plecach miała zdobiony kij, zakończony ostrzem z obu stron. Wyglądała na bardzo wprawną wojowniczkę, choć nie mogła być wiele starsza od Serwana.

Rasek zmierzył ją wzrokiem.

– Co tutaj robisz? To nie miejsce dla ciebie. Lepiej wracaj do domu – powiedział chłodnym tonem.

– Z woli króla mam dołączyć do was w tej misji i pilnować, żebyście nic nie popsuli – odpowiedziała lekceważącym tonem.

Co za tupet! – pomyślał sobie Serwan.

– Musi być albo bardzo odważna, albo głupia, żeby tak zwracać się do tych ludzi – szepnął do siebie.

Rasek uśmiechnął się i odpowiedział

– Jeśli znudził ci się ten świat, proszę bardzo.

Wszyscy weszli do środka. Każdy przyglądał się kobiecie, ale nikt nic nie mówił. Dość szybko dotarli na miejsce.

W porcie królewskim czekał na nich jacht. Człowiek, który się nim opiekował, poznał grupę od razu. Rasek nie chciał tracić czasu, więc odpłynęli bez zwłoki.

– To musi być niezwykle ważna misja – powiedział Kadi i wskazał na mały magazyn.

Próżno było w nim szukać broni, cały niezbędny oręż mieli na sobie. Natomiast jeśli chodzi o jedzenie, to zapas chleba, owoców i mięsa mógł starczyć na trzy tygodnie. Nie mniej było wody.

– Jeszcze tylko proch i armata, a można byłoby z tym statkiem żyć jak piraci – zażartował Zoltek.

Broń palna nieraz zawodziła. Jeszcze sporo czasu zajmie uczonym udoskonalenie tego wynalazku. Czasu, którego teraz nie ma, aby o tym myśleć. Natomiast armaty działały niezawodnie. Jacht, oprócz magazynu, został wyposażony w pomieszczenie z łózkami. Na środku stał stół z siedmioma krzesłami. Pokład był na tyle duży, aby na nim trenować. Pogoda sprzyjała. Kobieta od razu poszła do swojej kajuty i się tam zamknęła.

– Coś czuję, że będą z nią problemy – powiedział Kadim do reszty mężczyzn.

– Szkoda, żeby miała zginąć bez powodu – dodał Funkar.

– Wiedziała, na co się pisze – odpowiedział Naan i tym samym skończył dyskusję.

Rasek ustawił kurs zgodnie z mapą i rozkazami, po czym zwołał wszystkich przy stole.

– Mamy trzy dni na przygotowanie się – przemówił. – Wiatr nam sprzyja. Nie mamy pojęcia, co możemy spotkać na wyspie, więc zaleca się ostrożność.

– Czego się tam spodziewamy? – zapytał Zoltek.

– Nie wiemy, jaki zasięg ma owa epidemia zła – odpowiedział dowódca. – Nasz obserwator nie zauważył niczego na wodach, więc mam przecucie, że czeka nas spotkanie z bestiami.

– To niemożliwe, żeby żaden statek przez tyle czasu nie dobił do kontynentu – powiedział Funkar.

– Może to być jakiś potwór ukryty w głębinach – zasugerował Kadim.

– Wtedy jesteście już martwi – odpowiedział Naan. – Na nic zda się nasz oręż w wodzie.

Usłyszeli szyderczy chichot.

– Wy nawet nie wiecie, z kim będziecie walczyć – skwitowała dziewczyna.

– A więc oświeć nas – odpowiedział Rasek.

– Czy to nie oczywiste? – zapytała. – Nie widzimy nic na wodzie, czyli statki nie miały prawa pokonać nawet krótkiej drogi od wyspy, zatem bestia morska odpada – zaczęła, a wielu odetchnęło z ulgą. – Zwykła epidemia albo ataki spowodowałyby raczej masową emigrację na kontynent. To musi być coś na tyle dużego i inteligentnego, żeby niszczyć statki w porcie – stwierdziła.

– W takim razie jak z tym walczyć? – zapytał Funkar.

– Bić po tętnicach w nogach i nie dać się trafić – oznajmiła i wróciła do kajuty.

– Ma gadane ta nasza nowa przyjaciółka – stwierdził Zoltek.

– Może mieć rację – powiedział Rasek. – Teraz mniej więcej wiemy, co może nas spotkać na wyspie. Przygotujcie się raczej na walkę zręcznościową niż siłową – polecił dowódca.

– To prawda – potwierdził Kadim.

Cała grupa zdała sobie sprawę, że raczej nie ma co liczyć na ocalałych. Po co król wydelegował tę kobietę? – pomyślał Serwan. Na pewno musiał mieć jakiś plan, a ona wydaje się znać na rzeczy. Może okazać się cennym sojusznikiem w tym zadaniu.

Naan i Funkar pograżyli się w oszalałym pojedynku na podkładzie. Rasek pilnował wyznaczonej trasy i sporządzał nudne raporty. Zoltek odnalazł dobrego przyjaciela – beczkę z napisem RUM. Kadim natomiast postanowił przetestować możliwości młodego wojownika. Tajemnicza towarzyszka przyglądała się reszcie i ostrzyła swoją broń. Bacznie obserwowała każdy ruch w obu pojedynkach.

– Weź swój miecz i pokaż, na co cię stać – zachęcił zwiadowca.

Serwan uśmiechnął się lekko, po czym wziął miecz do ręki. Był pewny siebie. To za sprawą Kazara i jego szkolenia. Walka była tym, na czym obecnie znał się najlepiej. Stanęli naprzeciwko siebie, obaj pewni swego zwycięstwa. Pierwszy zaatakował Serwan. Uderzał szybko i mocno, jednak Kadim odpierał wszystkie jego ciosy i zręcznie odchodził do boku, próbując kontrataku. Chłopak znał te ruchy i wiedział, jak parować atak tego typu. Po mniej więcej dziesięciu minutach wiedzieli już, że są godnymi siebie przeciwnikami. Zza sterów bacznie przyglądał im się ciekawy nowego rekruta Rasek.

– Może jednak pożyjesz kilka dni – zaszydził Kadim.

– Mam zamiar pożyć o wiele dłużej, skoro tobie się to udało – odpowiedział chłopak.

Obaj byli świetnie wyszkoleni. Na korzyść starszego przemawiało doświadczenie. To właśnie ten atut pozwolił mu na wytrącenie miecza z ręki przeciwnika.

– Ha! Rozpracowałem cię! – wykrzyknął radośnie.

Nie myślał, że wygrana będzie taka trudna i radosna. Serwan trochę się zmarszczył

i odpowiedział:

– No cóż, głupim szczęście sprzyja.

Wiedział, że to jeszcze nie jest jego ostateczne słowo.

Walka Naana i Funkara to coś zupełnie innego. Kilka lig wyżej niż Kadim i Serwan. Tak jak młodzi chłopcy używali szybkości, tak tutaj dominowała brutalna siła. Moc ich uderzeń rozchodziła się echem po wodzie. Siła ciosu ich wielkich oręży była niedościgniona. Z łatwością kruszyli drewniane tarcze. Wszyscy na pokładzie wiedzieli, że próba parowania ich uderzeń to czysta głupota. W tej walce można było też zauważyć nienaganną technikę i doświadczenie. Nic, tylko patrzeć i się uczyć.

– Zrobiło się ciemno. Serwanie, idź zapal świecę – wydał polecenie Rasek.

Wszyscy zebrali się na posiłek przy stole, gdzie zastali pijanego Zolteka.

– Czy ty potrafisz być trzeźwy choć kilka dni? – zapytał poirytowany Naan.

– Chcesz, abym miał żaby w żołądku? – odpowiedział pytaniem Zoltek. – Trzeba wszystko złe przepalić – dodał z pijackim uśmiechem.

Nieznajoma towarzyszka też do nich dołączyła.

Na kolację zjedli chleb z kurczakiem. Był to lepszy posiłek niż w niejednej karczmie. Piwa też nie zabrakło. Wszyscy napełnili żołądki do syta. Następnie Rasek wyznaczył dyżury wartownicze. Reszta ułożyła się wygodnie w łózkach i poszli spać. Pierwsza straż przypadła najmłodszemu.

Serwan stał na pozycji, obserwując wody. Nie było widać lądu, a wiatr sprzyjał. Chłopak pograżył się w rozmyślaniu. Jak spotkać się z Hazanem i, być może, uratować go od kłopotów? I co ta trójka kombinowała w mieście? Drugie pytanie było jednak mniej interesujące. Gdy uda się wypełnić misję i wrócić, może znajdzie sposób, aby doprowadzić kogoś konia i wyruszyć do zakonu. Oby nie było szybko kolejnej wyprawy. Coś ciągnęło go do Hazana. Coś, co nie dawało spokoju. Tak samo słyszał w głowie głos: „Zaakceptuj swój los”.

No dobra, ale co jest moim przeznaczeniem? Czy to walka jako zwiadowca, odnalezienie przyjaciela, a może coś jeszcze innego? Na bogów! Chcę stać się niewyobrażalnie silny, a moja droga ma być drogą honoru, myślał. Ciężko mu było stać w miejscu, miał ochotę wziąć miecz i walczyć. Nieważne, z kim i o co, byleby tylko stać się lepszym.

Zaczął nerwowo krążyć po całym pokładzie i zerkał na wodę. Była bardzo spokojna, a fale małe. Wtedy usłyszał kroki.

– Idź lepiej spać, teraz moja kolej – burknął Naan.

Gdy przechodził, ujrzał kobietę stojącą przy burcie i wpatrującą się w wodę.

– Hej! – krzyknął do niej. – Nie musisz tutaj stać, możesz iść spać – oznajmił jej.

– Wiem – odpowiedziała. – Tutaj jest piękny widok, chciałam trochę popatrzeć – dodała.

– Nazywam się Serwan – powiedział. – A ciebie jak zwą? – zapytał.

– Dani – odpowiedziała. – Dlaczego pytasz, skoro i tak możemy tam wszyscy poginać?

– Wierzę, że wszyscy przeżyjemy – odpowiedział.

– Ha, ha – zaśmiała się. – Jesteś wielkim optymistą, lubię to – powiedziała z uśmiechem na ustach. – Jak trafiłeś do tego oddziału?

– Po kataklizmie uciekłem z wioski prosto do stolicy. Tam odbyłem szkolenie w garnizonie. Po jego ukończeniu trafiłem tutaj. A ty?

– Ja szkoliłam się od urodzenia. Więcej nie mogę ci powiedzieć, bo musiałabym cię zabić – dodała, śmiejąc się i poszła do siebie.

Chłopak rzucił jedno spojrzenie na horyzont. Następnie poszedł do swojej kajuty. Wszedł do łóżka ogarnięty wielką żądzą. Przypomniał sobie wtedy historię o Gargonie – bogu walki, męstw i wojny. Niektórzy dodają jeszcze – śmierci. Jego natura jest owiana tajemnicą. Natomiast jedno jest pewne, jest on ucieleśnieniem siły. Chłopak, ogarnięty szalem, chwycił za sztylet i upuścił nieco krwi z ręki.

– Na tę krew przysięgam ci wierność, czegokolwiek byś nie chciał. Uczyń mnie prawdziwą bestią – powiedział.

Cena nie grała już roli. Pozbawiony rodziny, miał na świecie tylko przyjaciela. Aby go zobaczyć, musiał wygrać. Co do tego nie miał wątpliwości. Pakt nieco go uspokoił. Serce biło wolniej, a oczy zrobiły się senne. Przy tak dobrym wietrze może dotrzemy do celu szybciej, pomyślał. Miał nadzieję na walkę i zatopienie miecza w swoim przeciwniku, kimkolwiek on by nie był. Coś głęboko w sercu mówiło mu, że podjął dobrą decyzję. Czuł, że jego życie nabrało sensu.

Klasztor

Śpiew ptaków zbudził mnicha i młodzieńca.

– Czas ruszać dalej – powiedział Amos.

Hazan bez słowa zebrał swój ekwipunek i wyruszyli w drogę. Do Hazana zaczęły dochodzić czarne myśli. Dzień był słoneczny, ale w gęstym lesie panował półmrok. Cisza i podejrzący wyraz twarzy mnicha potęgowały zły nastrój.

Oni knują coś złego i tylko stracę czas – mamrotał jak mantrę. Powinienem stawać się silniejszy i dokonać zemsty – za moją piękną Madi. Jedyne, co może dobrego wypłynąć z mojego pobytu w tym miejscu, to nauka pisania i czytania. Może dowiem się czegoś ciekawego o magii. Chyba że nauczą mnie panować nad mocą... – na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Może też w starych księgach jest coś godnego uwagi – rozmyślał. Gdyby tak udało się dostać do biblioteki zakonu, może jest jakiś tajemny pokoik...

Około południa trafili na polanę. Mieli niezły fart, głód dawał im się we znaki, a na polanie była sarna.

– Poczekaj, spróbuję ją podejść – powiedział Hazan i wyciągając miecz, skradał się w stronę ofiary.

Był już kilka kroków od sarny. Zrobił mały zamach i wbił ostrze w jej pierś. Niestety, zwierzę zdążyło się spłoszyć i zaczęło uciekać. Nagle Hazan poczuł, jak koło niego przelatuje bardzo gorące powietrze. Sarna zaczęła się palić. Zdezorientowany chłopak pozostał w pozycji bojowej i się odwrócił.

– Mimo lat ciągle niezły ze mnie łowca – powiedział uśmiechnięty Amos.

A więc tak wygląda użyteczna magia, pomyślał Hazan i spojrzał na gotowe mięso z sarny. Postanowili zrobić sobie mały przystanek na jedzenie. Gdyby móc używać takiej kuli w trakcie walki... – zamarzył chłopak.

– Mnichu, możesz mnie tego nauczyć? – zapytał odważnie.

Na ustach Amosa pojawił się lekki uśmiech.

– Do tego potrzeba nie lada opanowania i koncentracji. Inaczej mogą być z tego tylko kłopoty – odpowiedział.

– Jak długo zajęło ci nauczanie się magii?

– Poszło dość szybko w moim przypadku, ale to zasługa wiary i trybu życia – odpowiedział. – Warunki zakonne sprzyjają kontemplacji. Zakładamy, że każdy człowiek teraz jest w stanie czarować. Wydarzenia tego feralnego dnia przywiodły jakieś wielkie moce do naszego świata. Kto wie? Może gdy będziesz się pilnie uczył, to kiedyś też będziesz tak potrafił – pocieszył młodego wojownika.

– A czy jest możliwe zakląć oręż magią, tak by raził wroga żywym ogniem?

– Widzę, że nie brakuje ci pytań – powiedział mnich. – To całkiem ciekawa teoria, ale nie mam co do niej pojęcia – odpowiedział.

Coraz to kolejne pytania wprawiały chłopaka w coraz większą zadumę. Przynajmniej czas płynął znacznie szybciej, a droga wydała się krótsza.

Hazan przez cały czas był wyraźnie zmartwiony ową podróżą. Niekoniecznie tutaj widzi swoje przeznaczenie. Jak może uratować Madi, będąc zamknięty w klasztorze? – pytał siebie w myślach. Serwan pewnie jest pochłonięty walką. Doskonali się i brnie naprzód – zazdrościł. Zaczął nawet rozglądać się za możliwością ucieczki. Dezercja groziła ścięciem. Martwy zdziała znacznie mniej niż z murów zakonu. Może istnieje jakaś magia, która pozwoli się z nią połączyć? Albo chociaż wyznaczyć, gdzie ona jest? Oby ten czas nie był zmarnowany...

Z jednej strony czuł się trochę jak w potrzasku. Z drugiej był bardzo ciekawy tej magii. Może to dzięki niej odzyska Madi. Albo może można cofnąć czas? – snuł różne domysły. Wiedział, że świat dzięki niej zmienił się nie do poznania. Jeśli ludzkość przetrwa, to świat niemagiczny będzie już tylko lekcją historii. Z taką mocą właściwie nie było ograniczeń. Tylko spraw niemożliwych do wykonania można mieć na wyciągnięcie ręki. Gdyby tylko okiełznać tę magię...

– Nie bój się, chcemy ci pomoc – powiedział starzec, uspokajając chłopaka.

– Nie boję się, już dość złego mnie spotkało – odpowiedział Hazan.

– Nie musisz tego przede mną ukrywać, znam się na ludziach – odparł Amos. – Wiem, że ludzie boją się nowego – wyjaśnił.

Zabrzmiało to, jakby powiedział „wy, ludzie”, pomyślał sobie Hazan. Wydawał się zdystansowany od poczucia straty.

– A jak w zakonie przeżyliście atak? – spytał badawczo.

– Przetrwaliśmy głównie dzięki murom. Wielu z nas zginęło. Każdy ma swoje demony – dodał mnich ze smutkiem.

To trochę uspokoiło Hazana. Odjęło tajemniczości z osoby mnicha. Może oni na prawdę chcą mi pomóc? – pomyślał. Teraz jest bezpieczny i ma w ręku kawał wyborowego mięsa. Lepiej cieszyć się taką chwilą, póki jeszcze można.

Po posiłku kontynuowali podróż. Po kilku godzinach ujrzeni wielki budynek zakonu. Drogę jednak przecinała rzeka. Co prawda był tu most, ale niewiele z niego zostało i co dziwniejsze, wyglądał na spalony.

Jak to możliwe, skoro dookoła były drzewa? – zadawał sobie pytanie Hazan.

– To wynik ataku monstrów – odpowiedział Amos, jakby potrafił czytać w myślach.

– Jak przejdziemy w takim razie?

– Mamy na to swoje sposoby – odpowiedział mnich z uśmiechem, po czym nakreślił dziwne znaki w powietrzu, a ziemia zaczęła się poruszać.

Łądz z jednej i drugiej strony się połączył. Obaj przeszli suchą stopą i zaraz za nimi ziemia wróciła na swoje dawne miejsce. Hazan już przestał się dziwić czemukolwiek. Obecne zjawiska zaczęły go raczej fascynować. Świetnie byłoby osiąść taką moc...

Po mniej więcej godzinie stanęli u progu zakonu Tal'naha – boga, który był obrońcą

wszelkiego życia i ochroną przed złem. Brama otworzyła się przed nimi, jakby wiedziała o ich przybyciu. Najpierw weszli na pusty plac. Wejścia prowadziły do trzech budynków. Jeden z nich zapewne był miejscem, gdzie mieszkali mnisi. Kolejny – największy – to najpewniej świątynia ze sporą wieżą. Nie miał natomiast pojęcia, co kryje się w ostatnim.

– Chodź na mały posiłek z kuchni zakonnej – zachęcił Amos z ciepłym uśmiechem.

Zaprowadził chłopca do części mieszkalnej. Był tu dość długi korytarz z drewnianymi drzwiami mniej więcej co cztery kroki. Na końcu znajdowała się spora sala, a w niej wielki stół. Były tu kolejne drzwi, a za nimi coś na kształt kuchni.

– O, i jest coś dla nas – powiedział mnich, po czym wziął dwie miski pełne zupy i bochenek chleba.

Amos zaraz po posiłku zabrał talerze do kuchni, a potem powiedział:

– Pokażę ci, gdzie będziesz spał.

Wskazał na jedne z drzwi na korytarzu. Prowadziły do pokoiku, w którym znajdowało się łóżko i niewielka szafka.

– To są twoje cztery ściany na czas pobytu w zakonie. Aha, gdybyś chciałbyś się umyć, to na końcu korytarza jest misa z wodą – dodał Amos i wyszedł.

Ale jak na końcu korytarza, skoro tam jest jadalnia i nic więcej tam nie widziałem? – pomyślał Hazan. Wyszedł z pokoju i z niemałym zdziwieniem zobaczył ową misę. Nie myśląc wiele, skorzystał z niej, zmęczony podróżą, i poszedł spać.

Jęk i okrzyki bojowe dobiegały z każdej strony, dwie wielkie armie były pogrążone w morderczej walce. Nad głowami świstały kule armatnie, płonące dziwnym niebieskim ogniem. Z ziemi wychodziły khanisy i, owładnięte żądzą krwi, atakowały co popadnie. Hazan stał pośrodku tej jatki z wielkim toporem w dłoni. Dojrzał po prawej stronie znaną już mu postać wielkiego niedźwiedziego wojownika.

– Czy to ty jesteś odpowiedzialny za masakrę w mojej wsi? – wykrzyczał rozżalony chłopak. – Gdzie jest Madi?

Wielka bestia spojrzała na niego dumnym i majestatycznym wzrokiem.

– Niedługo poznasz swoją moc. Mądrze dokonuj wyborów. Od ciebie zależą losy bitwy – odpowiedział.

Hazan obudził się w swoim łóżku i spojrzał za okno. A więc to kolejny sen-znak – pomyślał. Wygląda na to, że mój pobyt w tym miejscu odgrywa ważną rolę oraz że stanę przed ważnym wyborem.

Chłopak wstał, ubrał się i uświadomił sobie, że właściwie nie wie, dokąd powinien się udać. Zauważył też brak miecza, co go bardzo zdenerwowało i zdezorientowało.

Ktoś musiał tu być, gdy spałem. Nie podoba mi się to miejsce, pomyślał. Zaczął też się zastanawiać nad tym, czy opowiedzieć mnichom o swoim śnie. Z jednej strony

mogli mu pomóc, z drugiej – potępić. Nie chciał tak szybko odkrywać kart. Niech najpierw zasłużą na moje zaufanie, postanowił.

Udał się do jadalni i znalazł tutaj miskę z jajkami i chlebem. Nie myśląc wiele, zjadł śniadanie. Wyszedł z budynku i trafił na dziedziniec. Zaciekawiony tym, co może być w trzecim gmachu, spróbował otworzyć drzwi. Niestety, nawet nie drgnęły. Zaczął krążyć dookoła w poszukiwaniu okna. Jego wysiłek był próżny. Co prawda kiedyś okna tu były, widać to, ale otwory zostały zamurowane. Udało mu się znaleźć jedynie małą dziurkę. Zajrzał przez nią i zobaczył ubranie mnicha przywieszzone do ściany. Wtedy poczuł dłoń na ramieniu. Przestraszony podskoczył i odwrócił się. To był Amos.

– Widzę, że już się obudziłeś i zjadłeś śniadanie – powiedział mnich. – Chodź do sali narad – dodał i poszedł w stronę kwatery mieszkalnej.

Przeszli przez korytarz i obaj dotarli do sali, którą Hazan uznał za jadalnię. Przy stole siedziało pięciu braci. Wszyscy byli sobie bardzo podobni. Lata młodości mieli już za sobą, ich sylwetki były szczupłe, a twarze zdobiły długie brody.

– Od prawej strony siedzą: Argon, Merton, Ilon i Oner. U niego będziesz uczył się czytania i pisania oraz wiedzy o świecie – przedstawił Amos kompanów.

Oczy wszystkich były skierowane w stronę Hazana.

– Czy to ten chłopak? – zapytał jeden z mnichów.

– Tak – odpowiedział Amos.

– To ja się nim zajmę – powiedział Oner i wstał ze swojego miejsca.

Razem weszli do jednego pomieszczenia, gdzie był niewielki stół, obok niego dwa krzesła, a na nim księga. Mnich wskazał, by usiąść za stołem, po czym otworzył księgę.

– Wpierw nauczysz się alfabetu – powiedział.

Pokazał mu trzydzieści dwa znaki. Były one wypisane na jednej z kart księgi. Następnie zaczął objaśniać, jaki znak co oznacza. Chłopak miał uczucie, jakby kiedyś już to robił, i dość szybko przyszło mu zapamiętanie liter. Chwilę po tym mnich pokazał mu proste wyrazy w księdze, które chłopak kulawo próbował odczytywać. Czasem nawet mu się to udawało. Po dobrych kilku godzinach mnich wstał.

– Na dzisiaj wystarczy, wrócimy do tego jutro – oznajmił i zostawił go samego.

Hazanowi towarzyszył ból głowy, bez wątpienia spowodowany myśleniem. Chłopak poszedł w kierunku swojego pokoju. Nie myślał, że istnieje coś takiego jak kondycja intelektualna.

– Czy początki będą tak samo trudne jak w garnizonie? – szepnął do siebie. – No nic, teraz przynajmniej jestem odporny na ból.

Chłopak nie chciał też, aby jego tężyzna fizyczna zmaląła. Postanowił trochę pobiegać. Wykonał również trochę ćwiczeń, które poznał w garnizonie. Wziął jakiś kij i udawał, że walczy z przeciwnikiem. Był przy tym mocno skupiony. Wszak było to dla niego bardzo ważne. W takich sytuacjach jak z misji mógł liczyć na siłę własnych ramion. Kiedy wracał do pokoju, skorzystał jeszcze z misy z wodą. Chciał rozkoszować się spokojnym wieczorem i nabrać siły. Nie zamierzał tracić czasu na zbędne rzeczy ani niepotrzebnie tracić sił.

W takim tempie chyba szybko nauczę się tej sztuki czytania i pisania, pomyślał, odpoczywając na łożku. Czuł, jak schodzi z niego zmęczenie drogą i nauką. Rozpływał się w tej błogiej chwili odprężenia. Wtedy usłyszał pukanie do drzwi i pojawił się Amos.

– Chodź ze mną, brat Argon chce z tobą pomówić – wyjaśnił.

Wyszli na zewnątrz i udali się w stronę dziedzińca. Tutaj Amos się zatrzymał.

– Rano zobaczyłem cię przy tym budynku. Pewnie ciekawi cię, co w nim jest. Tutaj są złożone ciała zmarłych braci i ludzi zasłużonych zakonowi – wyjaśniał. – Podczas ataku bestii na klasztor zabarykadowaliśmy się w środku, prosząc Tal'naha o pomoc – kontynuował. – Wielu z nas zginęło tego dnia i nagle wszystko się skończyło jak nożem uciął.

Następnie weszli do świątyni.

Czyli taki sam scenariusz jak dla każdego innego człowieka na kontynencie, pomyślał sobie Hazan.

– Za drzwiami po prawej jest wejście na wieżę – powiedział Amos.

W środku stało pełno drewnianych ławek, ustawionych w dwóch rzędach. Na ścianach było kilka wielkich okien, a z przodu ołtarz z czymś wizerunkiem. Pewnie Tal'nah, pomyślał chłopak.

– Zbieramy się tutaj trzy razy dziennie – powiedział Amos. – Czuwamy tutaj, rozmyślamy i szukamy drogi – dodał.

Chłopak rozglądał się po wielkim pomieszczeniu. Na niektórych ścianach dojrzał wyblakłe malowidła. Nie były co prawda wyraźne, ale można było na nich dostrzec postać wielkiego wojownika z mieczem, stojącego przed niewinnymi.

– Pracujemy nad tym, aby to poprawić – powiedział Amos z uśmiechem, wskazując na malowidła. Następnie poprowadził chłopaka na sam przód sali. Na ołtarzu było widać ślady po cięciu i pięknie zdobiony nóż.

Pewnie tutaj składane są ofiary dla Tal'naha, pomyślał Hazan.

– Chodźmy, brat Argon już na nas czeka – powiedział mnich, wskazując na niewielkie drzwi. Razem przeszli przez nie i zobaczyli brata Argona z papirusem w ręku.

Morze dolne

Śpiew pijanego Zolteka zbudził Serwana. Chłopak czuł się pełen energii. Rasek zebrał wszystkich przy stole, gdzie zjedli śniadanie.

– Czy ktoś z was zauważył coś dziwnego w nocy? – zaczął

– Było bardzo spokojnie – odpowiedział Kadim.

– Nazbyt spokojnie – dodał Naan.

– Masz rację! – powiedział dowódca. – Na tych wodach powinny żyć duże ryby, które dałyby nam znać o sobie w nocy. Mamy podstawy przypuszczać, że zwierzęta morskie zostały dotknięte kataklizmem. Tak samo nie spotkaliśmy żadnych statków, wody wyglądają na zupełnie opustoszałe – dodał poważnym tonem.

– Z kim w takim razie będziemy walczyć? – zapytał pijany Zoltek.

– Z tym, co zastaniemy na wyspie – odpowiedział Rasek.

– Możliwe też, że piraci zasiali spustoszenie w wodach. A teraz się gdzieś zaszyli – powiedziała kobieta.

– Ty chyba zawsze będziesz nam na przekór – odpowiedział Kadim.

– Nie, nie zawsze. To się zmieni, gdy włączycie myślenie – powiedziała i wróciła do siebie.

Po śniadaniu wszyscy wrócili do swoich zajęć. Rasek dbał o trzymanie dobrego kursu, Zoltek leczył ból głowy, a reszta okładała się na pokładzie. Młoda kobieta, tak jak poprzednio, zajęła swoje miejsce i obserwowała. Dzień był bardzo piękny i słoneczny, a czas płynął załodze beztróska. Jakby zapomnieli, dokąd i po co płyną. Tylko doświadczony kapitan zachowywał poważną minę. Może to dlatego, że bał się tego, co zastaną na wyspie, a może dlatego, że czuł się odpowiedzialny za załogę. Kadim natomiast starał się za wszelką cenę udowodnić Serwanowi, kto jest prawdziwym wojownikiem, a chłopak nie chciał dać za wygraną. Ich zmagania ciągnęły się godzinami i były niezwykle wyrównane.

To samo dotyczyło się Funkara i Naana. Można by pomyśleć, że to huk ich oręża wypłoszył wszelką zwierzynę. Kadim i Serwan co jakiś czas zatrzymywali się, aby podziwiać technikę gigantów. Ciekawi też byli możliwości kobiety. Lecz ona ani myślała pokazać, co potrafi. Wyglądała raczej, jakby snuła jakieś plany. Kto wie, jakie myśli może skrywać jej głowa. Młody chłopak miał nadzieję, że dzisiaj też spotka ją samą. Miał do niej kilka pytań. Myślał też, że może jej zaimponował. Szala zwycięstwa w walce zaczęła przechylać się na jego stronę.

Gdy zaczęło się ściemniać, wszyscy, prócz kapitana, zebrali się przy stole na posiłku. Zoltek pociągnął łyk rumu i zaczął opowiadać:

– Pamiętam jedną z swoich pierwszych misji, to było piętnaście lat temu.

Spodziewaliśmy się wrogich statków z wschodu. Nie mieliśmy floty, żeby walczyć na wodzie, więc musieliśmy zastawić pułapkę na lądzie. Wraz z moim dobrym przyjacielem zaczailiśmy się w lesie, skąd mieliśmy dobry widok na plażę. Pech chciał, że akurat byliśmy wczorajsi.

Te słowa wywołały falę śmiechu wśród kompanów.

– Akurat! – wykrzyczał, szydząc jeden z nich.

– No co? Czasy były ciężkie, a wódeczka tania – powiedział na swoją obronę. – Po kilku godzinach rzeczywiście jakiś statek dobił do portu – kontynuował. – Mój przyjaciel pobiegł zawiadomić nasz oddział, a ja zostałem, żeby obserwować, co się dzieje. Coś mnie podkusiło, aby spróbować dostać się bliżej i przyjrzeć się wrogowi. Miałem przed sobą dobre pięćset kroków lasu i dość rozległą plażę. Z duszą na ramieniu szedłem od jednego drzewa do drugiego, aż w końcu dotarłem na skraj lasu. Patrząc na plażę i widząc, jak szalupy z ludźmi przybywają na brzeg. Było tam dobre sto pięćdziesiąt chłopów i wyglądali na uzbrojonych. Po około godzinie obserwowania tych jełopów moi kompani przybyli na miejsce i zajęli pozycje w lesie. Wśród przeciwników było widać jakiś ruch. Dobra nasza, pomyślałem, zaraz wyślą zwiad i ich liczba stopnieje. Nasz dowódca, zmyślny strateg, dał znak na wyczekanie wroga. Grupa około dwudziestu ludzi weszła do lasu. Zginęli o wiele szybciej, niż się spodziewali – powiedział z wielką dumą. – Zaraz przebraliśmy się w ich barwy i po mniej więcej godzinie wyruszyliśmy na plażę. Przyciągnęliśmy uwagę wroga i uspokoiliśmy go, gdyż myślał, że skoro swoi wracają, to nas tutaj nie ma. Nie wiedzieli, że już zakradają się do nich dwie grupy, z lewej i prawej strony. – Coraz większa dumą rosła w Zolteku. – Gdy się zorientowali, co jest grane, było już za późno. Jatka trwała krótko, ale skutecznie. I tak oto weszliśmy w posiadanie statku niemalże bez strat – skończył dumny z siebie.

Serwan słuchał tej historii bardzo uważnie. Też chciałby, aby jego pierwsza misja skończyła się takim powodzeniem. Dam z siebie wszystko – powiedział sobie w duchu. Nieważne, co tam spotkamy. Bestie czy ludzie, wszystko będzie uciekać od mojego miecza. Czuję, jak rośnie w nim siła. Najchętniej już by wstał i walczył. Jeszcze nigdy nie przeżył czegoś takiego. Głód walki był porównywalny do głodu pożywienia. Już wtedy miał świadomość, że to łaknienie najpewniej będzie mu towarzyszyć całe życie. Bał się tylko, co się stanie, gdy odda się tej żądzy.

Tylko kobieta wydawała się nie interesować opowieścią Zolteka.

Potem głos zabrał Kadim:

– Moja pierwsza misja miała nieco inny charakter. – Zaczął się uśmiechać. – Dostaliśmy cynk, że w karczmie co jakiś czas pojawia się szpieg, aby przekazać informacje swojemu zwierzchnikowi. Usiadłem więc za stolikiem jakby nigdy nic i zamówiłem sobie posiłek z piwkiem. Bacznie obserwowałem gości, ale prócz stałych bywalców i podrzędnych hultajów nikogo innego nie było. Po kilku godzinach zaczęło mi się nudzić, więc ułożyłem sobie figurkę z talerzy i kufli. Wtedy podeszła do mnie kobieta, piękna jak poranek. Myślałem sobie: no to szczęście się do mnie uśmiechnęło!

Owa młoda dama nic nie mówiła, tylko pokazała na górę. Z uśmiechem od ucha do ucha wszedłem z nią do małego pokoiku. Już myślałem, że służba to złota robota i właśnie czeka mnie trochę przyjemności, a tu okazało się, że ona jest szpiegiem. Przypadkowo zrobiłem symbol, który był dla niej znakiem. Szybko się połapała, o co chodzi, i wiedziała, że nie ma szans wyjść cało z walki. Tak więc upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu. Wpierw zamoczyłem, a potem osobiście odprowadziłem ją na statek w jedną stronę. – Te słowa wywołały śmiech wśród załogi. – Rozstaliśmy się raczej w zgodzie. Wiele bym dał żeby jeszcze ją spotkać.

Po tych słowach towarzyszka bardzo pogardliwie spoglądała na Kadima.

Ciekawa historia, ale nie tego oczekuję. Raczej nie to jest mi pisane – pomyślał Serwan. Nie było mi dane spać z kobietą ani nawet się zakochać. Wiele o tym słyszałem. Czasem coś dobrego, czasem coś złego. Zakochani wyglądają na szczęśliwych, gdy są razem. Natomiast sytuacja jest diametralnie inna, gdy są rozdzieleni. Może i wolność od tego jest swego rodzaju błogosławieństwem, a może przyjdzie mi poślubić walkę – rozmyślał chłopak.

– Wojna cię nie zdradzi. Wojna cię nie opuści. Wojna nigdy cię nie zawiedzie, a raczej wynagrodzi – usłyszał te słowa w swojej głowie. Uznał je za głos sumienia.

Nagle bajanie przerwał Rasek, mówiąc:

– Dobra, dość tego! Jutro prawdopodobnie dopłyniemy do brzegu. Wszyscy musimy być w jak najlepszej formie. Wartę będziecie pełnili tak samo jak wczoraj.

Serwan wiedział, co to oznacza, więc wyszedł z pomieszczenia i stanął na dziobie statku. Nie było żadnego oświetlenia. Kapitan nie chce, abyśmy zostali zauważeni – wywnioskował. Już jutro zaspokoję głód walki. Udowodnię sam sobie swoją wartość – rozmyślał, przypominając sobie wszystko, czego nauczył go Kazar. W duchu chłopak wydał wojnę wszystkiemu, co tylko jest w stanie unieść broń i krzywo na niego spojrzeć. Nie czuł strachu, to było raczej podniecenie na myśl o jutrzejszym dniu. Stał tak z lekkim uśmiechem i wpatrywał się w niewzruszoną taflę wody. Spojrzał na swoją rękę, tam gdzie się przeciął wczoraj, składając przysięgę. Mała rana przypominała nieco topór. To był dla niego znak, że został zaakceptowany.

Gdy schodził z warty, ujrzał kobietę. Postanowił podejść do niej.

– Cześć, Dani! – zaczął.

– Witaj! – odpowiedziała, lekko się uśmiechając.

– Wykonywałaś już jakieś misje?

– Nie mogę ci zdradzić szczegółów, ale mam pewne doświadczenie – odpowiedziała. – Wydajesz się sympatyczny. Szkoda, żeby coś ci się stało. Trzymaj się blisko mnie – poleciła.

Serwan trochę się skrzywił na te słowa.

– Potrafię o siebie zadbać – powiedział.

Kobieta niewinnie zachichotała.

– Wiem, dzielny rycerzu. Nie chce, żeby coś ci się stało – powiedziała z uśmiechem i wyszła do siebie.

Chłopak przez chwilę stał jak wryty. Nie był pewien, co to miało znaczyć. To była troska czy kpina? – pomyślał. Chwilę po tym wrócił do łóżka. Chciał być w pełni sił na jutrzejszy dzień. Odprawił krótką modlitwę do Gargona i zamknął oczy. W myślach zaczął sobie wyobrażać Dani. Czy to może być miłość? – pomyślał. Sam nie wie, nie ma żadnego porównania.

Serwan trzymał w ręku potężny topór, a na sobie miał tylko resztki spodni i był obryzganym krwią. Spojrzał dokoła. Widział dwóch ludzi, którzy szarżowali w jego stronę. Uchylił się i przy uniku ciął jednego w nogę. Ten wydał okrzyk bojowy, a jego towarzysz napierał. Serwan przyjął cios na topór i odepchnął przeciwnika nogą. Następnie próbował dobić leżącego, ale ten się wyturlał. Drugi z nich trafił chłopaka w rękę. Serwan zaryczał i ściał głowę przeciwnika potężnym uderzeniem. Szybko odwrócił się do drugiego. Musiał wykonać serię uników, aby ostatecznie wbić topór w pierś przeciwnika. Wtedy podniosła się wrzawa. Uświadomił sobie, że jest w czymś podobnym do Koloseum. Tłum krzyczał, a wielki mężczyzna, ubrany w skóry, przemówił z tronu:

– Przeszedłeś test, jesteś godzien.

To był tylko sen. Chłopak uśmiechnął się od ucha o ucha. Czuł teraz, że nie jest zwykłym zjadaczem chleba. Teraz ma przeznaczenie zesłane przez samego boga.

Poranek był jak każdy, wszyscy zebrali się przy stole na obfitym śniadaniu. Jedno tylko było inne – Zoltek chodził trzeźwy. Rasek wyszedł na pokład i przez lunetę zaczął wypatrywać lądu. Cała reszta została w środku, ostrzyli swoje miecze. Dani zaś była już ubrana w swój strój bojowy i trzymała broń niezwykle naostrzoną. Serwan miał wrażenie, że byłaby w stanie przeciąć włos. Cała ekipa była gotowa do wyjścia na brzeg. Wszyscy chcieli przeżyć nową przygodę. Przeżyć – to było słowo klucz.

Po około godzinie rozległ się krzyk:

– Ląd na horyzoncie! – To był Rasek.

Wszyscy wybiegli, aby to sprawdzić.

– Co widzisz? – zapytał Kadim.

– Jest wieża piratów, chyba została zaatakowana. Niewiele jestem w stanie dojrzeć z tej odległości.

Gdy to powiedział, wiatr silnie zawiął od rufy, ku wielkiej uciechu Naana i Funkara, a także młodego Serwana. Każdy wrócił do środka, aby ubrać swój ekwipunek. Została tylko młoda kobieta. Stała na dziobie, jakby już nie mogła się doczekać. Bardzo skupiona i gotowa.

Po krótkim czasie dotarli na plażę. Zaczumowali swój jacht i wyruszyli w stronę wieży. Rasek raz jeszcze spojrział przez lunetę.

– Wieża stoi, ale wygląda tak, jakby ktoś do niej strzelał z armaty. Albo coś dużego

i silnego w nią uderzało.

Wyspa była długa, co najwyżej na pół dnia drogi. Idąc, załoga nie spostrzegła żadnych śladów walki.

– Prawdopodobnie była tu tylko niewielka grupa piratów, która obserwowała wody – powiedział Rasek.

Wyspa z jednej strony była otoczona plażą. Natomiast z drugiej skałami. W centrum był las, a w nim wieża.

– W lesie powinno być nieco dzikich zwierząt – stwierdził Kadim.

– Ich obecność, albo jej brak, jest dla nas informacją – odpowiedział Rasek.

Dani szła trochę obok grupy i bacznie obserwowała podłoże.

W lesie napotkali jedynie ptaki, które co jakiś czas ładnie śpiewały. Tworzyło to zupełnie inny klimat niż ten, który gościł w ich sercach. Bacznie obserwowali okolicę, a miecze mieli w gotowości. Drzewa były dość gęste i niewiele mogli zobaczyć. Grupie nie udało się spotkać zwierzyny leśnej. Dani raz na jakiś czas zniknęła z pola widzenia, ale zawsze wracała. Po krótkiej wędrówce doszli do wieży, do jej wejścia prowadziła smuga krwi.

– Naan i Kadim zostają przy wejściu, reszta wchodzi – wydał rozkaz Rasek.

W środku zastali schody prowadzące w górę. Nie było na nich żadnego śladu. Mniej więcej po piętnastu minutach wspinaczki doszli do korytarza. Jedna droga prowadziła w prawo, a druga w lewo.

– Zoltek i ja pójdziemy w prawo – zarządził dowódca.

Było tam pomieszczenie przypominające sypialnię. W środku znajdowały się cztery łóżka, szafka i pusta skrzynia. Tam, dokąd poszli Serwan i Funkar, było pomieszczenie ze stołem i trzema zwłokami. Zupełnie rozszarpanymi, trudno było stwierdzić nawet płeć ofiar. Rasek i Zoltek do nich dołączyli.

– Przy każdym z nich była broń, co znaczy, że walczyli – powiedział Rasek.

– Kto mógł ich aż tak zmasakrować? – dziwił się Zoltek, podchodząc do sporej dziury w ścianie, która prowadziła na zewnątrz. Dani bacznie przyjrzała się zwłokom.

– To coś miało ostre pazury. Rozstaw palców jak u człowieka – powiedziała i przyłożyła palce do ran.

Nie dotknęła ciała – bała się, że może być zarażone. Nagle Serwan krzyknął:

– Tutaj chyba ktoś przeżył.

Inicjacja

Amosie, już czas, żeby chłopak przeszedł rytuał – powiedział Argon, spoglądając znad papirusu.

– Jesteś pewien? – odpowiedział zdziwiony starzec.

– Nie ma wątpliwości, znaki są bardzo wyraźne – zapewnił mistrz zakonu. – Idź i zacznij przygotowania – dodał.

Amos i Hazan wyszli z pomieszczenia. Chłopak nie bardzo wiedział, o co chodzi. Nie robiło to na nim dużego wrażenia. Spodziewał się tego ze względu na charakter tego miejsca. Miał nadzieję na protekcję Tal'nahuma. Amos spojrzął na niego litościwie.

– Idź do swojego pokoju i wycisz umysł. Gdy wszystko będzie gotowe, przyjdę po ciebie – oznajmił, po czym pospiesznie wyszedł.

Hazan zrobił, co mu kazano. Chciał jak najszybciej mieć te obrzędy już za sobą.

Ciekawe, co się ze mną stanie – myślał, leżąc na łóżku. Ta sztuka czytania i pisania wcale nie jest taka trudna. Co prawda powoli, ale był już w stanie przeczytać tekst. Brakowało mu już tylko doświadczenia. Może uda mi się stąd uciec? Przebywanie tutaj raczej nie ma większego sensu. Chyba że byliby w stanie nauczyć mnie tej magii. „Odkryj moc”, powiedziała do mnie bestia w czerni. Może właśnie teraz jest ten czas. Może moją szczególną mocą jest magia. Bardzo by chciał mieć do tego predyspozycje. Chcę być tak potężny, że sam zniszczę całą armię. Wtedy ją pomszczę.

Na chwilę nawet jego myśli ucichły. Cały czas przed oczami miał obraz ślicznej Madi. Jego serce krwawiło z tęsknoty pomimo upływu czasu. Nadzieja ciągle się tliła w jego duszy. On sam wpatrywał się w okno, z którego było widać las otaczający zakon. Wtedy usłyszał pukanie do drzwi.

– Chodź ze mną, wszystko jest już gotowe – rzekł Amos.

Obaj weszli do świątyni. Bracia stali na krańcach sześciokąta namalowanego na podłodze, a Hazana ustawili w środku. Potem, jak zakłęci, wszyscy jednym głosem, wypowiadali inkantację: „Thak num a lose yhr sys tun munten”, powtarzając ją trzykrotnie. Ich oczy zapłonęły dziwnym blaskiem spod kapturów. Wszystko w pomieszczeniu zaczęło się trząść. Świat przed oczami chłopaka wirował. Znaki dookoła zaczęły nabierać kształtów i świeciły się na intensywny czerwony. Następnie zielonkawe światło opanowało salę. Wpadło przez małe okno na dachu i bardzo dokładnie oświetliło kandydata. Mnisi, jak w transie, powtarzali słowa, aż w końcu skierowali ręce ku niemu. Hazan poczuł ogromny ból. Zdażył jeszcze rozejrzeć się po twarzach kapłanów, które były pozbawione emocji. Zanim o czymkolwiek pomyślał, stracił przytomność.

– Jak się czujesz? – spytał Amos.

– Dobrze, chyba – odpowiedział chłopak, próbując wstać. Dziwne obrazy wirowały mu przed oczami. Błądził gdzieś wzrokiem po sali. Nagle skierował oczy w stronę Amosa. Na twarzy miał wyrytą desperację i szaleństwo.

– Madi... ona... jest w tarapatach. Ja... muszę ją... uratować – wymamrotał i zemdlał.

Jestem u siebie w pokoju – zauważył Hazan. Odczuwał pieczenie prawej dłoni. Spojrzał na nią i zobaczył, że jest zawinięta w opatrunek. Postanowił go nie ściągać, w końcu to ma być pomoc. Wyszedł z pokoju i zobaczył na korytarzu Amosa. Mnich miał miskę pełną jedzenia.

– Właśnie miałem cię odwiedzić – powiedział. – Masz, jedz! Musisz odzyskać siły – dodał.

Cokolwiek to było, smakowało wybornie i chłopak pochłonął wszystko w mgnieniu oka. Prawdopodobnie był w śpiączce i musiał długo nie jeść.

– Powiadomię brata Onara o twoim stanie, musisz wznowić lekcje – powiedział Amos i wyszedł.

Hazan pozostał w pokoju i spoglądał na prawą dłoń. Chyba jest opuchnięta – zauważył. Podeszedł do okna i pomyślał sobie, że mógłby uciec do lasu. Raczej ciężko było go tam znaleźć. To tylko kilku dziadków. Gdy tylko się przygotuję...

Wtedy przybył brat Onar. Mnich otworzył księgę i wtedy Hazan coś sobie uświadomił. Potrafi bez problemu czytać. Książka była poświęcona historii Zakonu. Hazan nie widział w niej jednak nic ciekawego. Na stronach, które pokazywał mu brat Onar, były jedynie opisy ludzi, którzy pomagali Zakonowi, oraz kilku cudów, które ludzkość zawdzięcza Tal'nahowi. Kilku braci szczególnie zasłużonych. Nic niezwykłego. Może ta inkantacja wzmocniła moja zdolności – pomyślał.

Po krótkim, wydałoby się, czasie lekcja dobiegła końca, a na dworze zrobiło się ciemno. Hazan wrócił do swojego pokoju. Muszę się stąd wyrwać – pomyślał. Ręka mocno go piekła. Tylko nie wiedział, skąd te obrażenia. Zaczął się zastanawiać, co mu zrobili.

– Nie bój się, wszystko idzie zgodnie z planem – wyszeptał głos w jego głowie.

– Czy to szaleństwo? – szepnął do siebie. Zgonił wszystko na zmęczenie i położył się w wygodnym łóżku.

Następnego dnia obudziło go pukanie do drzwi.

– Może przejdziesz się ze mną do lasu? – zaproponował Amos. – Muszę poszukać nieco jagód na kolację.

Chłopak nic nie odpowiedział, ale właśnie zauważył szansę na ucieczkę. Szybko się ubrał i wyruszył za mnichem. Amos nałożył na głowę kaptur i całą drogę nic nie mówił.

W końcu wziął kilka czerwonych jagód.

– Właśnie takich musimy nazbierać. Inne są trujące, szczególnie te białe.

Hazan kiwnął głową na znak, że rozumie, i odszedł kawałek dalej. Upewnił się, że mnich go nie widzi, i pobiegł co sił w nogach. Prawa dłoń zaczęła boleć go coraz mocniej, lecz nie zważał na to i po prostu biegł. Mniej więcej po pół godzinie zaczął odczuwać głód, chciał się rozejrzeć za jagodami. Wtedy zobaczył Amosa zbierającego je z krzewu, przed nim stał budynek zakonu. Tak jakby nigdzie się nie ruszył. Wtedy uświadomił sobie, że jakaś siła nie chce, aby on opuścił to miejsce. Zaczął więc zbierać jagody, a ból w dłoni ustąpił. Martwił się, że ten ból jest właśnie po to, żeby go kontrolować. To znacznie komplikowało sytuację.

Kolejny dzień w zakonie minął podobnie. W atmosferze sporej tajemniczości, ale przynajmniej jedzenie było dobre. Na wieczór chłopak wrócił do swojego pokoju.

Jak się stąd wyrwać? – pytał siebie. Skoro nie boli mnie ręka, to zdejmę opatrunek – uznał. Ku ogromnemu zdziwieniu, ujrzał na swojej pięści coś na kształt głowy smoka.

Ciekawe, czy to efekty tego obrzędu, który nade mną odprawiali, czy domalowali to potem. Coś tutaj się nie zgadza – pomyślał. Starał się zmyć ten symbol. To nie przynosiło żadnego skutku. Tak jakby po prostu jego skóra zmieniła w tym miejscu kolor. Może warto poszukać czegoś w książkach? Muszę jutro coś z tym zrobić – postanowił.

Kolejnego dnia, gdy wstał z łóżka, do głowy wpadła mu pewna myśl: włamać się do trzeciego budynku. Wstał szybko i ubrał się, po czym pobiegł do drzwi tajemniczego gmachu. Najpierw złapał za klamkę i zobaczył, że głowa smoka na jego dłoni się powiększa. Oczywiście były zamknięte. Na szczęście kilka mocnych uderzeń załatwiło sprawę. Wszedł do środka. Korytarz był idealnie taki sam jak tam, gdzie mieszkał. Otworzył pierwsze drzwi po prawej. Pokój był identyczny jak jego, jednak na łóżku leżały zwłoki zmasakrowanego człowieka, zabitego dość dawno temu. Wyszedł z pomieszczenia i dotarł na sam koniec. W miejscu, gdzie powinna być stołówka, znajdowało się coś na kształt bunkra, przynajmniej takiego polowego. Na jednej ze ścian krwią było napisane: „Ave Menkes”. Menkes to zły bóg – tego był pewien i wiedział, że coś jest nie tak. Był nawet trochę wystraszony. Oni mogli zrobić coś bardzo złego – pomyślał.

Wtedy przyszedł Amos. Bardzo powoli, bezszelestnie i spokojnie.

– Nie będziemy dłużej tego przed tobą ukrywać. Gdy zostaliśmy zaatakowani, zginęli prawie wszyscy nasi bracia. My w pięciu zostaliśmy zamknięci tutaj i czekaliśmy na śmierć. Wtedy głos powiedział do nas, że gdy przyjmimy wiarę w Menkesa, przeżyjemy. Dodał, że ma dla nas szczególne zadanie. Chyba nie muszę ci mówić, co było dalej – wyznał.

Wtedy przyszli pozostali bracia.

– Hazanie, ty nie jesteś zwykłym człowiekiem – powiedział do chłopaka Amos. – Ty jesteś pomazańcem Menkesa. Zostałeś wysłany, aby przygotować świat na przyjście Czarnego Pana. Jesteś jego synem, jednak nastąpiły pewne komplikacje. Twoja podróż

do tego świata wywołała efekty uboczne. Jesteś na tym świecie od pięciu lat. Zapomniałeś, kim jesteś, i straciłeś panowanie nad swoją mocą. Ale twoja misja wciąż jest aktualna. Czarny Pan ma zamiar przyjść na ten świat i sobie go podporządkować.

Hazan nie wierzył w ani jedno słowo, jakie padło z ust tego człowieka. Jedynie to, że oddali się złym mocom, ma sens. Zadał im tylko jedno pytanie:

– Czy Czarny Pan jest odpowiedzialny za masakrę w mojej wsi?

– Owszem – odpowiedzieli mnisi.

– A więc tutaj zacznij się moja zemsta! – burknął chłopak.

Przynajmniej wiedział, kto jest jego wrogiem. Kto jest odpowiedzialny za wszystko i kogo należy zniszczyć. Wierzył, że nawet na Czarnego Pana jest sposób. Gniew w nim narastał. Taka zbrodnia nie może ujść bezkarnie...

Hazana opanowała potężna i niepowstrzymana żądza krwi. W jego prawej ręce pojawił się wielki topór. Wielki, czarny, z dziwnymi runami. Dokładnie taki jak we śnie. Smok na jego dłoni zaczął się ruszać. Otworzył paszczę, a jego oczy zapłonęły czerwonym światłem. Mnisi wpadli w panikę. Mieli nadzieję, że go jakoś uspokoją. Wzywali pomoc Menkesa, chcieli spętać chłopaka i go uspokoić. Zaczęli bronić się magią. Kierowali inkantacje w jego stronę. Hazan doskoczył do pierwszego z nich i potężnym uderzeniem zniszczył jego magiczną barierę. Rozplątał starca na dwie części, mnich nie miał najmniejszych szans. Reszta rzuciła w chłopaka wielką kulą ognia. Nie dało to żadnego skutku. Ogień rozbił się o Hazana, nie wyrządzając mu krzywdy. Wystawił tylko rękę, a magia w niej zniknęła. Ogarnięty szałem, niczym demon, szybko wyrzucił resztę splugawionych mnichów. Był od nich o niebo silniejszy i mocniejszy. Wściekłość, która nim miotła, była nie do powstrzymania. Bił toporem w ścianę z imieniem złego boga, aż runęła. Następnie wybiegł do lasu i uderzał w przypadkowe drzewa. W końcu po jakimś czasie się uspokoił. Topór w jego dłoni zniknął. Smok natomiast wrócił do pierwotnej postaci. Sam chłopak usiadł zziębnięty pod drzewem.

Coś w głowie mówiło mu, że tylko miłość pozwoli mu zachować zmysły. Inny zaś głos przekonywał, że miłość uczyni go słabym i będzie jego zgubą. Toczyła się w nim wewnętrzna walka. Właśnie zabił kilku ludzi. Jego poczucie moralności zaczęło się zmieniać. Jest apokalipsa, a oni byli winni – zaczęli się usprawiedliwiać. Inny głos mówił: „Nie tego rodzice cię nauczyli, każdy ma prawo do sprawiedliwego sądu”. Drugi głos z czasem zaczął niknąć. Ale to dobrze – uznał Hazan. Tak było znacznie łatwiej, nie chciał tracić na to czasu. Musi zobaczyć Madi jak najszybciej. Inaczej oszaleje z tęsknoty.

A więc zemsta się rozpoczęła – pomyślał. To niemożliwe, żeby słowa Amosa były prawdą. Pamiętam przecież własne dzieciństwo wraz ze swoją rodziną. Wiem! Wybiorę się do rodzinnej wsi i zobaczę, czy wszystko jest takie, jakie pamiętam – postanowił. Wrócił się do zakonu po swój miecz i po zapasy jedzenia na drogę. Ciekawe, co dzieje się z Serwanem – przeszło mu przez głowę. To jedyna osoba na tym świecie, której jestem w stanie teraz zaufać.

Zajrzał jeszcze do pomieszczenia Argona. Tutaj znalazł wielką księgę z czarną okładką. Postanowił ją zabrać z sobą. W drodze na pewno będzie miał czas na przeczytanie jej zawartości. Wyglądała na ciekawy egzemplarz.

Nim wyruszył w podróż, postanowił nieco przyjrzeć się księdze. „O świata stworzeniu”, „Dlaczego my, a nie oni?”, „Czy zły na pewno jest zły?”, „Czy motywy wyjaśniają czyny?” – brzmiały tytuły rozdziałów. Przewrócił na ostatnią stronę. Tutaj był tekst napisany czerwonym atramentem. „Wojna była nieunikniona. My tutaj byliśmy tylko jak małe mrówki, ale oni, tam, mają wielką moc, panowanie. Wybieraj mądrze albo giń głupio – jak mawiał mój stary przyjaciel. Przesyłam Ci, mój przyjacielu, tę księgę, abyś pojął i wybrał. Oto stoimy przed czymś, czego nasze umysły nie pojmą. Dlatego pozostaje nam wierzyć. Obyś nie zgubił wiary, mój drogi przyjacielu, a spotkamy się w innym świecie”. Podpisano: „Zawsze wierny, brat N.M.”

– Hmm, co to może znaczyć? – powiedział do siebie.

Hazan wyszedł z zakonu i przypomniał sobie kierunek, z którego tutaj przyszedł. Następnie ustalił, w którą stronę powinien iść. Starał się nie myśleć o tym, co się stało, i o tym, co się stanie. Przyszłość zdawała się coraz bardziej niepewna i coraz bardziej mroczna.

Ojciec powtarzał, że każdy człowiek ma swoje przeznaczenie, więc i ja jakieś powinienem mieć – myślał sobie. Ciekawe, ile czasu zajmie mi droga. Mam nadzieję, że tam znajdę znak, co powinienem robić dalej. Mnisi używali magii, ale na mnie ona nie działała, może jestem na nią odporny – przeszła mu przez głowę pozytywna myśl. Źródło jego mocy powinno być zupełnie gdzie indziej. Obrął odpowiedni kierunek i wyruszył w drogę.

Księga zaczęła wydawać mu się niezwykle ciekawa.

– Ciekawe, co można w niej wyczytać – powiedział do siebie.

Jej lektura bez wątplenia powinna rzucić światło na sytuację. Kto wie, może nawet będzie w niej coś na temat owej magii...

Tajemnicza wyspa

Tooo coś byyyło wielkie jak ta wieża! – wydusił z siebie pirat. – Wyszło z wody i zaatakowało nas bez litości, jakby dla przyjemności. Wszystkich was czeka straszliwa śmierć – dopowiedział i wyzionął ducha.

Każdego z obecnych w pomieszczeniu przeszył strach. W słowach tego biedaka była prawda i przerażenie. Czego o piratach by nie powiedzieć, siły im nie brakowało. Teraz wszyscy leżą martwi.

– Oby nas to nie spotkało – szepnął jeden z mężczyzn.

Ekipa zbiegła na dół i przegrupowała się. Dzień chylił się ku zachodowi.

– Wiemy już dość, by złożyć raport – powiedział dowódca. – Zbierajmy się czym prędzej z tego przeklętego miejsca!

– Masz rację, gorzałka się kończy i ponadto nie chcę walczyć z chodzącą wieżą – dodał Zoltek.

Wszyscy wbiegli do lasu i kierowali się prosto w stronę jachtu. Las był spokojny i ciemny. Było naprawdę cicho. Aż za cicho – pomyślał Kadim. Nawet dziewczyna nie chciała mieć z tą bestią do czynienia. To tak jak mrówki uciekające przed człowiekiem. Kto wie, jak bardzo bestia jest inteligenta. I jak bardzo pragnie mordować.

Wraz z nocą przyszły odgłosy nocnych zwierząt, co uspokoiło drużynę. Walka ze zwierzyną to pestka w porównaniu z demonami i czartami. Cel ich pospiesznej wędrówki był już niedaleko.

Nagle cała brygada stanęła dęba. Ujrzeni na wodzie wielką falę, zza niej wyłoniła się głowa. Przypominała głowę byka z ogromnymi rogami, ze skrzelami po bokach. Krzyk bestii rozszedł się po całej wyspie. Jej ciało przypominało ludzkie z obfitym owłosieniem. Zamiast lewej ręki miała wielkie szpony, natomiast w prawej trzymała ogromny hak. Cała siódemka bez wyjątku spojrzała śmierci w oczy. Po chwili Rasek wydusił z siebie:

– Odwrót do lasu, może nas nie zauważy. Wrócimy na jacht i uciekniemy!

Nie musiał powtarzać tego dwa razy. Bestia w końcu wyszła z wody. Jej nogi przypominały bycze, zakończone kopytami. Gigant zmiażdżył jacht i z wściekłością krzyknął:

– MORDOWAĆ!

W jednej chwili hordy khanisów zaczęły wybiegać z ziemi i pędzić w stronę bohaterów. Zrozumieli bez rozkazu, że ucieczka nie ma sensu, i zajęli pozycje bojowe.

– To będzie honorowa śmierć – powiedział Naan i wyszedł przed szereg.

Zaraz koło niego pojawił się Funkar. Piekielne bestie uderzyły, grupa dzielnych wojowników nie dała jednak za wygraną. Wpadli w trans. Wzajemnie chroniąc swoje

plecy, zabijali coraz więcej bestii. Jak gdyby walczyli razem całe życie. Wtedy usłyszeli rozpaczliwy krzyk Naana. Pochłonięci walką z psami, nie zauważyli, jak bestia podbiegła i nadziała na hak ich towarzysza. Potwór zjadł go i krzyknął:

– WSZYSTKICH WAS ZAMORDUJĘ! ZJEM WAS POWOLI I BOLEŚNIE!

Śmiał się przy tym jak opętany. Resztki Naana kapały mu z brody. To było dla niego jak połknięcie muchy.

– Z khanisami można walczyć, ale z czymś takim?! – wykrzyczał rozżalony Zoltek.

Każdy z grupy czuł wielki żal z powodu straty towarzysza. Nadzieje na przeżycie były niewielkie. Kolejną ofiarą monstrum był rozszarpany przez szpony Rasek. Na resztki jego ciała khanisy rzuciły się jak hieny. Resztki jego głowy zwisały z pazurów monstrum.

– MUAHAHAHA! WASZ STRACH JEST TAKI SŁODKI! – wykrzyczała uśmiechnięta bestia.

Ciężko było uwierzyć w to, co się dzieje, a jeszcze ciężiej podjąć walkę. Kadim uniknął ciosu demona, który ściał kilka drzew, ale nie miał szans, gdy monstrum zaczęło swoją szarżę. Padł jako kolejna ofiara. Jego przyjaciel zdążył tylko spojrzeć mu w oczy, nim kompan dokonał zbrodni.

Serwan nie chciał umierać, jeszcze nie tutaj. Przecież musi poszukać przyjaciela i ma masę rzeczy do zrobienia!

– Chodź w głąb lasu! – krzyknęła do niego Dani.

Ona torowała drogę, a chłopak szybko pobiegł za nią. Rozszarpał swoim mieczem kilka psów i oczami pełnymi żalu i łez spojrzął w oczy bestii. Zobaczył w nich niesłychaną żądzę mordy.

– TY BĘDZIESZ NASTĘPNY! – Demon wskazał na chłopaka i ruszył.

Młodzieniec zobaczył Funkara kilka metrów dalej. Całego we krwi, ale nie swojej. Ten człowiek zdawał się być w innym świecie. Tak walczył prawdziwy berserk. Nikt nie był w stanie zliczyć zabitych przez niego psów. Serwan w szale bitewnym zrobił dokładnie to samo. Jakie było zdziwienie monstrum, towarzyszy chłopaka i jego samego, gdy sparował cios zadany przez ogromny hak. Dani zoczyła szansę i cięła bestię w tętnicę na nodze. Oczy Serwana zapłonęły żółtym ogniem, parł na bestię z siłą tytanów, aż zmusił ją do zrobienia kilku kroków w tył. Demon nie zamierzał się poddać. Chciał zmiażdżyć wroga potężną stopą. Ten atak został jednak odparty za pomocą jednej ręki. Miecz, który trzymał w drugiej ręce, zapłonął żywym ogniem, a Serwan zgiął bestii nogę.

– W IMIĘ POTĘŻNEGO GARGONA SKAZUJĘ CIĘ NA ŚMIERĆ! – wykrzyczał chłopak.

Ta wrzasnęła z wielkim bólem.

– TO NIE KONIEC! ZNAJDĘ CIĘ, A WTEDY ZGINIESZ W MĘCZARNIACH! DO KOŃCA SWOJEGO KRÓTKIEGO ŻYCIA BĘDZIESZ UCIEKAŁ W STRACHU!

Demon padł na ziemię, ciekła z niego rzeka krwi. Khanisy, które przeżyły, zaczęły

szarpać go z powrotem do wody. Funkar i Zoltek dobili resztki psów. Dani dobiegła do chłopaka, a on stracił przytomność.

Następnego dnia, gdy Serwan się przebudził, zastał Dani i Zolteka z mięsem przy ognisku.

– Chłopcze, nie wiem, co się stało, ale uratowałeś nam życie – powiedział Zoltek, częstując Serwana sarniną.

– To prawda, że cudem przeżyliśmy, ale zachowajmy zimną krew. Nasz jacht jest doszczętnie zniszczony, a wraz z nim nasze zapasy. Musimy zbudować coś, na czym wrócimy. Musimy też znaleźć coś do jedzenia – powiedział Funkar.

Potężny wojownik właśnie przyniósł więcej drewna.

– Nasi towarzysze oddali życie w nierównej walce, pamiętajmy o nich – dodał i cała czwórka pograżyła się w ciszy. Dani usiadła blisko Serwana. Zrobił na niej wielkie wrażenie.

Zoltek zaczął rąbać drewno. Serwan rozglądał się za jakimiś jadalnymi roślinami albo grzybami, a Funkar myślał nad projektem łodzi, która przetrwa powrót. Po kilku godzinach pracy zebrali się razem.

– Nie możemy liczyć na luksusy, ale to powinno doprowadzić nas do domu. Jedne, czego potrzeba, to jakiś materiał na żagiel – powiedziała Dani. – Serwanie, ty pójdiesz do wieży i poszukasz czegoś przydatnego.

Po chwili wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Zoltek ze łzami w oczach wspominał poległych przyjaciół. Chciał najszybciej jak to możliwe wrócić do stolicy i wyprawić im pogrzeb według starej tradycji.

Serwan wrócił do pomieszczenia z martwymi piratami i przeszukał ich zwłoki. Użyteczny okazał się wyłącznie scyzoryk. Zapasy jedzenia, jakie mieli, już były bezużyteczne. W drugim pokoju chłopak wpadł na genialny pomysł. Mianowicie – pozszywane z sobą prześcieradeł to spory żagiel. Znalazł jeszcze kilka mieczy i trochę alkoholu. Z uśmiechem na ustach wrócił do swoich kompanów.

Funkar pomagał Zoltekowi z drzewem. Serwan z radością przyniósł swoje znalezisko.

– Chyba udało mi się znaleźć nowy żagiel! – powiedział.

– Hmm, powinno wytrzymać – stwierdził Zoltek.

– To tylko chwila i będziemy w domu – powiedział Funkar.

Dani nic nie powiedziała, ale miała zadowolenie wypisane na twarzy. Tak, jakby chciała powiedzieć: „No, liczyłam na ciebie”.

– Wypocznijmy i wróćmy do pracy jutro. Jak się postaramy, to pojutrze będziemy już na wodzie – dodał Funkar.

Zoltek i Serwan pomyśleli o tym samym. Ta wyspa przyniosła im dość wrażeń.

Gdy usiedli razem przy ognisku, byli szczęśliwi, że żyją. Wtedy Serwan zabrał głos.

– Muszę wam o czymś powiedzieć.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę.

– Chciałem być wielkim wojownikiem pełnym honoru – zaczął.

– To bardzo dobrze – pochwalił go Funkar.

– Gdy płynęliśmy, oddałem hołd Gargonowi. Przeciąłem się i oddałem mu swoją krew.

– To wiele wyjaśnia – odpowiedziała Dani. – Musisz mu się podobać, skoro dał ci tyle mocy – dodała.

– Chylę flaszkę w twoje imię – dopowiedział Zoltek.

– To słuszny wybór – powiedział Funkar, przepełniony radością. – Skoro ten bóg jest z nami, mamy szansę odepchnąć zło z naszego świata.

– Długo bogowie nie mieszały się w nasze życie – stwierdził Zoltek.

– Gdy byłem na szkoleniu, poznałem przyjaciela...

Wszyscy słuchali z zaciekawieniem.

– Ma na imię Hazan i tak jak ja przetrwał przygotowanie do walki. Na jednej z misji rozkazywał khanisom, a potem zemdłał, tak jak ja.

Te słowa wywołały spore poruszenie.

– Czy on nie przysiągł czegoś Menkesowi? – spytał Funkar z gniewem.

– Jestem pewien, że nie. I coś w środku mówi mi, że powinniśmy go znaleźć.

– Podejrzewam, że władza królewska tego nie przewiduje – powiedział Zoltek. – A ty, Dani, co o tym myślisz? – zapytał kobietę.

– Król stara się, jak może, ale nie ma doświadczenia. Z ludźmi może walczyć, ale nie z potworami. Jestem jego siostrzenicą, ale nie pałam do niego miłością. I na razie nie powiem wam, dlaczego – powiedziała nieco smutna.

Nikt nie naciskał.

– Walić króla i jego misje! – krzyknął Zoltek. – Czas przywitać się z prawdziwą przygodą – dodał i wziął łyk.

– Od lat przysięgałem służbę Gargonowi. Masz mój miecz! – wstał Funkar z mieczem uniesionym nad głowę.

– Ja też chcę przeżyć przygodę! – powiedziała kobieta i wstała.

– A więc mamy nowy cel! – stwierdził szczęśliwy chłopak.

– Ja też mam coś ciekawego – powiedział Zoltek i wyjął tajemniczy pakunek. Następnie wrzucił go do ognia. To była jakaś roślina.

– Teraz będzie nam weselej – dodał uśmiechnięty.

Wszyscy razem wypili resztkę alkoholu w radosnej atmosferze.

Wstali i zabrali się do swoich zajęć. Każdy czuł ból głowy, ale chcieli opuścić wyspę. Serwan idąc przez las, poczuł dumę. W końcu udało mu się wygnać potwora niezwykle wielkiego i potężnego. Sam Tynos wie, jaki to okrutny sługa Menkesa błąkał się po tej okolicy. Jednak dwa pytania nurtowały jego głowę: jak mocno mściwe jest to monstrum i jak długo się regeneruje.

Gdy wrócił do swoich, zobaczył już pierwszy zarys wynalazku, jakim mają dopłynąć.

– Serwanie, chodź, przytrzymaj te belki – powiedział Zoltek, a Funkar sprytnie je łączył za pomocą sznurka.

– Drzewo wcześniej zostało dopasowane, dzięki czemu woda nie powinna wlecieć do środka – stwierdziła Dani.

Dość zręcznie i szybko poradzili sobie z złożeniem tego, co zaprojektowali. Co prawda konstrukcja była niewielka, ale spokojnie mogli się do niej zmieścić. Przymocowali żagiel, a do niewielkiego schowka włożyli to, co Serwanowi udało się zebrać w lesie. Dodatkowo nieco wody z źródła, jakie znaleźli w tym nieszczęsnym miejscu. Nim to zrobili, zdążyło się ściemnić.

– Nie chcę wyruszać w noc – powiedział Zoltek. – Prześpijmy się, a jutro z samego rana wypłynemy – zaproponował i tak też uczynili.

Skoro świt wstali, zjedli trochę sarniny i zanieśli konstrukcję do wody. Pierwszy wszedł Zoltek, a za nim Serwan i Dani. Funkar pchnął swój wynalazek i szybko wskoczył do środka. Rozstawili żagle i modlili się o spokojną podróż. I rzeczywiście, wszystko na to wskazywało. Wszyscy położyli się tam, gdzie tylko było trochę miejsca, i w ciszy rozkoszowali się spokojem. Tylko Dani zerkała na wody czujnym okiem. Na szczęście nie było to potrzebne. Podróż przebiegała bez problemu. Całymi dniami i nocami tylko zjadali zapasy i wypoczywali błogo na pokładzie. Lekki wiaterek pchał ich w stronę upragnionego lądu. Leżeli na plecach bardzo blisko siebie i patrzyli w niebo. Co jakiś czas ktoś zażartował. Chcieli korzystać z tych chwil jak najwięcej. Taki błogostan może już nie powrócić.

– Wieża została zaatakowana przez ogromnego demona. Piraci nie żyją. Stoczyliśmy walkę z bestią. Naan, Kadim i Rasek oddali życie w walce – podsumował Funkar w pewnym momencie.

Zoltek skrzywił usta w zgryźliwym uśmiechu.

– Nasze życie jest coraz dziwniejsze.

– I dobrze, dość mam nudy – stwierdziła kobieta. – Życie na zamku jest strasznie nudne

– No, dobra, ale właściwie gdzie jest Hazan? – zapytał Funkar.

– Odesłali go do jakiegoś zakonu, chyba Tal'nahuma – powiedział Serwan.

– Wiem, gdzie to jest! – powiedziała kobieta.

– No, to wiemy, w którą stronę – ucieszył się Funkar.

– Witaj, przygodo! Idziemy po ciebie! – krzyknął Zoltek.

Przeszłość

Hazan szedł niemalże bez przerwy do miejsca, w którym się urodził. Pamiętał swoje dzieciństwo. Co prawda jak przez mgłę, ale kilka wspomnień było naprawdę silnych. Na przykład pierwsze ścięte drzewo i niewielkie skaleczenie. Kontynuował wtedy pracę pomimo małego uszczerbku na zdrowiu, dzięki czemu czuł się silny i męski. Jego rodzinny dom to wioska drwali. Pamiętał też kilku przyjaciół z dzieciństwa. Miał w głowie tę sytuację, jak pewnego dnia zgubił się w lesie. Naprawdę mocno się bał. Szczęśliwie spotkał grupę ludzi z wioski, która mu pomogła, a nie grupę dzikich zwierząt.

Nagle Hazan stanął jak zamurowany. Tutaj powinny być domy, a są tylko drzewa. I to wyglądają na dość stare. Ani śladu działalności ludzi. Czy to możliwe żebym pomylił drogi? – pomyślał. Nawet jeśli, to na pewno nie na tyle, żeby stąd nie widzieć żywej duszy. Musze przejść się do najbliższej wioski i spytać, co się stało – postanowił.

Po niecałej godzinie drogi zobaczył pola uprawne i pracujących w nich ludzi. Na skraju drogi siedział starszy pan. Hazan podszedł do niego i spytał:

– Witam, co stało się z wioską drwali?

– Drwali? – zdziwił się mężczyzna. – Nie było tu nigdy żadnych drwali.

– Pamiętam, że spędziłem dzieciństwo w tej wiosce – odpowiedział zmieszany Hazan.

– Żyję tutaj od ponad czterdziestu lat i pierwsze słyszę. Najbliżsi drwale są kilka dni drogi stąd.

Hazan wpadł na jeszcze jeden pomysł. Zetnie drzewo tam, gdzie jego zdaniem miała być wioska, i policzy słoje. Jak postanowił, tak też zrobił. Wrócił do miejsca, gdzie powinien być jego dom. Wybrał jedno z drzew i zaczął uderzać mieczem najsilniej, jak tylko potrafił. W końcu ustąpiło i padło na ziemię. Hazan podbiegł do słoja i zaczął liczyć. Doliczył do piętnastu i zamilkł. To drzewo na pewno stoi tu za długo, nie było tu żadnych ludzi i prawdopodobnie nie było tutaj mnie – uświadomił sobie. Ale co z moimi wspomnieniami? Co z nich jest prawdą, a co się nigdy nie wydarzyło? Czy Madi kiedykolwiek istniała? – to pierwsze, co mu wpadło do głowy. Niesiony gniewem i niepewnością, popędził do miejsca, gdzie powinny być zgliszczka wioski.

W tym oszalałym pędzie zatrzymał go ból na prawej dłoni. To znamię smoka.

– Jestem przeklęty. Czy stracę zmysły i swoją wolę na rzecz jakiejś kreatury? – pytał sam siebie.

Pomimo wszystko nie przerywał marszu. Chciał wiedzieć, czy chociaż ona była prawdziwa. Czy jego przysięga zemsty ma sens?

Pomimo że droga była dość długa, minęła jak kilka chwil. W miejsce domów

znalazł szczątki palonego drewna. Drobnii rabusie zajęli się resztą.

– A więc to była prawda – westchnął z ulgą.

Mógł założyć, że wspomnienia od momentu dotarcia do tej wioski są prawdziwe. Ale jak trafił do tej rodziny i kto na prawdę jest jego ojcem?

Jesteś na ziemi od pięciu lat – przypomniał sobie słowa upadłego micha, które przeszły jego duszę jak ostry miecz. Smok na dłoni rósł aż na przedramię, a towarzyszył temu wielki ból. Wrzask Hazana było słychać z daleka. On sam nie wiedział, czy to ból fizyczny, czy może ból duszy. Od tego momentu jego tożsamość i przeznaczenie zostały przed nim zakryte.

Po chwili tych mąk padł na ziemię. Zaczął zatracać się w szaleństwie i rozpacz. Bez tożsamości, bez osobowości. Częstka człowieka w nim mówiła, że jeszcze nie czas się poddawać. Ma jeszcze coś do zrobienia.

Podniósł się i rozejrzał dookoła. Piękny poranek, słońce świeci, wiatr lekko kołysze drzewami, a nieopodal zgliszcza starego domu. Wróciłem do punktu wyjścia, z małą pamiątką na ręku – pomyślał i spojrzął na coraz to większego czarnego smoka. Cel, jaki wcześniej sobie obrał, powoli przestawał mieć znaczenie. Uczucia zaczęły w nim gasnąć. Kiedyś kochał Madi, ale teraz nie jest pewien, czy to miłość czy gniew nim miota. Szukał zemsty jako celu życia, a ona była tylko blaknącym wspomnieniem. Miłość, współczucie... to wszystko zaczyna wygasać. Chłopak przypominał sobie pierwszy sen z czarnym wojownikiem. „Rośnij w siłę” – może właśnie to jest myśl.

Poszedł w głąb lasu. Tylko ostatki uczuć się w nim tliły. I nadzieja, że może spotkanie z Madi to zmieni.

Wtedy przypomniał sobie o książce. Usiadł pod jednym z drzew i zaczął czytać. Pierwszy rozdział „O świata stworzeniu”:

Dawno dawno temu, kiedy jeszcze nasz świat nie istniał, a wszystko ogarniały mroki, żył w nich jeden, lecz bardzo potężny byt. Był on pogrążony we własnej zadumie, a wszystko, co by tylko chciał, stałoby się. Ponieważ jego inteligencja nie znała granic, rozważnie dobierał życzenia.

W pewnym momencie chciał, aby stało się światło. Tak to w kosmosie pojawiły się gwiazdy i inne formy niebieskie. Kiedy ów stwórciel uznał, że jego pomysł jest dobry, poczęł wdrażać inny.

Z swojego serca zrodził dwóch braci. Jednego nazwał imieniem Tynos, a drugiego Menkes. Dał im moc stworzenia, czego tylko zapragną. Tak więc obaj zaczęli tworzyć planety. Tynos wkładał w nie całe swoje serce, a jego planety były piękne dla oka. Menkes natomiast miał nieczysty umysł, ponieważ było w nim zbyt wiele pomysłów, a jego planety były dalekie od ideału.

Ów potężny byt chciał wynagrodzić działania Tynosa i zrodził mu kobietę podobną do niego, i nazwał ją Ekomi. Menkes widząc, jak wielki dar otrzymał jego brat, popadł w wściekłość. Postanowił oddalić się i obmyślić plan.

Ekomi była niezwykle mądra i piękna. Zrodziła Tynosowi dziewiętnaścioro dzieci. Pierworodny z nich nazywał się Tal'nahum. Potem nastąpili: Al'ramon, Gargon, Kiara, Namu, Sorgan, Narun, Kata, Notan, Hur, Nanzal, Nael, Gael, Zerafin, Nurmon, Zeroel. Najmłodszymi byli Kar, Zar oraz Mar.

Tynos widząc, jak bardzo Ekomi jest zmęczona, zabrał ją na odległą planetę, którą stworzył w sposób wyjątkowy, i opiekował się nią. Natomiast każde z ich dzieci udało się na osobną planetę, z wyjątkiem Mara, Kara i Zara. Oni zamieszkali na jednej. Wszyscy wiedli spokojne życie w wielkiej przyjaźni z sobą.

Gdy pierwszy byt zobaczył, co się stało, ucieszył się na widok pięknego świata i jego mieszkańców. Dobrze życzył każdemu z nich, a oni byli posłuszni jego woli.

Menkes opętany zazdrością o brata uknuł okrutny spisek. Udał się na planetę zamieszkałą przez Mara, Kara i Zara i szepnął w myślach do Mara: „Twoi bracia wcale cię nie kochają. Udają tylko przed tobą, a potajemnie knują spisek, aby cię obalić i zagarnąć planetę dla siebie”. Mar na te słowa zmieszał się i nabrał podejrzeń co do braci.

W niedługim czasie rzekł w sumieniu Menkes do Kara: „Twoi bracia to twoi wrogowie. Teraz udają, że cię kochają, natomiast gdy tylko udasz się spać, mają zamiar zrobić ci krzywdę”. Tak i w sercu Kara pojawiło się zwątpienie. Kochał on swoich braci i nie wiedział, co owe słowa w jego myślach mogą znaczyć. Czuł zaś nieznany dotąd wewnętrzny niepokój.

Bracia zaczęli się zachowywać nieufnie wobec siebie. Gdy Zar oddalił się od dwójki, aby pospacerować po planecie, Menkes stanął przed nim.

– Dokąd idziesz mój synu? – powiedział do niego Menkes.

– Przechadzam się po planecie i rozmyślam, ojczy – odpowiedział Zar, gdyż Menkes był łudzaco podobny do Tynosa.

– Twoi bracia będą chcieli zadać ci ból, ale ja cię pobłogosławię i odniesiesz zwycięstwo – powiedział i zniknął sprzed jego oczu.

Ziarno zła, jakie zostało zasadzone, wydało plon, a między braćmi powstał spór. W pewnym czasie rozgorzała między nimi bitwa, a ich wewnętrzna moc niszczyła pobliskie planety. Natomiast zgliszczą tych planet niszczyły inne planety. Tak właśnie uległa destrukcji piąta część wszystkich planet. Sami bracia, po długich zmaganiach, upadli na jedną z nich.

Po pewnym czasie ich komórki zaczęły rodzić oddzielne byty. Jedne z nich były jak Tynos, a inne jak Ekomi. Owe byty były mniejsze od bogów, a ich siła znacznie ograniczona. Synowie i córki Ekomi nazwali ich ludźmi.

Ponieważ wydawali oni się nieporadni, bogowie zaczęli im pomagać. Każdy z bogów czynił to wedle swoich upodobań.

Byt pierwotny postanowił ukarać wielkie przewinienie Menkesa. Schwytał go na jednej z najmroczniejszych planet i cisnął w otchłań. Tam Menkes przeżywał okrutne męki, a jedyne, co z siebie wydusił, to przysięga zemsty.

Pierwotny kreator widząc, jak bogowie pomagają nieudolnym ludziom,

pobłogosławił ich czyny. Wszak dbali oni o słabsze i niższe od siebie stworzenia. Sam postanowił oddalić się i obserwować dalsze wydarzenia.

Teraz już chłopak miał znacznie większą wiedzę. Wiele z jego pytań odnalazło odpowiedź. Chciał to wszystko poukładać sobie w głowie. Zrobiło się już ciemno, głowa była dość ciężka, a okolica taka spokojna...

Hazan szedł pośród mrocznego lasu. Wszystko było ciemne i ponure. Jedno z bardziej ponurych miejsc, jakie w życiu widział. Wtedy zobaczył promień światła. Pobiegnął w jego stronę. Ujrzał dostojnego mędrca w białych szatach, o długiej białej brodzie i długich siwych włosach. W ręku trzymał drewnianą laskę, a jego twarz była bardzo przyjazna.

– Nazywam się Atros, chłopcze i długo cię szukałem – przemówił. – Tynos powiedział mi o tym, co się stanie, dawno temu. Musisz jak najszybciej odnaleźć przyjaciół i przy płynąć na mój kontynent. Inaczej pochłonie cię mrok.

Nowy cel

- Serwan, jakbyś tyle nie jadł, to coś by jeszcze zostało! – krzyknęła Dani.
Od wczoraj na prowizorycznej łajbie nie mieli nic do jedzenia.
 - Jak mam żyć bez kieliszka chleba powszedniego? – narzekał Zoltek.
 - Nie martwcie się, zaraz coś upolujemy – stwierdził Funkar.
 - Jak? Potrafisz polować na wodzie? – zapytała poirytowana kobieta.
 - Nie, ale w lesie już tak – odpowiedział wielkolud, pokazując palcem na ląd
 - No w końcu! – krzyknął uśmiechnięty Serwan.
 - Coś tutaj nie gra – stwierdziła Dani. – Powinniśmy dopłynąć do innej części kontynentu.
 - Pewnie wody nas zniosły – stwierdził Zoltek. – Potrafisz określić nasze położenie?
 - Tak, nawet jesteśmy bliżej zakonu – dodała.
 - Najpierw powinniśmy zdobyć zapasy, a potem wyruszyć – zaproponował Funkar.
 - Hmm, chyba czeka nas życie dezertów – stwierdził Zoltek.
 - Nie sądzę – odpowiedział stary druh. – Większość ludzi nas nie zna, a król weźmie nas za martwych
 - To dobrze. Będzie można korzystać z karczm – uśmiechnęła się Dani.
 - Taaa, i trochę się napić! – wykrzyczał uradowany Zoltek.
- Bez problemu dotarli do brzegu.
- No to czas na użytek wtórny – stwierdził Funkar i porąbał konstrukcję.
 - Co ty robisz!?! – krzyknął chłopak.
 - Ach, dzieciaku, co ty byś bez nas zrobił? – zaszydził Zoltek. – Musimy zatrzeć ślady i będziemy mieli drewno na opał. W razie, gdyby trzeba było się tutaj zatrzymać.
 - Mają rację – stwierdziła kobieta.
 - Cicho, coś słyszę! – powiedział Serwan, nasłuchując lasu. – Chyba ktoś tam jest.
- Dani wyjęła swoją broń. Towarzysze zrobili to samo. Kobieta była zwinna jak wiewiórka, więc poszła to sprawdzić. Reszta grupy ją osłaniała. Podeszła bliżej. Nagle dała im znak ręką, aby podeszli. Zobaczyli sarnę kilka metrów dalej, skubiącą trawę. Funkar i Zoltek zastanawiali się, jak jej nie spłoszyć. Kobieta rzuciła swoją bronią. Przebiła jej głowę, a ona padła na ziemię bez ducha.
- To był piękny strzał! – krzyknął Zoltek.
- Było koło południa.
- Zjedzmy część przy ognisku – zaproponował Funkar.
- Nikt nie odpowiedział, każdy robił. Byli bardzo głodni po podróży. Dobrze jest mieć kobietę, cieszyła się najedzona załoga.
- Wzięli tyle surowego mięsa, ile byli zdolni unieść. Z pełnymi brzuchami weszli

w głąb lasu.

– Hej, wiesz, którędy iść? – zapytał Funkar.

– Tak, powinniśmy iść na północ, tam będzie zakon – stwierdziła kobieta.

Może znajdziemy trochę wódeczki, marzył Zoltek.

Po dość krótkim marszu ujrzeli spory budynek w oddali. Do niego prowadziła droga.

– Karczma i wóda, jesteśmy uratowani! – krzyknął napalony pijaczek i pognął co sił w nogach.

Nagle poczuł szarpnięcie.

– Nie tak szybko, to może być niebezpieczne – powiedział Funkar.

– Dobrze mówi, podejźmy bliżej i sprawdźmy, o co chodzi – zaproponowała Dani.

Serwan tylko kiwnął głową. Podeszli do budynku od strony lasu. Kobieta szła pierwsza, była najcichsza. Zajrzała przez okno.

– Hej to karczma! – krzyknęła do reszty.

Uradowani założyli kaptury i weszli do środka.

– Szczęście nam sprzyja – szepnął Serwan.

Rozejrzeli się po sali – było tutaj około dziesięciu ludzi. Każdy w płaszczu i z kapturem. Wszelkie rozmowy ucichły. Cała czwórka podeszła do karczmarza. Ten wydawał się być nieobecny, a jego skóra była sina. Postanowili to zignorować i złożyć zamówienie.

– Piwa, bez limitu! – powiedział Zoltek bez namysłu.

Karczmarz spojrział na niego pustym wzrokiem.

– Czarny Pan was nie lubi – wybełkotał. – Zabić! – krzyknął jak rozkaz.

Każdy z tubylców dobył miecza i ruszył w stronę grupy. Karczmarz zrobił to samo. Tutejsi też mieli siną skórę i nieobecne spojrzenie.

– Wycofajmy się do wyjścia – krzyknął Zoltek.

Tak też zrobili. Funkar stał przy drzwiach. Miotął swoim potężnym mieczem, a krew przeciwników bryzgała na wszystkie strony. Zoltek i Serwan stali obok niego i robili swoją robotę. Dani dźgała wrogów zza pleców swoich przyjaciół. Dość szybko i łatwo poradzili sobie z nieprzyjacielem. Tamci właściwie nie wykonywali jakichś logicznych ataków. Po prostu parli do przodu z mieczem w ręku. Jeden z nich jeszcze dychał, Serwan podszedł do niego. Mężczyzna odzyskał właściwy kolor skóry. Złapał chłopaka za nogę.

– Dziękuję za uwolnienie – wyszeptał z lekkim uśmiechem i wyzionął ducha.

– Co tu właśnie się stało? – spytała Dani.

– Też chciałbym to wiedzieć – odpowiedział Funkar.

– Powinniśmy przeszukać to miejsce – zaproponował Serwan.

Zoltek od razu wgramolił się za ladę. Tam znalazł trzy beczki pełne piwa i jedną z rumem.

– Tutaj jest mały raj – krzyknął.

Serwan i Dani sprawdzili ludzi. Nie znaleźli nic niezwykłego.

– To musieli być zwykli podróżnicy – krzyknęła kobieta do pozostałych.

Funkar łyknął nieco piwa.

– Powinniśmy zbadać górę – powiedział.

Wszyscy w czterech poszli skontrolować pokoje, z mieczami w rękach. Funkar zajrzał do pierwszej izby po lewej.

– Tutaj pusto – stwierdził.

– U mnie to samo – powiedział Zoltek.

Z takim samym efektem otworzyli drzwi Serwan i Dani.

– Pozostał ten ostatni – stwierdził Funkar.

Weszli niepewnie do ostatniego pokoju we czwórkę. Tutaj już było inaczej. Na środku pomieszczenia widzieli krąg z dziwnych znaków. Co jakiś czas świeca, a w środku królik z sztyletem w plecach.

– Znaki są napisane najpewniej krwią tego biedaka – stwierdził Funkar.

– Ja tego na trzeźwo nie ogarnę – dodał Zoltek i napił się piwa.

– Czy to może być magia? – zapytał Serwan.

– Na pewno – odpowiedziała Dani. – Ktoś tutaj przejął kontrolę nad tymi biedakami z dołu. Świat prawdopodobnie stoi na skraju armagedonu

– Co do tego nie ma wątpliwości – zgodził się Serwan.

– Ściemnia się, powinniśmy tutaj zostać – zaproponował Zoltek.

– Masz rację – zgodziła się grupa.

Cała czwórka zeszła na dół.

– Trzeba ich pochować – zaproponowała dziewczyna.

Funkar, Zoltek i Serwan znaleźli dół nieopodal karczmy. Wrzucili tutaj ciała i je podpalili. Następnie odprawili krótką modlitwę do bogów, aby dali ich duszom spokój. Bez słowa wrócili do gospody.

– Masz jednego na koszt firmy! – krzyknął uśmiechnięty Zoltek i zatoczył beczkę do stolika.

Tutaj usiedli wszyscy razem. Przygotowali sobie strawę z sarniny. Alkoholu też mieli pod dostatkiem.

– No to czas na opowieść – stwierdziła Dani. – Muszę coś wam wyznać.

– Słuchamy, młoda damo – powiedział Zoltek, biorąc łyk.

– Tak naprawdę nie jestem z rodziny królewskiej. Pochodzę z małej wsi. Mój ojciec kiedyś podróżował po kraju, stąd znam drogę.

Każdy słuchał tego z zaciekawieniem.

– Dlaczego nas okłamałaś? – zapytał Funkar.

– Inaczej byście mnie nie zabrali z sobą.

– Bez wątplenia masz rację, udało ci się nawet przechytrzyć starego Raseka – zachichotał Zoltek.

– Podczas pierwszego dnia inwazji demonów nasza wioska została zaatakowana. Cała moja rodzina zginęła – powiedziała ze łzami w oczach. – Khanisy się mną zainteresowały, złapały za ubranie i prowadziły do lasu. Cudem udało mi się im wyrwać

i uciec gdzieś w głąszę, gdzie przeżyłam noc.

– Miałaś wielkie szczęście – wtrącił Serwan.

– To nie do końca prawda. Trafiłam na handlarzy ludźmi – wyjaśniła.

– Auu, nie zazdroszczę – skrzywił się Zoltek.

– Na szczęście byłam z nimi tylko chwilę. Trafiłam do najemników, kupili mnie za parę groszy. Byłam waleczna i nie pozwalałam się wykorzystać. Z czasem przyjęli to do wiadomości i zaczęli mnie traktować jak swoją.

– Czym się zajmowaliście? – zapytał Serwan.

– Głównie szukaliśmy zaginionych albo opuszczonych skarbów. Moja grupa wierzyła, że po apokalipsie będziemy bogaci. Według nich obecny stan miał być przejściowy. Wojny też robiły swoje, mówili. No, ale teraz wszyscy oni zginęli przez swoją chciwość – dodała po chwili ciszy kobieta

– Nie ma co rozprawiać wiele o przyszłości, mamy świat do uratowania! – krzyknął Zoltek.

Był już na tyle pijany, że zaczął śpiewać stare pieśni o bohaterach wojennych.

– Powinniśmy się położyć – powiedział Funkar. – Jutro czeka nas długa droga. Dzisiaj ja wezmę pierwszą wartę – dodał.

Dla bezpieczeństwa znieśli łóżka na dół. Pozostała trójka poszła smacznie spać. Funkar natomiast zabarykadował drzwi. Usiadł przy oknie i patrzył w ciemny las, sącząc resztki piwa z beczki.

Noc przebiegła bezproblemowo. Każdy odbył swoją wartę. Ostatnia przypadła Dani. Całą resztę grupy obudził piękny śpiew ptaków.

– No, to pora się zbierać – powiedział Funkar.

Szybko zebrali swój ekwipunek i wyruszyli w drogę. Słońce mocno świeciło, a las wyglądał pięknie. Co jakiś czas słyszeli ptaki. Mieli jeszcze sporo mięsa, a Zoltek taszczył na sznurze beczkę alkoholu. Nie wypalił się zbyt dobrze, więc pierwsza godzina upłynęła na ziewaniu.

Mniej więcej w południe Serwan spytał Dani, jak daleko do zakonu.

– Nie jestem pewna, to powinno być gdzieś w tę stronę – odpowiedziała.

– Mam nadzieję, że dojdziemy szybko, nim skończą się zapasy – powiedział Zoltek, wskazując na beczkę.

– Chyba tak szybko tego nie wypijesz – zażartował Funkar. – Powinniśmy zjeść resztę sarniny.

– Masz rację – potwierdził chłopak.

Zebrali szybko nieco drewna i rozpalili ognisko. Każdy na kiju podpierał swój kawałek mięsa. Zoltek miał w plecaku drewniany kufel z karczmy. Nie omieszkał trochę z niego wypić.

– Co zrobimy, jak już go znajdziemy? Tego Hazana – zapytał znad kufła.

– Hmm, pewnie bogowie nam powiedzą – odpowiedział Funkar. – Nie ma wątpliwości co do tego, że Serwan jest wybrany. Na pewno Gargon ma plan.

– Czeka nas bardzo ciekawa misja – stwierdziła kobieta, gryząc mięso.

– Tak, powinniśmy też pomyśleć o polowaniu. Mięso nam się skończyło, a do picia mamy tylko piwo – zaproponował Funkar.

– Co do mięsa, się zgodzę – odpowiedział Zoltek. – Ale piwo to wybawienie! Czego nam więcej trzeba? – zapytał ze zdziwieniem.

Nagle usłyszeli szeleszczenie w krzakach. Przybrali pozycję bojową i postanowili to sprawdzić. Ich oczom ukazała się kobieta w ciężkim stanie. Miała liczne rany, a jej ubranie było poszarpane. Natomiast skórę miała bardzo ciemną, niemal czarną.

– Ona pewnie zamieszkuje północne państwo Nepton. Tam, gdzie słońce jest silne, a mieszkańcy zostali przez nie naznaczeni. Dzięki takiej skórze słońce ich nie pali – wyjaśnił Funkar.

– Co powinniśmy z nią zrobić? – zapytał Zoltek. – Jest nieprzytomna, ale bez wątpienia żyje.

– Na pewno jej tutaj nie zostawimy! – krzyknęła Dani i zaczęła oczyszczać jej rany.

Serwan jej pomagał. Gdy doprowadzili ją do porządku, zaczęło się ściemniać. Dlatego też rozpalili ognisko. Funkar nie próżnował w tym czasie.

– Będziemy mieli co jeść! – krzyknął do grupy, niosąc dzika na plecach.

– Los niewątpliwie nam sprzyja – stwierdził Zoltek, popijając piwo.

Starł się zrozumieć swoją misję, może znaleźć drugie dno. Wtedy kobieta się ocknęła, złapała Dani za rękę.

– Gdzie jestem? – zapytała.

– W państwie Markude. Jesteśmy wędrowcami, którzy szukają przyjaciela – wyjaśniła kobieta. – A ty kim jesteś?

– Ja nazywam się Grace i jestem z państwa Nepton. Zostałam wystała tutaj, żeby zbadać sytuację. Chcieliśmy wiedzieć, czy inne państwa też dotknęła klęska. Podczas swojej podróży ja i moja grupa natrafiliśmy na wielką armię prowadzoną przez tajemniczego rycerza w czerni. Udało nam się uciec, ale w nocy napadli na nas bandyci. Moją grupę wybili, a mnie pozostawili na pewną śmierć – opowiedziała.

– Ja i moja grupa? – zapytał Zoltek.

– Owszem. Miałam wysokie stanowisko w naszej armii. Ponieważ znam waszą mowę, dano mi ludzi i powierzono misję – odpowiedziała.

Serwan przyjrzał się jej. Miała długie, ciemne włosy, czarne oczy i delikatne rysy twarzy. Była raczej niskiego wzrostu. Może nieco starsza od niego.

– Twoja misja raczej dobiegła końca – powiedział Funkar i podał jej kawałek mięsa.

– Ta armia zostawiła za sobą tylko zgliszcza, a tych, co przeżyli, wzięli w niewolę. Obawiam się, że zbudują swoje państwo, wielkie na cały kontynent – odpowiedziała.

– To co w takim razie możemy zrobić? – zapytał Serwan.

– Zdobądźmy statek i uciekajmy w morze! – zaproponowała.

– Przecież tam nic nie ma. Pewnikiem spadniemy na dół – powiedział poirytowany Zoltek.

– Skąd wiesz? Przecież nikt tego nie sprawdził. Lepsza nadzieja i życie na wodzie niż pewna śmierć.

- Masz rację! Jestem z tobą – powiedział Funkar.
- Ja również – przyznał Serwan, czując, że tego chce Gargon.
- Zawsze chciałam wyruszyć w nieznane! – dodała Dani.
- Nienawidzę się rozdzielać – burknął Zoltek.
- Jutro powinniśmy dotrzeć na miejsce, wtedy poszukamy statku – stwierdziła Dani. Nikt się nie sprzeciwił.
- Musimy jeszcze uratować Hazana – dodał Serwan i wyjaśnił nową sytuację.

Rany Grace na szczęście okazały się tylko powierzchowne. Wszyscy usnęli.

O świcie szybko pobierali swoje zapasy i ekwipunek. Dali też Grace miecz. Kobiety szły razem na przodzie. Potem Funkar, który tłumaczył Serwanowi techniki walki. Na końcu Zoltek z resztką piwa w beczce, wesoło sobie nucąc. Dość szybko zobaczyli za drzewami wielki budynek.

- To już tutaj! – krzyknęła Dani.

Serwan złapał się za głowę. To z powodu nagłego bólu.

- Wszystko dobrze? – zapytała Grace.

- Tak, to tylko chwilowe – zapewnił chłopak.

Funkar i Zoltek popatrzyli na siebie. Obaj wiedzieli, że to może być sygnał od Gargona. Nie chcieli wzbudzać paniki, więc o tym nie mówili. Sami natomiast byli bardzo czujni. Po jakichś dwóch godzinach stanęli przed otwartą bramą do klasztoru.

– Hazan, draniu, zabieramy cię stąd! – krzyknął uśmiechnięty Serwan i ruszył przodem.

Za nim dziarskim krokiem poszła cała grupa.

Stanął jak wmurowany, gdy zobaczył na dziedzińcu pięć zmasakrowanych ciał mnichów.

– Zwłoki są świeże, coś niedawno musiało ich pozabijać. Zachowajmy czujność – stwierdziła Grace.

Wszyscy wyjęli broń i byli gotowi do działania.

– Funkar i Dani, zostańcie tutaj! W razie problemów krzyczcie. Reszta za mną! – rozkazała nowa.

Wraz z Serwanem i Zoltekiem weszli do największego budynku. Tutaj zobaczyli korytarz z drzwiami po bokach. Prowadziły do cel mnichów. W środku zastali ich ciała.

- Tych zabito dawno temu – stwierdziła Grace.

Na końcu korytarza natknęli się na prowizoryczny bunkier. Na ścianie widniał napis: „Ave Menkes”. Najpewniej krwią jednego z tych biedaków.

- Co tutaj się stało? – zapytał Serwan.

– Pewnie ktoś tutaj przeszedł na stronę Czarnego Pana. Potem ktoś przyszedł i ich powybijał – domyślała się kobieta. – Raczej nie znajdziemy tutaj twojego przyjaciela.

Następnie wrócili na dziedziniec i opowiedzieli o swoim znalezisku.

– Ja go kojarzę! – krzyknął chłopak i wskazał na zwłoki. – To on był w garnizonie po Hazana.

- Może on gdzieś tu jest – powiedział Funkar.

Przeszukali resztę budynków. Nie znaleźli już żadnych zwłok. Za to beczkę z wodą i trochę zapasów żywności.

– To już dobry początek. Powinniśmy ruszyć dalej. Jeśli wasz przyjaciel przeżył, to powinien być niedaleko – stwierdziła Dani.

Ponieważ nie chcieli spać w takim miejscu, zabrali prowiant i wyszli pośpiesznie.

– Niebawem będzie się ściemniać – stwierdził Funkar.

– W którą stronę powinniśmy iść? – zapytał Zoltek.

– Tam! – odpowiedział Serwan, wskazując ręką na wschód.

Funkar zobaczył na jego nadgarstku niewielkie znamię.

– Obusieczny topór ociekający krwią. To bez wątpienia znak Gargona! – pomyślał na głos.

– Skąd ta pewność? – zapytała Grace.

– Znasz ten znak? – zapytał ją Funkar, wskazując na nadgarstek Serwana.

– Na wszystko, co święte! To pomazaniec Gargona! – stwierdziła kobieta.

– Coś powinnaś wiedzieć – powiedział Zoltek.

Opowiedzieli kobiecie swoją historię, pakt Serwana oraz sprawę Hazana. Kobieta nie wydała się jakoś szczególnie zaskoczona.

– Codziennie modliłam się do boskiej Ekomi, żeby wskazała mi drogę do was – wyjaśniła.

Zmagania

Hazan wybudził się ze snu wczesnym rankiem.

Jak to inny kontynent? Przecież istnieje tylko jeden – pomyślał. Spojrzał na smoka. Znamię wychodziło już poza ramię. A więc to jest linia czasu, zanim zwariuję.

Zebrał swoje rzeczy i ruszył na wschód. Miał przeczucie, że to słuszna droga.

Mord... jest bardzo przyjemny – usłyszał w głowie głos.

Spojrzał przed siebie. Zobaczył dość dużego królika. Fajne było by z niego śniadanie – pomyślał.

Słabi muszą... zostać wyeliminowani – szepnęło coś do niego.

Poczuł się dziwnie, jakby mrok właśnie dotknął jego serca. Czarne myśli przeszły mu przez głowę. Gdy się otrząsnął, zobaczył martwego królika w swoich rękach. A raczej to, co z niego zostało po śniadaniu.

– Nie mam wiele czasu – powiedział do siebie i przyspieszył kroku.

Miał nadzieję spotkać ludzi, może to pomogłoby mu się opamiętać, nim znajdzie mędrca.

Świat jest niesprawiedliwy, dlatego trzeba mordować – słyszał w głowie.

Wkroczył na szlak. Była nadzieja na spotkanie jakieś przydrożnej karczmy. Może trochę alkoholu i dobrej zabawy załagodząby jego problemy.

Życie jest przeklęte. Trzeba zniszczyć życie.

Głosy nie dawały mu spokoju. Teraz jeszcze był na nie odporny, ale nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma.

Oni... nas oszukali... teraz będą cierpieć!

Chłopak przetarł oczy z niedowierzaniem. Po całym dniu drogi w końcu znalazł karczmę. Wbiegł do niej czym prędzej. Była znacznie bardziej tłoczna, niż zakładał. Z uśmiechem na ustach poszedł do karczmarza po piwo.

– Od północy ciągnie do nas wielka armia – usłyszał czyjąś rozmowę.

– Jakby ludzie, ale o zwierzęcych twarzach. Ich skóra jest szerniała, a mięśnie znacznie większe od ludzkich. Wyglądają, jakby zostali stworzeni do bycia żołnierzami. Pałą wszystko na swojej drodze i nie ma dla nas ratunku – powiedział jeden z mężczyzn.

– Co ty bredzisz?! – oburzył się kolejny. – Coś takiego już dawno by wykrył nasz zwiad.

– Zwiad nie wykrył, bo nie żyje. Powinniśmy uciekać w morze, to jedyna nadzieja – zaproponował trzeci.

Słuszny ich strach. Nie ma ratunku... Wszyscy zginą! – usłyszał Hazan.

Postanowił szybko położyć się spać. Może biegiem dotrze przed zachodem słońca

do portu. A wtedy jest nadzieja na ratunek.

Wielkie pustkowia dookoła. Hazan patrzy w prawo. Żołnierz jak z opisu chłopca dobija rannego człowieka. Z lewej strony kilka takich potworów rozbija grupę milicji miejskiej z okrzykiem na ustach. Przed nim idzie legion ocalałych ludzi, a za nim jest wielka armia tych monstrów. W jego ręku wielki i zakrwawiony topór. Uniósł go w górę i ciął z całej siły. Człowiek przed nim padł przecięty na pół. Reszta ludzi zaryczała ze strachu. A Hazan czuł... przyjemność. To poczucie siły było takie przyjemne. Chciał więcej, zabił kolejnego żołnierza. Przychodziło mu to z wielką łatwością. Było w tym coś, czego nie znał. Coś, czego pragnął coraz bardziej i bardziej. Z każdym człowiekiem, który poległ z jego ręki, głód narastał. Ich wrzaski były jak melodia dla jego uszu...

Chłopak obudził się w środku nocy. Rozejrzył się dookoła. Nie był w łóżku na piętrze. Leżał na środku sali, w której pił piwo. Wszędzie była krew i trupy.

– Czy ja to zrobiłem? – szepnął.

Teraz widzisz, jakie to przyjemne... – usłyszał.

Te słowa nie pozostawiły wątpliwości. Smocze znamię było coraz bliżej serca. Prawie cała dusza Hazana chciała przyznać głosowi rację. Fakt, to było niezwykle przyjemne. Jednak wygrała ta część, która nie chciała takiej zmiany i tęskniła za Madi. Chłopak wybiegł co sił w nogach do lasu. Na wschód, po ratunek.

Gdy tak pędził, głos w jego głowie ucichł. Hazan powoli zaczął wątpić w swoją naturę. Chciał bronić Madi i ludzkości przed zagładą. Chciał być silniejszy, głównie dla niej. Sam już nie wiedział, co w jego sercu jest prawdą, a co iluzją. Wiedział tylko, że dałby wiele, żeby teraz była z nim. Tak bardzo chciał ją zobaczyć... I nie zabić.

Idąc przez kolejne lasy, nie zwracał uwagi na drogę, w jego głowie kłębiły się różne wizje. Z jednej strony widział starca i ucieczkę na nieznaną łódź. Z drugiej tego potężnego rycerza, który namawiał go do oddania się żądzy krwi. Chciał, żeby chłopak się nie hamował. Sam Hazan natomiast starał się poukładać swoją osobowość od początku. Nie był pewien swej natury. Jak tak sobie pomyślał, to całe życie chciał się gdzieś wyrwać. Pomimo tego, jaką radość sprawiało mu zabijanie, nie chciał zagłady ludzkości.

Wtedy usłyszał śmiech. Głupcy, uciekajcie, jeśli wam życie miłe – pomyślał. Jego oczom ukazało się dwóch mężczyzn. Wyglądali na weteranów wojen i lekko podpitych.

– Hej! Dokąd idziecie? – krzyknął.

Nie wywołało to w nich żadnej reakcji. Gdy podbiegł bliżej, rozplynęli się w powietrzu. Hazan usiadł na ziemi.

– Co się ze mną dzieje? – szepnął.

Zupełnie nie miał już ani sił, ani pomysłu, co począć w obecnej sytuacji. Tak bardzo

tęsknił za życiem, w którym przyświecał mu konkretny cel. Wiedział, kim jest, kogo kocha i co ma robić. Teraz to wszystko było mu jedno po drugim odbierane.

Gdyby potrafił kontrolować swoją moc i nie szaleć, mógłby zrobić wiele dobrego dla świata. Spojrzał na symbol smoka. Był już bardzo blisko serca, zachodził też na plecy.

Wiedział, że może dotrzeć do skraju kontynentu. Przy odrobinie szczęścia odnajdzie statek. Ale na podróż w nieznane raczej nie ma co liczyć. Może gdyby miał grupę ludzi...

– Można byłoby mnie zakuć w kajdany i przetransportować – powiedział do siebie. Jedyne, co mu pozostało, to zostawić wiadomość dla kogoś, kto może go znaleźć. Tak więc wziął sztylet i wyrył nim na swoim ciele napis: „Zabierzcie mnie w morze na wschód. Inaczej wszyscy zginiemy”. Potem pytająco spojrzął w niebo.

– Czy robię dobrze? – zapytał.

Kiedy spojrzął na napis, już go tam nie było. To go przygnębiło jeszcze bardziej. Wtedy zobaczył przed sobą porośniętą mchem klapę. Najprawdopodobniej prowadziła do podziemnego przejścia. Musi być naprawdę stare – pomyślał.

Zaraz po otworzeniu z ciemnej czeluści wyszło mnóstwo pajaków. Hazan się tym nie przejął i postanowił zejść starymi kamiennymi schodami. Za niewielkim korytarzem jego oczom ukazała się ściana z wyłobieniem wielkości dłoni. Chłopak spojrzął na swoją dłoń ze smokiem i przyłożył ją do ściany. Usłyszał dźwięk uruchomionego mechanizmu. Na ścianach pojawiły się malunki z krwi. Ku jego zdumieniu, obrazy przedstawiały kolejne wydarzenia z wielkich wojen. Choć wyglądały na znacznie starsze.

Za wrotami dostrzegł stary ołtarz z kamienia, prosty, bez żadnych zdobień. U dołu konstrukcji znajdował się mały lejek. Prawdopodobnie do krwi, a tutaj składano ofiary. To miejsce napawało przerażeniem. Choć chłopak bardzo chciał je zbadać, nie miał na to czasu. Chciał spamiętać jak najwięcej i przemyśleć to w drodze. Wtedy ujrzał stary papirus z napisem z krwi: „Niedźwiedź już służy Panu. Przygotujcie się do rytuału!”. Chłopak zabrał go z sobą i szybko wybiegł.

Nie był pewien, czy jego misja ma szansę powodzenia. Nie miał jak stwierdzić, ile czasu mu zostało ani jak długa jest droga.

Nagle jego oczom ukazała się zniszczona część lasu. Drzewa były szerniałe i leżały na ziemi. Towarzyszył temu odrażający odór zgnilizny. Zobaczył też kilkanaście dziwnych postaci w jednakowych czarnych zbrojach. Na ich czele szedł ktoś imponujących rozmiarów. Hazan nie był pewien, czy to sen, czy jawa.

– Ślady prowadzą na wschód – wskazała Dani.

Reszta grupy miała do niej zaufanie. Poszli więc w tę stronę, w nadziei na odnalezienie Hazana. Zoltek zaczął sobie wesoło pogwizdywać. Bardzo pasowało mu życie wędrowca. Może chodzić swoimi ścieżkami. Nie wykonuje dziwnych

i niebezpiecznych misji. Po prostu jest z towarzyszami i pije sobie trunki. Funkar za to bacznie przyglądał się Serwanowi. Nawet przez chwilę zazdrościł mu znamienia. To był niebywały honor i wyróżnienie. Na szczęście szybko stłumił tę myśl. Nie była ona godna wojownika. Tylko walka u boku wybrańca może spowodować, że będzie w gronie rycerzy Gargona. Serwan tymczasem szedł kilka metrów za kobietami. Prosił swojego patrona o błogosławieństwo w podróży. Zastanawiał się też, o czym szepczą jego towarzyski.

Dani i Grace pograżone były w rozmowie.

– Jak myślisz, jaka jest nasza przyszłość? – spytała Dani.

– Jest wiele zagadek do rozwikłania – odpowiedziała Grace. – Nie ma takiej siły w człowieku, żeby stawić czoła tej bestialskiej armii. Cała nasza nadzieja w nieznanym wodach – stwierdziła.

– Jeśli Hazan jest inteligentny, to też tam poszedł – odpowiedziała Dani.

Grupie, po całym dniu wędrówki, zaczął doskwierać głód. Powoli się ściemniało.

– Chyba coś widzę! – krzyknęła Grace i wskazała palcem przed siebie.

– Toż to karczemka, jesteśmy uratowani! – krzyknął Zoltek, patrząc na budynek. Niemalże zaczął biec w jego stronę. Wszyscy przyspieszyli kroku. Zdawało im się jednak dziwne, że mimo tak bliskiej odległości od karczmy nie dochodzą do nich głosy. Nie ma też żadnego światła. Niezrażeni tym faktem, weszli do środka przez otwarte drzwi. W ich nozdrza uderzył ogromny smród.

– Na bogów! Co tu się stało? – zapytał Funkar.

Cała sala była wypełniona trupami. Jeszcze ciepłymi.

– Chyba Hazan wcale nie jest taki miły – zasugerowała Grace.

Nie, on na pewno by tego nie zrobił – pomyślał Serwan. Dokładnie przyjrzał się ciałom. Z ulgą stwierdził, że nie ma tutaj jego przyjaciela.

– Te ziemie stały się przeklęte – powiedział Zoltek z gniewem w oczach. – Wiele widziałem, ale zło, które na nas spadło, to coś zupełnie innego. Świat, jaki znaliśmy, zaginął bezpowrotnie.

– Niewątpliwie – odpowiedział Funkar.

Wszyscy się zgadzali, ale nikt nie mówił. Zapadła cisza.

– Noc tutaj jest gorsza niż w lesie – powiedziała Dani.

– Masz rację – szepnął do niej Serwan.

Zabrali zapasy. Smutny jak nigdy Zoltek porządnie łyknął gorzałki i wziął tyle, ile dał radę. Oddalili się od koszmarnego miejsca o jakieś pół godziny drogi. Rozłożyli obóz i usnęli.

Nagle zbudził ich wielki huk i nieludzkie wrzaski.

– Co się dzieje? – krzyknął wystraszony Serwan.

– To coś wielkiego! – odpowiedział Funkar.

Zoltek chciał przytaknąć, ale ból głowy znacznie go ograniczał.

– To armia bestii – odpowiedziała Grace z panicznym strachem. – Musimy uciekać! Nie musiała tego powtarzać. Cała grupa rzuciła się w szaloną ucieczkę na wschód.

Z północy drogę oświetlał im czerwony ogień. Sprawka wroga...

Coś się kończy, coś się zaczyna

Grupa poszukiwaczy przygód gnała co sił w nogach. Ich przerażenie było nie do opisania. Ciemna noc wzmagala panikę. Dookoła słyszeli wojowników demonicznej armii. Nikt z nich nie oglądał się za siebie. Odgłosy wroga dobiegały z niemalże każdej strony. Chcieli po prostu przeżyć tę noc. To, co im spojrzało w oczy, było czymś znacznie gorszym od śmierci.

Nagle w jednym momencie wszyscy zatrzymali się jak wryci. Coś ich unieruchomiło. Jakaś moc nie pozwalała im nawet kiwnąć palcem. Myśleli, że to już koniec. Niebawem będą mogli sprawdzić, czy opisy życia pozaziemskiego były zgodne ze stanem rzeczywistym. Dookoła nich wyszło około dziesięciu bestii. Każda chodziła na dwóch nogach. Miały czarną skórę i czerwone ślepia. Były ciężko opancerzone, uzbrojone po zęby. Z lasu wyłoniła się jeszcze jedna tajemnicza postać. Znacznie większa niż pozostali. Ten ktoś idąc, nie omijał drzew, on po prostu je łamał. Koło niego maszerował jakiś wyrostek, z pozoru zwyczajny. Ubrany był podobnie do reszty. Mrok nie pozwolił im się przyjrzeć dokładniej.

– Ach! Wreszcie znalazłem cię, Madi – powiedział chłopak.

– Madi? O co chodzi?! – krzyknął Funkar.

W tym samym momencie odezwał się Serwan.

– Hazan, to ty? Uratujemy cię!

– To nie mnie trzeba ratować – powiedział spokojnie i zaczął do nich podchodzić.

Madi? Tak się nazywałam – pomyślała Dani i przypomniała sobie przeszłość. Hazan popatrzył jej głęboko w oczy. Dziewczyna zrobiła to samo, jej serce zapłonęło.

– Wykonało się, teraz jestem wolny! – powiedział Hazan i wbił rękę w jej ciało. Wyciągnął serce i rzucił w stronę bestii, które je zjadły.

– Teraz jestem wolny! – dodał i stał spokojnie.

Cała grupa zamarła. Serwan nie był w stanie zrozumieć tego, co właśnie się stało. Co za mrok ogarnął jego przyjaciela? Zoltek i Funkar byli tylko biernymi widzami tragedii. Wtedy w jednym momencie zaklęcie wiążące się zerwało. Cała grupa mogła kontynuować ucieczkę. Tak też zrobili, nie zważając na otoczenie.

– Jeszcze nie czas waszej śmierci, ale już niebawem! – krzyknął do nich Hazan. – Co teraz? – zapytał wielkiego potwora.

– Czas przygotować tę ziemię na przyjscie Menkesa – odpowiedziało monstrum.

To ostatnie, co udało im się usłyszeć. Po prostu biegli przed siebie. Modlili się do wszystkich znanych im bogów o przetrwanie tej nocy.

Po niecałej godzinie słusznego biegu dotarli do portu. Zobaczyli zacumowany statek. Kręciła się w nim jakaś niewielka załoga.

– Chyba jednak przeżyjemy – stwierdziła Grace.

Po tym, co się stało w ciągu ostatnich kilku dni, to był zdecydowanie najlepszy, co mogło ich spotkać. Statek wydawał się dość spory. Szybko do niego podbiegli. Ktoś z statku ich dojrzał.

– Kim jesteście? – krzyknął do nich z góry.

– Długo by opowiadać – odpowiedział Zoltek. Był bardzo zziębnięty. Sam nie pamiętał, kiedy tyle przebiegł.

– Ja nazywam się Lugar – powiedział mężczyzna na statku. – Macie szczęście. Chodźcie szybko, zaraz wypływamy. Każda para rąk się przyda. Musimy zwiewać, zanim te bestie nas dopadną.

Cała grupa wiele się nie zastanawiała. Szybko weszli na statek i wciągnęli drabinę. Port miał drewniany pomost, na tyle długi, że sięgał aż do statku.

Lugar przywitał przybyszów i przestawił towarzyszy.

– To jest mój brat Roch – wskazał na postawnego mężczyznę.

Musiał mieć grubo ponad czterdzieści lat. Jego sylwetka była krępa. Miał kilka blizn. Zapewne to pamiątki bitew. Czas pozbawił go włosów, jednak hojnie obdarzył brodą.

– A to nasza siostra Dora – powiedział Lugar, wskazując na drobna kobietę.

Była nieco młodsza od braci. Miała długie, czarne włosy. Jej oczy były błękitne. Lekko się do nich uśmiechała.

Sam Lugar był raczej średniej postury. Jego głowę zdobiły ciemne włosy. Miał też kilka blizn.

– Ten statek należy do armii. Tylko my przeżyliśmy z pobliskiej wioski. Uznaliśmy to za jedyny słuszny plan. Kto wie, co nas czeka za nieznanymi wodami – wyjaśnił.

– My też mieliśmy podobny plan. I liczyliśmy na odrobinę szczęścia – odpowiedział Zoltek i przedstawił swoich towarzyszy.

– Nie ma wiele czasu na pogawędki. Zoltek, Funkar i Roch: wyciągnijcie kotwicę. Grace i Dora: zbadajcie, co jest pod pokładem. Serwan i ja podniesiemy żagle – zawołał Lugar.

Każdy bez zbędnych słów poszedł do swojego zadania. Wyciągnięcie kotwicy nie stanowiło żadnego problemu dla tak rosnących chłopów. Żagle też dało radę ustawić. Na szczęście żaden z nich nie był dziurawy. Lugar stanął za sterem i obrał kurs. Na wschód, jak najdalej! Tam, gdzie jeszcze ludzka stopa nie ustała.

Grace i Dora zeszły w tym czasie pod pokład. Zobaczyły, że jest tutaj korytarz i dziewięć pomieszczeń. Cztery z lewej i cztery z prawej strony. Oraz jedno na końcu.

– Ty sprawdź prawą stronę, a ja lewą – zaproponowała przybyszka.

Pierwszych drzwi z obu stron prowadziło do kajut. Każda z nich miała dwa łóżka, oprócz pierwszego z prawej. To na pewno dla kapitana, pomyślały. Kolejne dwa z lewej strony to zbrojownie. W jednym były różnego rodzaju pancerze. W następnym miecze, topory i tarcze. Wszystko jak nowe i w doskonałym gatunku. To, na co kobiety natrafiły na końcu korytarza, bardzo je ucieszyło. Był tam magazyn na żywność oraz

prowizoryczna kuchnia, z miejscem do rozpalenia niewielkiego płomienia i gotowania. Ostatnie pomieszczenie wyposażono natomiast w stół z siedmioma krzesłami i mapę świata.

Kobiety wyszły powiadomić resztę o swoim znalezisku. Każdy niezmiernie się z tego ucieszył. Funkar, Lugar i Roch pobiegli do zbrojowni. Zoltek zaś szukał czegoś mocniejszego w składzie. Potrzebował tego jak nigdy. Jakże wielką radość sprawiła mu beczka z napisem RUM. Kobiety weszły do jednego z pokoi i położyły się na łóżkach. Grace była piekielnie zmordowana. Serwan zaś został na pokładzie. Wzrokiem odprowadzał kontynent znanego mu świata. Spojrzał na swoje znamię. A więc przyjaciel będzie mym największym wrogiem...

Wielkie wody

Serwan, oparty o burtę, wpatrywał się w niezmierzone wody. Łąd już całkowicie zniknął mu z oczu. Cała okolica była bardzo spokojna, a pogoda słoneczna. Lekki wiatr pchał żagle ku nieznanemu. Płynęli już od wielu dni, może nawet tygodni. Łądu ani śladu. Zapasy powoli zaczęły się kurczyć. Lugar i Funkar dokładnie liczyli prowiant. Powinno im starczyć jeszcze na ponad dwa tygodnie. Gorzej było z alkoholem, a co za tym idzie, z Zoltekiem Biedakowi skończyły się zapasy zdecydowanie za szybko.

Grace i Dora gotowały jakąś zupę w kuchni. Roch prowadził długie dyskusje z Zoltekiem. Głównie na tematy nudne dla słuchacza. Zwłaszcza trzeźwego. Z dnia na dzień do serca każdego z nich pukał niepokój. Śmierć z głodu gdzieś na zapomnianym statku. Nie tak giną bohaterowie. Takie myśli prześladowały szczególnie Serwana. Młody wojownik miał sporo czasu na zadbanie o swój ekwipunek. Jego miecz był tak ostry, że mógłby przeciąć włos w powietrzu. Zbroja, starannie dobrana, czekała tylko na sposobność.

– Hej, Serwanie, jak się trzymasz? – spytał Funkar i podszedł do chłopaka.

– Ach, nuda doskwiera – odpowiedział.

Popatrzyli chwilę na siebie, a doświadczony żołnierz stanął obok.

– A jak twoje znamię? – spytał.

Chłopak pokazał rękę i popatrzył na nią.

– Chyba już się nie zmienia – powiedział.

– Znak topora był bardzo wyraźny. Szedł wzdłuż przedramienia. To dobrze. Prawdopodobnie jesteś już w właściwym stadium – powiedział Funkar.

– Myślicie, że zobaczymy niebawem łąd? – zapytał Lugar i poszedł do przyjaciół.

Wtedy ukazał się niewielki punkt na horyzoncie.

– To może być ziemia! – powiedział z nutą nadziei Serwan.

– Tak, to musi być łąd! Jesteśmy uratowani! – zaczął krzyczeć Lugar i poniósł alarm na statku.

– Co się dzieje? – zapytała zdziwiona Grace, wybiegając spod pokładu. Hałas zaniepokoił ją.

– To łąd, jesteśmy uratowani! – odpowiedział Funkar.

Wszyscy podnieśli żagle, tylko Lugar stał za sterem. Ustawili statek w kierunku tego obiektu. Pełni nadziei obserwowali punkt na horyzoncie. Emocje przepełniały każdego członka załogi. Szansa na przeżycie stawała się coraz bardziej realna.

– Albo mi się wydaje, albo to się do nas zbliża – powiedział Zoltek, przerywając ciszę.

– Jak może łąd się do nas zbliżyć? – zapytała Grace z uśmiechem.

– Jeśli to nie jest łód, to musi być coś naprawdę wielkiego – odpowiedział Funkar.
– Może to tylko jakaś wysepka – zasugerował Zoltek.
– NIE UCIEKNIECIE OD ZAGŁADY! A TY ODPOWIESZ ZA TO, CO MI ZROBIŁEŚ! – rozległ się potężny głos po wodzie.

Serce każdego z członków załogi zaczęło bić szybciej.

– Czy to może być on? – zapytał Serwan, zarówno przestraszony, jak i zdziwiony.

– Jaki on? – zapytała Grace.

– Mamy porachunki z pewnym gigantem – odpowiedział Funkar.

– Pewnie ścigał nas przez cały czas – dodał Zoltek.

– To nie czas na pogaduszki, do broni! – krzyknął Roch.

Nie musiał się powtarzać. Bestia podpływała naprawdę szybko. Ledwo zdążyli wziąć miecze. Dora uciekła na drugą stronę statku. Serwan pokładał nadzieję w boskiej opatrności.

– Jeszcze nie czas umierać – szeptał pod nosem.

Bestia w pierwszej kolejności uderzyła potężną ręką w statek. Cała konstrukcja poważnie oberwała. Drwa i wióry uniosły się w powietrzu. Rochowi krwawiła głowa. Oberwał jednym z kawałków drewna.

– TO KONIEC! TERAZ JUŻ NIE UCIEKNIECIE! – krzyczała rozszalała bestia.

Każdy z wojowników próbował zadać jej ból poprzez cięcia w rękę. Jednak gigant nic sobie z tego nie robił. Uderzał w statek raz za razem obiema pięściami. Huk roznosił się echem po wodzie. Zniszczenia statku były nieodwracalne. Co i rusz obrywali kolejni wojownicy. Zoltekowi wbiła się deska w nogę. Funkar został trafiony masztem w głowę. Stracił przytomność. Lugar próbował nadziać rękę potwora na włócznię. Niestety, broń pękła jak zapalka, a on sam został zmiażdżony. Grace próbowała użyć swojego sprytu. Udało jej się nawet wbić w przeciwnika dwa miecze. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Ona sama też w końcu została trafiona. Na polu walki został już tylko Serwan.

– ZOSTAŁEŚ SAM! PATRZ, JAK TWOI PRZYJACIELE ZDYCHAJĄ! ZARAZ DO NICH DOŁĄCZYSZ! – krzyczała bestia nieludzkim głosem.

Serwan spojrzał w niebo.

– Gargonie, dodaj mi sił! – krzyknął.

Podjął walkę z potworem. Niestety, nie był w stanie przechylić szali zwycięstwa na swoją stronę. Statek był już tak zniszczony, że tylko chwile dzieliły go od utonięcia. Boska pomoc nie nadeszła.

– Zginiemy razem! – krzyknął do swojego wroga. Wbiegł po rękę prosto na szyję giganta i zatopił w niej swój miecz. Walka tak go wyczerpała, że to była ostania rzecz, jaką mógł zrobić. Potwór zawył w grymasie bólu. Powieki Serwana były takie ciężkie...

– Gdzie ja jestem?! – wyszeptał Serwan.

Nie miał siły wstać. Popatrzył tylko z pozycji leżącej. Był w łóżku. To musiała być

drewniana chatka. W tym pomieszczeniu znajdował się jeszcze tylko niewielki stolik z jakimś jedzeniem. A na ścianie widniał wyryty symbol, którego chłopak nigdy wcześniej nie widział. Nad nim stało dwóch mężczyzn. Jeden wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Miał bardzo długie, czarne włosy i ciemne oczy. Jego uszy były szpiczaste i niezwykle długie. Skórę miał jasną, był szczupły. Obok niego stał starzec w białej szacie i z białą drewnianą laską. Miał długie siwe włosy i długą brodę. Obaj wyglądali na zadowolonych, że Serwan się obudził. Chwilę popatrzyli na chłopaka, który otwierał oczy. Jego wzrok był zagubiony i dezorientowany.

– Co się stało z pomazańcem, gdzie on jest? – zapytał ten starszy z wielką powagą i zmartwieniem wypisanymi na twarzy.

– Hazanie, już czas. Wykorzystaj to, czego cię nauczyłem – powiedział mroczny generał do chłopaka.

Ten podszedł do zwłok Madi. Wyciągnął nad nią prawą rękę.

– N’urh a luf ge thorne Menkes – wyszeptał.

Kobieta powstała z martwych, a raczej jej duch.

– Doskonale, szybko się uczysz. Czas podbić kolejne miasta – stwierdził potwór.

Bestie ruszyły przed siebie. Na czele szedł dowódca z Hazanem. Koło nich szła – a raczej lewitowała – Madi. Za nimi niezliczone hordy orków i khanisów. Dziewczyna była świadoma tego, co się dzieje. Nie miała wpływu na swoje czyny. Była całkowicie kontrolowana. Patrzyła na ukochanego, który bez mrugnięcia okiem ją zabił. Teraz maszerował na czele armii, by zniszczyć wszystko, co kiedykolwiek kochali. Jej ból był nie do zniesienia. Gdyby mogła, to zalałaby się łzami. Teraz maszeruje z armią potępieńców. Nikt nie mógł przewidzieć, w jaki sposób mogą ją wykorzystać.

– Atak przeprowadzimy od frontu – wyjaśnił dowódca. – Niech te psy wiedzą, że nie mają z nami żadnych szans!

Na te słowa podniosła się wrzawa. Byli coraz bliżej Hobbs. Stukot metalu i wrzaski żądnych krwi orków niosły się echem. Jeden z nich, większy od reszty, trzymał sztandar: na czarnym tle wszystko widzące oko Menkesa, z niewielką łzą nad tymi głupcami, którzy nie krocą jego ścieżką. Psy zostały spuszczone. Biada każdemu, kto opuścił mury miasta.

Teraz Madi dowiedziała się, po co ją trzymają. Hazan wyciągnął rękę w stronę miasta. Dziewczyna mimowolnie poszła we wskazanym kierunku. Dokładnie zbadała wnętrze miasta. Potem zdała raport swoim oprawcom. Widziała paniczny strach obrońców. Tak bardzo chciała ich ostrzec...

– To będzie łatwiejsze, niż myślałem! – krzyknął dowódca.

Wrzawa orków narastała. Miasto zostało zamknięte. Przerażeni obrońcy zajęli pozycje na murach obronnych. Bestia wyjęła swój runiczny miecz i uniosła ku niebu. Pomimo że było południe, chmury zasłoniły słońce, a mrok ogarnął całe miasto. Piękna pogoda zamieniła się w ulewę lodowatego deszczu.

– Mrok was ogarnie! – krzyknął oprawca i wskazał mieczem na bramę.

Potężna błyskawica uszła z jego broni i roztrzaskała mur. Psy wbiegły jak oszalałe. Zaraz za nimi orki. Ich wojenne okrzyki dudniły potężnym echem. Hazan też nie zostawał w tyle.

Chłopak zauważył starego Kazara wraz z oddziałem. Dał znać reszcie, żeby nie przeszkadzali.

– Opamiętaj się, chłopcze! – wykrzyczał rozżalony dowódca obrony.

– Czas na egzamin – powiedział spokojnie Hazan i wyjął czarny topór zdobiony runami.

Trzymał go nie tylko ręką. Ogon smoka mu w tym pomagał. Zajaśniał ciemnym blaskiem na jego ciele. Kilku wojowników widziało w jednym przeciwniku łatwy łup. Chłopak bez trudu machał ogromnym toporem jedną ręką. Rozpłatał wieku przeciwników. Drugą ręką łupał czaszki. Nawet się przy tym nie spocił.

– Teraz czas na ciebie – powiedział w stronę starego nauczyciela.

Kazar nie chciał dać za wygraną, był świetnym wojownikiem. Ciął to z lewa, to z prawa. Bardzo szybko i precyzyjnie. Chłopak bez problemów unikał ciosów. W końcu uderzył nauczyciela w brzuch. Ten zawisł na jego ręku. Smok zaczął się poruszać po ciele chłopaka. Jego pysk zatopił zęby w przeciwniku. Zaczął go zjadać. Krzyk bólu odbił się echem po całej dzielnicy. Duch Madi był kilka kroków dalej i wszystko widział.

Masakra nie trwała zbyt długo. Po kilkunastu minutach na rynku pojawił się dowódca. W ręku trzymał głowę króla.

– TO OSTATNIA STOLICA LUDZI! TA RASA UPADNIE! NA TYM MIEJSCU POWSTANIE NOWE IMPERIUM, KTÓRE ZEGNIE ŚWIAT DO SWOJEJ WOLI! – ogłosił.

Potem usiadł na prowizorycznym tronie. Niedobitki ludzi były zjadane przez khanisy albo siekane przez orki.

Hazan zasiadł obok towarzysza. Koło nich stała Madi. Wpatrywała się w puste oczy dawnego przyjaciela.

Czy on tam jeszcze jest? – pytała sama siebie. Czy mogła temu zapobiec? Dlaczego to wszystko się stało? Nawet pytać nie było jej dane. Mogła tylko stać w bezruchu. Jej duszę przeciął okrutny miecz. Spotkało ją coś gorszego niż śmierć. Los zgotował jej ktoś, kto miał być miłością jej życia.

– Co teraz? – zapytał Hazan.

– Najpierw odpowiem ci, kim jestem – wyjaśnił dowódca. – Ludzie zwali mnie niedźwiedzim bogiem. Moje prawdziwe imię to Ghorn. Nosiłem skórę tego stworzenia. Byłem wielki i silny. Pokonałem w pojedynkę armię istot nieznanymi człowiekowi. Rasa ta została zapomniana przez tych głupców. To byli dzicy wampirów, wysłane przez portal przypadkiem. Prawie zgładziły tych nieudaczników. Wtedy lord Menkes pokazał mi prawdę. Ujawnił mi swoje ścieżki oraz nieskończoną mądrość.

– Rozumiem – odpowiedział Hazan bez większego zdziwienia. – To co teraz

zrobimy?

– Teraz się przegrupujemy. Odbudujemy imperium, stworzymy niepokonaną armię. Przyzwiemy samego Menkesa na ziemię i podbijemy cały świat – wyjaśnił Ghorn.

– Jak możemy przyzwać kogoś tak potężnego na ten świat?

– Poprzez portal, od tego mamy okultystów – wyjaśnił dowódca. – Już raz podjęto próbę, ale przyszyły tylko demony, magia i orki. Na pewno pamiętasz ten dzień – dodał z lekkim uśmiechem.

Nieznane ziemie

– Nie wiem, o kogo chodzi – odpowiedział chłopak.

– A więc prawdopodobnie przepadł – odpowiedział starzec.

Na twarzy jego towarzysza pojawił się niepokój.

– Kim jesteście? – zapytał zdezorientowany Serwan.

– Ja nazywam się Atros, a to mój przyjaciel Nor'tel. To on znalazł was na brzegu – odpowiedział mędrzec. – Teraz ty opowiedz nam swoją historię.

Chłopak poprawił się na łóżku. Ból w plecach nie był wielki, ale dotkliwy. Zrobił to, o co go poproszono.

– A więc wasz świat jest już stracony. Trzeba jak najszybciej rozpałcić ogniska i dać znak. Bez wątpienia te przekłete orki nie odpuszczą. Bez pomazańca nasze szanse znacznie zmalały – stwierdził starzec i wyszedł pospiesznie z chatki.

– Pewnie dziwi cię mój wygląd – stwierdził Nor'tel. – Jestem członkiem starej rasy elfów, zamieszkujemy te lasy od bardzo dawna. Żyjemy w zgodzie z naturą, a ona nam błogosławi – wyjaśnił.

– Elfy? Nigdy o was nie słyszałem – zdziwił się Serwan.

– Nic dziwnego, ludzie nie odkryli nigdy tych ziem – wyjaśnił gospodarz. – Masz jedz, to ci znacznie pomoże – powiedział, podając chłopakowi miskę.

Jej zawartość wyglądała dla niego dość dziwnie. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Musiał nie jeść od kilku dni, nawet ta zielona papka wydała się Serwanowi przepyszna.

– Gdzie są moi towarzysze? – zapytał.

– W innych chatkach. Na razie tylko ty się obudziłeś – odpowiedział Nor'tel.

– Chyba czuję się lepiej. Chciałbym trochę zwiedzić wasze ziemie, elfie – powiedział młody wojownik.

Razem wyszli z chatki. Wyglądała identycznie jak kilkadziesiąt innych małych domków z drewna. Pomiędzy nimi krążyło wielu elfów. Zarówno kobiety, jaki i mężczyźni. Każdy był ubrany w szaty z roślin. Wszyscy też byli uśmiechnięci. Serwanowi bardzo spodobał się ten świat. Przypominał jego rodzinne strony, zanim nadszedł kataklizm.

– A gdzie jest Atros i kim on jest? – zapytał chłopak.

– Atros poszedł rozpałcić ognisko. To znak dla ojców wioski, że trzeba zwołać naradę. Jeśli chodzi o Atrosa, jest to człowiek bardzo tajemniczy i wyjątkowy. Nie znam jego historii. Wiem tylko, że bardzo zależy mu na naszym losie. Mam na myśli istoty żywe. Wiem też, że jest wielkim wrogiem mrocznego Menkesa. Zbiera najznamienitszych wojowników i uczonych. Mówi się o tajnej akademii pod jego

przywództwem. Tak wyszukuje elitarnych sprzymierzeńców w walce z panem ciemności – wyjaśnił Nor'tel.

Serwan zaczął powoli rozumieć. Jeśli to prawda, taka akademia jest miejscem dla niego.

– Gorzałki, dobrzy ludzie! – rozszedł się krzyk po całej okolicy.

To było błaganie biednego Zolteka. Na jego słowa wszyscy się dziwili. Nikt z elfów nie znał tego słowa.

– Tutaj raczej nie zaznasz rozkoszy upojenia – powiedział uśmiechnięty chłopak.

– Serwanie, ty żyjesz! – uradował się Zoltek na widok towarzysza, jednocześnie smutny ze względu na tradycję tego ludu. – Powinniśmy iść do karczmy – zaproponował.

– Karczmy? Co to za miejsce? – dziwił się elf.

Smutek na twarzy wojownika był bardzo wymowny.

– Nieważne – odpowiedział z żalem. Nie bardzo wiedział, jakiej rozrywki mógłby tutaj zaczerpnąć.

– Co robicie w wolnym czasie? – zapytał Serwan.

– To oczywiste. Kontemplujemy naturę, spędzamy czas razem, zgłębiamy wiedzę – odpowiedział Nor'tel.

Obaj jego rozmówcy nie byli zbyt zachwyceni zwyczajami gospodarzy.

– A czy są inne rasy? – zapytał chłopak z płomykiem nadziei w oczach.

– Owszem. Są niziołki i krasnoludy.

– Niziołki? – zapytał Zoltek, zachęcając elfa do wyjaśnień.

– Tak, to są niewielkie istoty. Podobne do was, ale znacznie mniejsze. Można by ich uznać za dzieci w waszym rozumieniu – zaczął wyjaśniać. – Mieszkają wiele księżyców stąd, za lasami. Mają tam swoje polany. Ich zwyczaje są całkiem odmienne od naszych. Są pokojowo nastawieni. Od czasu do czasu z nimi handlujemy.

Ludzie słuchali elfa z ciekawością.

– A ci drudzy? – spytał Serwan.

– Są podobni wzrostem niziołkom, ale znacznie szersi. Są niezwykle mocarni. Liczy się dla nich siła i honor. Mieszkają w górach bardzo daleko stąd. Rzadko się ich widuje, raczej nie lubią lasów. Bardzo lubią pić alkohol – odpowiedział elf.

To ostatnie przydało Zoltekowi do gustu. Ale jak się tam dostać? – pomyślał.

– Jaki jest stan naszych towarzyszy? – zapytał Serwan.

– Są poobijani i wymęczeni, ale nie jest to problem dla elfickej medycyny – odpowiedział gospodarz z nieukrywaną dumą.

W tym momencie Zoltek dostrzegł Grace i Dorę. Szły w towarzystwie jakiejś młodej elfki.

– Hej, tutaj jesteśmy! – krzyknął do nich.

– Widzę, że nic wam nie jest – odpowiedziała Grace. – Co tak właściwie stało się na statku?

– Nie wiem – odpowiedział. – Żyjemy, więc nie ma co drażnić tego tematu.

– Gdzie są Lugar, Roch i Funkar? – zapytała Dora.

W tym momencie gospodarz się zaniepokoił.

– Wymieniłaś trzy imiona. A wasz przyjaciel jest jeden – dodał.

Na twarzach gości zagościły smutek i powaga. Każdy myślał, kto przeżył.

– Gdzie jest ostatni żyjący? – zapytała Grace.

– W tej chatce – wskazał elf.

Wszyscy do niej pobiegli. Stanęli w drzwiach. Na łóżku ujrzeli poobijaną postać Funkara. Dora zaczęła płakać. Grace ją przytuliła.

– Dzisiaj w nocy musimy wyprawić pogrzeb – powiedział Zoltek, a elf mu przytaknął.

Zebrali się wszyscy z miasta w jednym miejscu. Elfy rozpoczęły modlitwę w dziwnym języku. Panowało milczenie. Dora zalała się łzami. Grace była blisko niej, starała się ją wspierać. Funkar, Zoltek i Serwan stali z tyłu z poważnymi minami. Funkar z powodu ran podpierał się na kawałku drewna.

Stali tak przez jakiś czas. Nie mieli nawet ciał, żeby je pochować.

Gdy elfy skończyły modlitwy, wszyscy rozeszli się w milczeniu do swoich chatek. Szybko usnęli, ciągle czuli na sobie konsekwencje walki z olbrzymem.

Serwan zbudził się wcześniej rano. Wyszedł z łóżka. Był sam w pomieszczeniu. Promienie porannego słońca wpadały przez niewielkie okno. Wyszedł na zewnątrz. Zobaczył tam Atrosa w towarzystwie Zolteka. Widać, że prowadzili poważną rozmowę.

– Co się dzieje? – spytał.

– Trzeba zdecydować, co zrobimy dalej – odpowiedział Zoltek.

– Przetrwaliście wiele i dowiedliście swojej wartości. Przyjmę was do mojej akademii – zaproponował starzec.

Serwan lekko się uśmiechnął.

– Tego właśnie pragnę.

– Czego masz zamiar nas nauczyć? – zapytał Zoltek.

– To o wiele bardziej skomplikowane, niż myślisz. Musimy się przygotować do inwazji demonów – odpowiedział Atos.

– Ich przypląnięcie tutaj jest bardzo prawdopodobne. Powinniśmy jednak mieć do tego jeszcze sporo czasu – powiedział Zoltek.

– A gdzie Grace, Dora i Funkar? – zapytał Serwan.

– Funkar śpi, a Grace pociesza Dorę – odpowiedział jego towarzysz.

Serwan przedstawił plan Atrosa Funkarowi. Oczywiście wojownik nie miał nic przeciwko zdobyciu większej siły.

– A co z kobietami? – zapytał.

– Oczywiście pójdą z nami – odpowiedział chłopak.

Funkar podparł się na łóżku.

– Czuję się już lepiej.

– To dobrze – odpowiedział Serwan. – Niebawem powinniśmy wyruszać – dodał i wyszedł z chatki.

Na dworze zobaczył Zolteka, który wyglądał, jakby szykował się do drogi.

– Gdzie jest Atros? – zapytał.

– Wyruszył już na swoją misję. Nie ma czasu do stracenia. Musi jak najszybciej zebrać ludy zamieszkałe ten kontynent. Wyjaśnić im skalę zagrożenia. Jego plan przewiduje budowę mocarnych twierdz. Tam będziemy się bronić w razie najazdu sił Menkesa. Ustawimy też punkty obserwujące wodę.

– A co my będziemy robić?

– My będziemy się szkolić z grupą elitarnych wojowników. Mamy stanowić podporę armii żyjących w ostatecznej bitwie – wyjaśnił.

Serwan zadumał się nad jego słowami. Gargon ma go w swej opiece i dba o jego siłę. Po szkoleniu w akademii Atrosa jego umiejętności bez wątpienia wzrosną.

– Ale jak się dostaniemy do akademii? – zapytał z zakłopotaniem na twarzy.

– Atros zostawił mi mapę – powiedział zadowolony Zoltek, wskazując na kawałek pergaminu.

Po kilku godzinach wszyscy byli już gotowi do drogi. Dostali od elfów nieco prowiantu. Zoltek spojrział na mapę. Zdecydowanym krokiem poprowadził grupę towarzyszy w las.

– Ile drogi jest przed nami? – zapytał Funkar.

– Jakieś dwa dni.

– Skąd wiesz, jaka jest skala mapy? – zapytała zdziwiona Grace.

Na pergaminie widziała tylko jakieś rysunki, pozbawione skali oraz wyznaczenia wschodu słońca.

– Nie wiem, bredzę – odpowiedział przewodnik z uśmiechem na ustach i przyspieszył kroku.

Wszyscy jego towarzysze zwątpili w powodzenie tej misji. Las, jakim kroczyli, był zgoła inny niż te, które znali na swoim kontynencie. Występowało tutaj znacznie więcej roślin różnego rodzaju. Długie drzewa zasłaniały liśćmi promienie słońca. Ciągłe słyszeli jakieś ptaki. Co jakiś czas odgłosy innych dzikich zwierząt. Widać, że ta kraina jest kwitnąca życiem, a natura dzika i niedotknięta zniszczeniem.

Niepewni tego, co ich czeka, kroczyli przez las. Pod sam wieczór zaszli do niewielkiej polany.

– O, to tutaj Atros zaplanował nasz postój – powiedział zadowolony Zoltek.

– No, wreszcie – westchnęła zmęczona Dora.

Nie przywykła do długich marszy. Życie na statku też nie sprzyjało kondycji.

– Powinniśmy rozpalić ognisko – zaproponowała Grace.

Serwan z Funkarem poszli pozbierać drewno.

– Jak myślisz, do jakiej rasy należy Atros? – zapytał chłopak.

To pytanie dało Funkarowi do myślenia.

– Właściwie to nie wiem. Różni się znacznie od elfów. Człowiekiem raczej też nie jest. No bo jak by się tutaj dostał? – pomyślał na głos.

– Zgadza się, jest to trochę kłopotliwe – powiedział chłopak. – Wydaje się bardzo

zaangażowany w misję ratowania świata – dodał.

Zebrali nieco drewna i wrócili. Zadali to pytanie też reszcie grupy.

– Nie wiem, ale coś mi mówi, że powinniśmy mu zaufać – powiedziała Grace.

Serwanowi przeszła przez głowę pewna myśl: może jest on jakimś narzędziem w rękach dobrych bogów? Nie wyjawiał jednak swojego pomysłu.

– Znam się na ludziach – odpowiedział Zoltek. – On na pewno jest z tych dobrych.

Tylko Dora nie brała udziału w dyskusji. Leżała już koło ognia, a jej oczy były szklane. Reszta wiedziała, że musi sobie sama poradzić ze stratą bliskich. W każdej innej kwestii mogła na nich liczyć.

Posilili się tym, co spakowały im elfy. Był to dziwny kawałek chleba wypełniony mięsem. Nie znali takiej potrawy. Bardzo im to smakowało i szybko ich nasyciło.

Rano Zoltek wszystkich obudził.

– No, nie ma na co czekać! Akademia nas wzywa – powiedział z wielkim entuzjazmem.

Wszyscy, lekko zamroczeni, zaczęli zbierać swoje rzeczy. Funkar dogasił jeszcze lekko tłące się drwa. Grace pomogła Dorze z jej sprzętem. Serwan leniwie wstał. Wziął swój topór i torbę. Popatrzył w niebo. Tutaj, na polanie, już od rana słońce pięknie świeciło. W tym zamieszaniu nawet nie zauważyli, że budynek akademii jest jakieś pięćdziesiąt kroków od nich.

Tajemna akademia

Przyjaciele weszli do tajemniczego budynku. Z zewnątrz sprawiał wrażenie nieco lepszej karczmy. W środku był znacznie większy. Pierwsze pomieszczenie przypominało korytarz z jednymi drzwiami na końcu. Ściany były zdobione licznymi malowidłami i znakami.

Zoltek podszedł i zapukał. Zza drzwi wyszedł młody elf. Wyglądał inaczej niż ci, których widzieli. Miał długie czarne włosy i jasne oczy. Jego sylwetka była muskularna, a u pasa wisały dwa miecze.

– Nazywam się Kejris. Czekałem na was. – Gestem zaprosił całą grupę do środka.

Tutaj był ciąg dalszy korytarza. Kilka pomieszczeń z lewej i prawej strony. Na końcu znajdowała się wielka sala treningowa. Kukły do złudzenia przypominały orków. Przy ścianie dostrzegli wielkie drewniane schody. Budynek musiał mieć kilka pięter.

– Najpierw zaprowadzę was do waszych pokoi – powiedział gospodarz.

Na razie był jedyną osobą, jaką tutaj spotkali. Szli za nim i podziwiali to tajemnicze miejsce. Pomimo że weszli po schodach na pierwsze piętro, widzieli pod stopami co najmniej trzy.

– Tutaj są miejsca przygotowane dla was – powiedział Kejris, wskazując na korytarz.

Po prawej i po lewej stronie było po troje drzwi. Serwan zaczął je otwierać. Nie ma znaczenia, jakie weźmiemy pokoje, wszystkie są identyczne – zauważył. Były całkiem niezłe wyposażone. Miały porządne łóżka, szafy, a nawet małe biblioteczki. Z okien było widać las. Każdy z grupy wybrał pokój i się zadowił.

– Ciekawe, czego się tutaj nauczymy – powiedział Serwan do towarzyszy.

– Liczę na nieznaną nam sztuki wojenne, w końcu to inny kontynent – odpowiedział z entuzjazmem Funkar.

– Ja mam nadzieję na poznanie innych ras niż elfy. Może oni będą znali wódkę – powiedział zmartwiony Zoltek.

– A co właściwie stało się z Atrosem? – spytał chłopak.

– Dobre pytanie – odpowiedzieli chórem.

Grace postanowiła odwiedzić Dorę. Weszła do jej pokoju.

Ta rzuciła swoje rzeczy na stół i położyła się na łóżku.

– Wy potraficie walczyć, ale co ja tutaj robię? – spytała młodą towarzyszkę.

– Przetrwałaś apokalipsę orków, dopłynęłaś aż tutaj i ocalałaś. Jesteś nam potrzebna – odpowiedziała Grace i usiadła obok.

– Myślisz, że jesteśmy ostatnimi żyjącymi kobietami?

– Jeśli tak, to mamy wiele do zrobienia – odpowiedziała młoda wojowniczką.

Kiedy już poczuli się swobodnie, wszedł do nich Kejris.

– Na pewno jesteście zmęczeni podróżą – stwierdził. – Wasze szkolenie zacznie się od jutra, gdy Atros wróci. Chciałbym jednak, żebyście zeszli ze mną na dół i przyjrzeni się naszej technice – oznajmił.

Nie musiał powtarzać.

Cała męska grupa umierała z ciekawości. Grace też podzielała te uczucia, w przeciwieństwie do Dory.

Sala na dole wydawała się znacznie większa i dostosowana do nowych potrzeb. Było tutaj wielu wojowników, i to nie tylko elfów. Także krasnoludy i niziołki. Funkar był pełen podziwu dla techniki walki tych pierwszych. Pomimo niskiego wzrostu miotali ogromnymi toporami. Był pewien, że jedno takie uderzenie kruszy tarczę. Poruszali się bardzo sprawnie jak na takie gabaryty oręża. Grace zaś skupiła się na niziołkach. Ich gracia i spryt były na zupełnie innym poziomie, niż dotychczas widziała. Oczy zapłonęły jej na myśl, że też może nauczyć się tak walczyć. Wybrała sobie jednego z nich i uważnie śledziła jego ruchy. Walczył mieczem jednoręcznym i sztyletem.

Styl elfów natomiast był zgoła inny. Nie mieli ani siły krasnoludów, ani zwinności niziołków. Ich cechowała szybkość i precyzja. Wyglądali jak pogrążeni w śmiertelnym tańcu. Walczyli specyficznymi wykręconymi mieczami. Na ich twarzach widać było pełne skupienie. Serwan śledził uważnie wszystkie rasy na wielkiej sali. Bardzo chciał zaczerpnąć tego, co najlepsze od każdego z nich. Śledził kolejne pojedynki. Było ich naprawdę wiele. Tylko Dora wlepiła w nich zmartwione oczy, jakby patrzyła w jakiś martwy punkt. Co ja tutaj robię? – rozbrzmiewało w jej głowie.

Chłopaków aż korciło, żeby zejść piętro niżej. Chcieli spróbować swoich sił w walce z takimi wojownikami. Wtedy, ku swojemu zdumieniu, zauważyli coś jeszcze.

Krasnoludy potrafiły sprawić, że ich topory stawały się cięższe przy uderzeniach i świeciły czerwonymi runami. Pomimo że walczyli bez zbroi, ona pojawiała się w narażonych miejscach ciała i zniknęła. Niziołki potrafiły zwiększyć swoją szybkość. Czasem nawet się duplikowały, żeby zmylić przeciwnika. Elfi wojownicy władali ognistymi kulami i wodnymi tarczami.

– A więc tak wygląda użycie magii w walce – powiedział Serwan z otwartymi ustami.

Reszta grupy uświadomiła sobie, że to jest zupełnie inny poziom, niż dotychczas widzieli. W ich sercach zagościła nadzieja. Wierzyli, że też mogą się tego nauczyć. No i z taką mocą mają szansę z demonami.

Sala była wielka i bogato udekorowana. Na ścianach widniały wizerunki przodków. Na suficie można było zobaczyć scenę wielkiej i zaciętej bitwy. Przy ścianie stał tron ze złota, a na nim zasiadał król. Dookoła srebrne trony, a na nich zasłużeni i radni. Między nimi było też kilku znamienitych przybyszów. Pośrodku sali stał Atros, przemawiając

do krasnoludów oraz niziołków.

– Zagrożenie jest realne i przyjdzie niebawem. Kontynent zamieszkały przez ludzi jest już stracony. Prawdopodobnie wyznawcy Czarnego Pana chcą ściągnąć go na ziemię. Wtedy tylko wyglądać, jak nas zaatakują. Musimy być na to gotowi.

– Jaki jest twój plan, mędrco? – spytał król.

– Musimy wybudować warowne twierdze na wschodzie naszych ziem. Zjednoczyć armię wszystkich ras i stanąć do bitwy. Nasi kapłani muszą wzywać pomocy u samego Tynosa. Tylko krasnoludzcy inżynierowie są w stanie zaprojektować i zbudować twierdze nie do zdobycia – odpowiedział starzec.

Na te słowa król zaczął gładzić się po brodzie, dłuższej niż on sam i pięknie przyozdobionej złotem i klejnotami. Ciężko było dostrzec czarną jej barwę. Sam król wyglądał na znamienitego wojownika. Wszyscy zebrani na sali zaczęli gwałtownie dyskutować między sobą. Krasnoludy lubiły, gdy ktoś znał się na ich kunszcie.

– Długo już mówisz o zagrożeniu, dostojny Atrosie, jakie masz dowody? – spytał ktoś z sali.

Był to niziołek, delegat z swojego państwa.

– Mam świadectwo ocalałych ludzi, którzy przeżyli starcie z orkami! – odpowiedział donośnie, uderzając swoją laską o podłogę.

Wtedy cała sala zamarła i pogrzyżała się w ciszy. Jeden z radców króla coś szeptał do jego ucha. Po chwili monarcha wstał.

– Masz nasze topory i nasze wynalazki. Jeśli wrogiem jest czyste zło, my dumnie staniemy do walki! – rzekł.

Po tych słowach na sali uniosły się okrzyki. Towarzyszył im stukot drewnianych kuflów z piwem o podłokietniki na tronach.

Potem wstał najlepiej ubrany z niziołków.

– Ufamy w jedność ras i naszą wspólną siłę. Staniemy do walki z wrogiem. Nie ugniemy się przed wolą Menkesa! – przemówił do zebranych.

– A co z elfami? – spytał jeden z radców.

– Walka będzie się toczyć na ich ziemiach. Rozmowy z ich królem nigdy nie są łatwe – odpowiedział Atros.

– Pozostaje też problem ochrony naszej ziemi przed przeklętymi wampirami – powiedział inny, zasiadający na srebrnym tronie.

– Na to też przygotowałem plan. Musicie jak najszybciej zacząć planowanie budowli. Zbierzcie najlepszych wojowników i ustawcie ich na zachodniej granicy. Puczę kilku wyszkolonych inżynierów o wieżach ognistych. W razie zagrożenia ze strony wampirów za ich pomocą spalimy ich statki. Niestety, na nic się to zda w walce z orkami. Bronią ich potężna magia ochronna – wyjaśnił Atros i w mgnieniu oka zniknął z sali.

Król powstał z tronu.

– Słyszeliście, co trzeba zrobić. Natychmiast przeliczcie swoje oddziały i wyruszajcie w wskazane miejsce. Ale do tego czasu chcę mieć wybudowane te wieże.

Nie oddamy naszego domu tym bestiom pod naszą nieobecność. Niech kuźnie zaczną pracować pełną parą. Nie ma oręża równego krasnoludzkiej stali. Każdy żołnierz pod moim sztandarem ma być w pełni wyposażony! – wydał rozkaz i pociągnął solidny łyk piwa.

W powietrzu unosił się zapach palonego ziela.

– My też postąpimy według zalecenia Atrosa – powiedział delegat niziołków. – Czym prędzej wyruszmy w drogę i powiadomimy o wszystkim wielkiego Mobiego – dodał.

Po jego słowach cała grupa niziołków zebrana na sali wyszła w pośpiechu przez wielkie, zdobione wrota.

Noc w akademii przebiegła bardzo spokojnie. Wszyscy jej uczestnicy dobrze się wyspali przed kolejnym dniem wrażeń.

Wczesnym rankiem rozbrzmiały trąby w całym budynku. Serwan wyszedł zaspany ze swojego pokoju. Ujrzał wszystkich wojowników schodzących w dół.

– Co się dzieje? – spytał Funkar, wychylając głowę zza drzwi.

– Nie wiem – odpowiedział Zoltek w podobnym stanie.

– Chyba powinniśmy za nimi iść – zasugerowała Grace, która jako jedyna wyglądała na wyspaną.

Od dawne nie mieli tak wygodnych łóżek.

Na dole w wielkiej sali czekało na nich śniadanie. Zoltekowi tylko zapaliły się oczy i ruszył do stołu. Nie zabrało potraw warzywnych i mięsnych. Przy każdym talerzu stał kufel z piwem lub wodą. Widać było, że tutaj są warunki godne elitarnego grona. Serwan zauważył, że tubylcy nie rozmawiali ze sobą za dużo. Raczej byli zajęci łapczywym jedzeniem. Prawdopodobnie dlatego, że wiedzieli jak ciężkie treningi ich czekają.

W sali znajdowały się dwa duże stoły. Przy nich prawdopodobnie jedli uczniowie. Przy trzecim, niewielki, stało tylko kilka krzeseł, z czego jedno puste. Ono musiało należeć do Atrosa. Reszta to pewnie nauczyciele. Chłopak już nie mógł doczekać się pierwszego treningu. Cała reszta zajmowała się śniadaniem. Tylko Dora wydawała się nieobecna.

– Jednak jest dla nas ratunek! – krzyknął Zoltek, popijając kolejną dolewkę piwa.

Niemalże zapomniał o całym świecie. Wtedy rozległ się dzwonek po sali i nastąpiła cisza.

– Wszystkich proszę o udanie się na odpowiednie dla nich zajęcia – powiedział jeden z nauczycieli. – Ci zaś, którzy dopiero co do nas przybyli, niech chwilę tutaj zostaną – dopowiedział.

– Wreszcie coś się dzieje – wyszeptał zniecierpliwiony Funkar.

– Nazywam się Lundar i jak widzicie, jestem elfem – zaczął nauczyciel.

Miał długie, jasnoszare włosy i szpiczaste uszy. Był szczupły i nosił na sobie długą, zieloną szatę, pięknie ozdobioną złotymi nićmi.

– Pierwsze, czego musimy was nauczyć, to kontrola waszej mocy. Odnajdziemy

wasze talenty i wydobędziemy z was ukryty potencjał. Następnie podejmiecie naukę fechtunku oraz wiedzy niezbędnej do zwyciężenia Menkesa – powiedział i zrobił krótką przerwę w swojej przemowie. – Ja będę waszym pierwszym nauczycielem. Będę postępował z wami tak, jak polecił mi wielki Atros. Proszę za mną.

Przygotowania

Hazan stał na skraju polany i spoglądał w las. Był ubrany w czarną, dobrze dopasowaną zbroję. Miał solidne skórzane buty, a w rękę trzymał hełm przypominający głowę smoka. W jego dłoni widniał zielono-czerwony kamień o nieregularnym kształcie. Za jego plecami stała dywizja orków: dwudziestu dobrze wyszkolonych wojowników, przeznaczonych do konkretnego zadania. U jego boku lewitował duch Madi.

On sam spoglądał w las. Bardzo ponuro zawiesił wzrok na jednej ścieżce. Drzewa były ciemnobrązowe, miejscami czarne. Wszystkie liście zgniły, a las spowijał mrok. Pomimo że powinno być samo południe, magia mrocznego generała tworzyła iluzję wiecznej nocy. Jeśli jakakolwiek istota jeszcze tutaj żyła, na pewno tego żałuje. W nos uderzał smród zgnilizny. Pomniejsze demony i ghule wciąż zerowały na ciałach poległych ludzi.

Madi dokładnie wiedziała, dlaczego Hazan zatrzymał się akurat przed tą ścieżką. To tutaj niegdyś ścigali się konno.

– Czy to możliwe, żeby było w nim jeszcze jakieś światło? – zapytała siebie z wielką nadzieją. Pomimo że nigdy mu tego nie powiedziała, zawsze się w nim kochała. Bardzo chciała, żeby stał się z powrotem taki jak dawniej. Nawet nie dbała o siebie, ale żal jej było dawnego przyjaciela. Wiedziała, że jedynie on może powstrzymać to szaleństwo. Nie wiedziała tylko, jak na niego wpłynąć. Z miłości była gotowa nawet wybaczyć mu jego grzechy. Gdyby tylko tego żałował i chciał się zmienić... Gdzie się podział ten nieśmiały, uroczy chłopak?

Na jego rozkaz cała brygada wyruszyła. Szli przez las kilka godzin. Z tego, co Madi się orientowała, w kierunku północnego zachodu. Drzewa wyglądały, jakby umierały od środka. Nie było słyhać żadnych zwierząt. Runo leśne pokrywały przegniłe liście. Odór śmierci unosił się w powietrzu. Od czasu do czasu słyszeli sforę khanisów, swobodnie grasujących po tych terenach. Madi nie miała żadnych wątpliwości. Jej dawna ojczyzna nie przetrwała apokalipsy. Oddałyby życie za powrót do starych czasów, ale nie ma nawet tego.

Jej żal chyba dało radę wyczuć w powietrzu. Hazan co jakiś czas zerkał na nią swoimi pustymi oczami. Spoglądał też na ten tajemniczy kamień. Jakby był jakimś kompasem. Może to jest myśl, jego oczy są puste, a w środku, gdzieś głęboko, jest jego dawna dusza – pomyślała kobieta. Bardzo chciała dotrzeć do jego wnętrza.

– Mylisz się – odpowiedział, tak jakby ją słyszał.

Po dość długim czasie wędrowki rozbili obóz. Żaden z orków nie musiał stać na straży. Nie istniało dla nich zagrożenie na tych ziemiach.

Księżyc był prawie w pełni. Rzucił na nich czerwony blask. Hazan stał na

przodzie posterunku. Wbił miecz, który został mu podarowany przez mrocznego generała. Usiadł koło niego. Trudno stwierdzić, czy spał czy medytował, a może robił coś jeszcze innego.

Madi pozwoliła sobie na chwilę zamknąć oczy. Pomimo tego, co się z nią stało, ciągle czuła się normalnie. Jakaś okrutna magia zmuszała jej ciało do marszu. Kontrolowane jest całe jej ciało, jednak myśli pozostały wolne. W nich to pojawiła się niezwykła postać. Człowiek z białą brodą w białych szatach. „Na twoich barkach jest los całego świata, musisz go odmienić, musisz mu wybaczyć” – wyszeptał i zniknął. Zupełnie tak, jakby ktoś wszedł w jej sny. To musiała być tylko jakaś mara, losy świata zostały przesądzone – pomyślała Madi. Gdzieś już go chyba widziałam – zadumała się na chwilę.

Następnego ranka (przynajmniej tak wydawało się nieumarłej kobiecie) wyruszyli w drogę. Po wyjściu z lasu zaczęli napotykać zgliszcza dawnej cywilizacji. Wędrowne demony przeglądały domy, a raczej to, co z nich zostało. Widać też było grupę szybko uwijających się pracowników – orków. Na starych fundamentach ludzkości poczęli budować swoje demoniczne twierdze.

Madi przyjrzała się im dokładnie. Mieli narzędzia bardzo zbliżone do ludzkich. Zaczęli od stawiania murów. Wykonywali je z gruzów. Co jakiś czas wbijali drewniane bale. To miały być podpory dla konstrukcji. Bardzo dobrze z sobą współpracowali, jak zgrane społeczeństwo. Gdzieś między nimi biegały khanisy. Zupełnie tak, jakby one zastąpiły psy, a orkowie ludzi. To straszne – pomyślała.

Spodziewała się, że ich oprawcy okażą się znacznie bardziej dzicy. W końcu demony takie były. Orkowie zaś wyglądali na zwykłą rasę, walczącą o swoją ojczyznę. Ciekawe, skąd pochodzą i co Menkes z nimi zrobił...

Coraz bardziej zbliżali się do kolejnego lasu. Widok orczycy z dzieckiem na rękach bardzo wstrząsnął kobietą. Chciałaby spytać, jaki jest cel ich wędrówki, ale nawet tego nie mogła zrobić. Twarze orkowych wojowników były ciągle zasłonięte hełmami. Madi nie potrafiła stwierdzić, czy mają jakieś emocje. Może to tylko marionetki na rozkazach, może niewolnicy, a może coś jeszcze innego. Tak czy siak, wszyscy bezwzględnie słuchali poleceń Hazana. Nie kiwnęli nawet palcem bez jego zgody.

Ich podróż była strasznie nudna. Krajobraz ciągle taki sam. Ciągle noc spowijała krainę. Ciągle panowało ponure milczenie. Po kilku godzinach udało im się dotrzeć do granic państwa. Widok ghuli był bardzo wymowny. Ich różnorodność świadczyła o tym, że każde państwo jest pod władzą czarnej armii.

Wspinaczka po górach raczej nie była problemem dla dobrze uzbrojonych wojowników. Normalny człowiek miałby z tym zadaniem spore problemy. Na szczęście dla Madi, jej duch się unosił i nie musiała znosić trudów wędrówki. Zatrzymali się na szczycie jednej z gór.

Madi nie mogła uwierzyć w to, co widziała. W każdym kraju z oddali było widać, jak orkowie wznoszą twierdzę. Byli praktycznie wszędzie. Mieli w posiadaniu imperium, jakiego nikt wcześniej nie widział. Dysponowali armią nie do pokonania.

– Widzisz to wszystko? – zapytał Hazan. – To moje królestwo, które zdobędzie władzę nad całym światem.

Szli dalej. Do Madi zaczęło coś docierać. Słowa Hazana wskazywały na to, że nie są jedynym istniejącym kontynentem. Musiał istnieć jakiś inny świat. Świat, który będzie musiał zmagać się z mrocznymi demonami. Musi być tam wciąż życie. Ciągłe pozostaje więc jakaś nadzieja. Jej serce zapłonęło.

Szybko przeszli przez tereny graniczne i wkroczyli do północnego państwa, zamieszkałego przez ludzi o skórze dotkniętej słońcem. Madi uświadomiła sobie, że Hazan nic nie jadł i nie pił całą drogę. Natomiast jego towarzysze musieli to robić. To wskazywało na ich odmienną naturę.

Drzewa tutaj były już dawno umarłe lub wypalone. Wszystko wskazywało na to, że tutaj armia Menkesa zaczęła dzieło zniszczenia. Wielu nieszczęśników z tej krainy skończyło jako bezmyślne ghule. Madi współczuła im z całego serca. Wiele dałaby za to, żeby cofnąć czas. Do momentu, gdy Hazan był z nią w wiosce. Nie opuściłaby go nawet na krok. Może teraz jego serce nie byłoby z kamienia.

Cała ekipa skręciła gwałtownie na zachód. Szli wypalonym lasem i natrafili na kolejne nowo powstałe budowle orków. Teraz Madi się im przyjrzała. Miała wrażenie, że oni trochę jednak się męczą. Zranieni, krwawią na czerwono, tak jak człowiek. Pewna aura ich tajemniczości i niezwykłości właśnie prysła. Gdyby tylko mogła przekazać tę informację mędrcomi...

Hazan udzielił jakichś instrukcji budowniczym. Następnie kontynuowali podróż pomimo trudu wielu godzin marszu oraz wspinaczek. W sumie szli bez przerwy kilka dni. Ciężko ocenić, gdy noc nigdy się nie kończy, a księżyc świeci coraz bardziej ponurym blaskiem.

Udało im się dojść do brzegu, gdzie znajdował się nieduży port. Hazan wszedł na pomost, wyciągnął rękę i wyszeptał coś w nieznanym języku. Z głębin wody wynurzył się niewielki statek, wykonany z czarnego drewna. Na żaglach widniał symbol podniesionego miecza z czaszką.

Madi wiedziała, że to symbol wyznawców Menkesa. On miał symbolizować jego triumf, a potem wieczne panowanie. Oby to się nigdy nie stało...

Cała załoga weszła na statek. Madi skierowała się na sam czubek masztu i obserwowała wodę. Płynęli dość długi czas. Orkowie odpoczęli nieco po trudach drogi. Rozpalili nawet niewielkie ognisko i zjedli jakieś mięso. Po pewnym czasie dopłynęli do dość tajemniczej wyspy. Bił od niej jakby złowrogi blask...

Uczucia kobiety były trafione. To miejsce nie było znane żadnemu człowiekowi, choć znajdowało się bardzo blisko lądu. Prawdopodobnie stało się tak za sprawą magii. Samą wyspę z zewnątrz otaczały wypalone drzewa. Zupełnie tak, jakby ktoś rozpalił tutaj wielki ogień.

Cała załoga wyszła ze statku i ruszyli w drogę. Madi widziała zmiany w zachowaniu orków. Tak, jakby czegoś się bali. Jakby stali przed wielkim wydarzeniem. Hazan też był podekscytowany. Księżyc świecił coraz jaśniej. Właściwie był już w pełni. Mroczne

światło wskazywało im drogę. Mroczne symbole świeciły czerwonym blaskiem wzdłuż ścieżki. Smród mrocznych rytuałów unosił się w powietrzu. Po chwili Madi zobaczyła na poboczu ludzkie zwłoki. Mężczyzna był ubrany w czarną pelerynę. Na głowie miał kaptur, a na twarzy jakieś znaki. Kobieta uświadomiła sobie, że takich czcicieli sił nieczystych jest znacznie więcej.

W końcu stanęli na placu gołej ziemi, a na jej środku były jakieś ruiny. Sądząc po krajobrazie, musiała to być stara świątynia złego boga.

– To tutaj wybrani poznali prawdę – powiedział dumnie Hazan i podszedł do budowli.

Światło księżycy padało w sam jej środek. Horyzont spowijała złowieszcza mgła, bardzo gęsta i mroczna. Nad nimi wisiał zły omen. Hazan zaczął odmawiać modlitwę. Wszyscy zebrani uklękli. Kobieta też została do tego przymuszona. Czuła, jakby wszelka nadzieja i dobroć uszły z tego świata. Kształt świątyni zaczął się zmieniać. Jej mury przekształcały się w dwie wysokie kolumny. Nad nimi widniało sklepienie z symbolem mrocznego boga. Niebiosa zapłonęły żywym ogniem.

Z nieba zaczęły spadać ogniste demony. Orkowie oraz Hazan nie przerywali rytuału. Demony zaczęły do nich dołączać. Madi zalała się łzami. To wyglądało tak, jakby całe piekła stępowały na ziemię.

Wszystkie demony wyglądały bardzo podobnie. Dwukrotnie wyższe od rosnącego mężczyzny. Ich mięśnie sprawiały wrażenie wykutych z kamienia. Ich barki oraz głowa płonęły zielonkawym ogniem.

Sceneria przypominała apokalipsę. Właściwie prawdopodobnie to jest apokalipsa – pomyślała Madi. Była całkiem pewna, że ogląda początek końca znanego jej świata. Ludzie, choćby nie wiem, jak silni, nie mają szans z takim wrogiem. Ich liczebność z sekundy na sekundę rosła. Stanowili pokaźną armię.

Same demony nie były jedynym problemem. Ryk uniósł się nad głowami zebranych. Potężny wiatr szarpał ich ubraniami. Z mgły wyłonił się ogromny stwór. To był czarny smok, latający na niebie, o ciele wielkości stodoły, cały pokryty czarnymi łuskami. Jego kły miały długość co najmniej jednego łokcia. Czerwone ślepie wpatrywały się w postać Hazana oraz budowlę. Moc biła z niego coraz intensywniej.

Wtedy w portalu pojawiła się postać. Przypominała raczej czarny obłok. Gniew i nienawiść można było wyczuć w powietrzu.

– DO TEGO ŚWIATA WSTĘPUJE ZAGŁADA!

Odwieczny konflikt

Sala była bardzo mroczna, pozbawiona światła. Na tronie zasiadała tajemnicza postać, ubrana w czarne szaty z czerwonymi elementami. Miała bladą skórę i lekko szpiczaste uszy. Była zupełnie bezwłosa. Jej czarne oczy wyglądały na całkowicie pozbawione emocji. W dłoni trzymała czarny kielich, wypełniony czerwoną cieczą. Dookoła sali zgromadziło się wiele postaci jej podobnych.

Po chwili ciszy wszedł inny przedstawiciel tego gatunku.

– Przybysze nie stanowią żadnego zagrożenia. Są też świetnym pokarmem – oznajmił.

– Doskonale – odezwała się postać z tronu. – Musicie nałapać ich jak najwięcej, zanim te zwierzęta nas ubiegną – rozkazał.

Po jego słowach w sali zapanował zgiełk. Wielu z zebranych wyszło.

– Czujesz coś? – spytał Runtek swojego przyjaciela Grona.

Ten węszył, korzystając z wilczych zmysłów.

– Te zapachy są mi zupełnie nieznane, powinniśmy to sprawdzić – odpowiedział.

Obaj szybko zmienili się w wilki i pobiegli za tajemniczą wonią przez gęsty las. Półmrok ogarnął już to miejsce. Biegli razem może kilka minut. Następnie usłyszeli głosy, jakby ktoś rozmawiał.

– Widziałeś już kiedyś ten klan? – spytał Runtek.

– Nie wydaje mi się. Pachną zupełnie inaczej. Kto wie, jakiej są maści. Ponoć widziano, że przybyli do nas zza wielkiej wody – mówił Gron.

– Powinni zostać pod stałą obserwacją, nie możemy im pozwolić wtargnąć na nasze ziemie – stwierdził Runtek.

Razem obserwowali zachowanie tych ciekawych istot. Chcieli złożyć jak najdokładniejszy meldunek starszyźnie.

– Sierzancie, na razie nie widzieliśmy żadnych mieszkańców tej krainy – zameldował jeden z żołnierzy.

– To dobrze, musimy jak najszybciej uzupełnić zapasy. W lasach na pewno jest jedzenie, potem zaczniemy budować fort. Rozstawcie straże i miejcie oczy szeroko otwarte! – rozkazał przełożony.

– Tak jest! – odpowiedział mu dzielny wojownik.

Szybko zabrał się za wykonanie zadania. Około pięćdziesięciu ludzi znosiło zapasy

ze statku na ląd. Mniej więcej dwudziestu wojowników pilnowało pozycji. Las w mroku pozostał dziwnie cichy. Nie słyszeli jeszcze żadnego zwierzęcia.

Większość załogi wydawała się bardzo szczęśliwa. Mimo wszystko udało im się przetrwać przeprawę przez morze i uciekli orkom. Raczej wąpili, żeby tutaj można było spotkać gorsze stworzenia. Głęboko wierzyli, że te dziewicze tereny są Menkesowi obojętne. Mieli nadzieję na nowo je zaludnić i wybudować swoje osady. Niektórzy z nich snuli już plany na przyszłe życie. Jedni chcieli łowić ryby, inni upatrywali swojej szansy w ścinaniu drzew na budynki. Niewielu myślało o jakiegokolwiek walce.

Zmrok zaczął się pogłębiać, a księżyc świecił blado na samym środku nieba. Widok był niezwykle złowieszczy. Wielu ludzi położyło się spać. Chcieli nieco odpocząć przed trudami kolejnego dnia. Zbudowanie małego miasta to nie lada zadanie. Strażnicy uważnie wpatrywali się w mroczny las i nasłuchiwali ewentualnych dźwięków. Panowała idealna cisza. Od czasu do czasu dało się usłyszeć kilka rozmów.

Nagle jeden z strażników usłyszał szelest w krzakach. Pomyślał, że to jakieś zwierzęta. W końcu się dowie, na co można tutaj polować. Podszedł bliżej. Na jego twarzy zaczął rysować się uśmiech. Jednak w krzakach niczego nie dostrzegł. Podniósł liście, ale pod nimi też nic się nie kryło.

Gdy się odwrócił, stanął jak wryty. Jego kolega stał w bezruchu, wbijając w niego przerażony wzrok. Jakaś dziwna postać zaszła go od tyłu i wgryzła się w jego szyję. W tym mroku ciężko było dostrzec coś innego niż tryskającą krew. Dla niego nic już nie dało się zrobić. Żołnierz w panice wyjął szybko miecz.

Nie tylko ten jeden potwór był problemem. Obóz opanowało wielu mu podobnych. Jedni żywili się ludźmi, inni ich porywali. Wtedy stało się coś, czego młody wojownik się nie spodziewał. Wilcza wataha wbiegła w pole walki. Zaczęli atakować krwiożercze stworzenia. Może to dobry duch lasu wysłał na je na pomoc? – pomyślał. Szybko zmienił zdanie, gdy zobaczył kolegę zagryzane przez trzy kreatury. To bardziej wyglądało, jakby walczyli między sobą, kto pożre więcej ludzi.

Sytuacja stała się nader dziwna, gdy do walki wkroczyły niedźwiedzie. To już było dla niego za wiele. Nie oglądał się za siebie, tylko pognął w las. Tak samo, jak kilku innych ocalałych. Brutalna jatka nieszczęśników trwała w najlepsze. Krzyki rozrywanych na sztuki ludzi niosły się echem po całym lesie. Trwała zaciepka walka między zwierzętami a potworami. Do końca nie było wiadomo, kto z nich wygra. Żaden też z ocalałych ludzi nie miał zamiaru się temu przyglądać.

Ku ich zdziwieniu, noc nie trwała długo, a poranek przyniósł kolejne nadzieje. Ocalało siedmiu z tego obozu – a w każdym razie w tyłu ruszyli dalej, w głąb nieznanych ziem. Mieli nadzieję, że potwory nie mogą poruszać się w dzień.

Ptaki radośnie śpiewały w lesie. Promienie słońca ogrzewały ich twarze. Dało się zapomnieć o tragedii zeszłej nocy. Klimat nawet przypominał ich rodzinne strony. Jedyne różnica to brak cywilizacji. Jedyne, co napotykali, to rozległe lasy i łąki. Zupełnie, jakby nikt rozumny nie zamieszkiwał tych terenów.

Późnym popołudniem ku swojemu zdziwieniu ujrzeli niewielką fortyfikację. Była

bardzo pilnie strzeżona przez ludzi. Pewnie to nasi – pomyśleli i pobiegli na spotkanie.

– Stać! Kto idzie? – zawołał donośny głos.

Wskazywał na kogoś już doświadczonego życiem. Taka też postać im się ukazała. Siwe włosy wskazywały na wiek, a liczne blizny na obeznanie z walką. Mięśnie, mimo wieku, pozostawały twarde.

– Jesteśmy uchodźcami z kontynentu zaatakowanego przez demony – odpowiedział ktoś z przybyszów.

– Tak jak my wszyscy – odpowiedział dowódca tego garnizonu. – Wejdźcie do środka, każdy przyda się do osiągnięcia wspólnego celu, jakim jest przetrwanie.

Wszyscy weszli do środka. Za drewnianymi murami odnaleźli kilka drewnianych chat i namioty. Dość sporo ludzi, jak na takie miejsce. Większość z nich była uzbrojona. Ktoś gotował mięso, a jego zapach roznosił słodką woń po całym obozie. Twarze zebranych tutaj ludzi nie wskazywały na beztrudne życie. Wyglądali na przemęczonych i niespokojnych. Po kolorze skóry i akcencie można było wnioskować, że są uchodźcami z różnych państw.

– Wydajesz się zaprawiony w boju – powiedział gospodarz do przybysza.

– A walczyło się i tu i tam – odpowiedział.

– Wiesz już, co dzieje się na tym kontynencie? – spytał starzec.

– Niestety nie. Poza tą feralną nocą moja wiedza jest znikoma – odpowiedział.

– My już trochę informacji zdobyliśmy – powiedział tamten po chwili ciszy. – Ziemia tutaj są bardzo podobne do naszej ojczyzny. Jednak zamieszkiwane są przez zupełnie inne istoty niż ludzie. Są tutaj likantropowie i wampiry. Ci pierwsi dzielą się na plemiona. W zależności od pochodzenia, zmieniają się w inny rodzaj zwierzęcia. Oddają też im cześć. Potrafią poruszać się w formie ludzkiej, dlatego trzeba być bardzo uważnym. Nie wiemy jeszcze Niestety, jak ich od nas odróżnić. Są drapieżnikami i jedzą tylko mięso. Zdecydowanie preferują wersje surową – poinformował.

Te informacje nie zdziwiły przybysza. Mógł spodziewać się najgorszego po nieznanym terenie. No, ale z nimi można walczyć. Z orkami nie mieli żadnych szans.

– Teraz czas powiedzieć coś o wampirach. Ci dzielą się na dwie grupy. Dzikich, którzy są owładnięci żądzą krwi i nie potrafią jej kontrolować, oraz wyższych. Tych pierwszych można spotkać w lesie w nocy praktycznie wszędzie. Atakują wszystkie żywe istoty i raczej są głupie. Kierują się instynktem. Z wampirami wyższymi sprawa jest bardziej skomplikowana. Właściwie nikomu nie udało się przeżyć spotkania z nimi. Są piekielnie inteligentne, silne i szybkie. Na szczęście jest ich niewiele. Ich plany są nam nieznane. Krążą plotki, że dowodzi nimi wielki lord, który żyje setki, a może nawet tysiące lat. Ponoć widział, jak bogowie przędą nici losu. Obawiam się, że jego cel to zapanowanie nad światem. Wiadomo też, że doskonale włada magią.

– Teraz wszystko rozumiem – odpowiedział młody żołnierz. Na jego twarzy widać było skupienie i zakłopotanie. – Jak możemy przetrwać w takim świecie? – zapytał.

– Nie wiem – otrzymał odpowiedź. – Musimy zrobić wszystko to, co potrafimy, jak najlepiej, i modlić się do naszych bogów. Bez ich interwencji już jesteśmy martwi.

Co do tego nie mieli wątpliwości.

Porucznik siedział na kamieniu i obserwował obóz. Jego wzrok przyciągnęła grupa trenujących żołnierzy. Zaczęło się powoli ściemniać. Jakaś grupa, pewnie myśliwych, przyniosła coś w rodzaju dzików. Chłopak pomyślał, że ta społeczność ma szansę na przetrwanie. Widział, że ludzie, którzy tutaj zostali, są bardzo zdeterminowani. Prawdopodobnie to elitarne grono, które już jakiś czas tutaj przetrwało. Każdy wiedział, co miał robić. Nie spotkał nikogo, kto byłby głodny i spał na ziemi, jak niegdyś było to widać w miastach starego kontynentu.

Wraz z tym, jak postępował mrok, coraz więcej strażników ustawiało się na prowizorycznych murach. Większość z nich dysponowała łukiem lub kuszą. Bełtów raczej nie brakowało. Kilka kobiet cały dzień strugało amunicję. Niestety, nie było metalowych końcówek. Musiały bardzo dobrze zaostrzyć kraniec drewna. Czymś takim niełatwo zabić, no ale zawsze bardzo osłabi i spowolni wroga – pomyślał. Powoli też zaczął czuć zmęczenie wywołane nieprzespaną nocą. Ktoś z zebranych ludzi dał mu kawałek mięsa i chleba. Przyszła pora, żeby to zjeść. Ten posiłek wydawał się najsmaczniejszy, jaki w życiu jadł. Głód zrobił swoje. Kiedy napełnił już żołądek, oparł głowę o jakieś drzewo. Spojrzał w górę i zobaczył liczne gwiazdy. Kiedyś rodzice opowiadali mu o bogach mieszkających tam, bardzo daleko. Ponoć każdy z nich dysponował swoją własną planetą. Spośród wszystkich bóstw, jakie poznał, najbardziej imponowała mu Ekomi. Podziwiał jej niezmierną mądrość. Bardzo chciał, żeby choć trochę z jej niezmiernie wiedzy i inteligencji skapnęło na niego. Wtedy mógłby podejmować lepsze decyzje. Prawdopodobnie jego życie nabrałoby zupełnie innych barw. Leżał w takim błogostanie kilka dłuższych chwil. Potem zamknął oczy.

Z letargu wybudził go dźwięk walenia drewnem o blachę. Najpewniej to alarm. Czym prędzej stanął na równe nogi i chwycił miecz. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył ludzi, którzy w pośpiechu biegną do bramy. Chcą ją utrzymać przed atakiem. Inni wspierają żołnierzy na murach i podają im bełty. Nie chciał pozostać bezczynny. Pewnie to jest moje przeznaczenie, nieustanna walka o przetrwanie – pomyślał. Potem chwycił za miecz i wyruszył w wir walki.

Zjednoczenie sił

Atros chodził po nowo budowanej twierdzy z naczyniem pełnym ziół, które powoli sączył, uprzednio zalewając wodą. Przyglądał się murom pierwszej z pięciu powstałych warowni. Ta była całkiem na zachodzie kontynentu, w sąsiedztwie dwóch, bardzo do siebie podobnych punktów obrony. Charakterystyczne dla nich było podziemne przejście. Miało ono służyć do odwrotu. Sama zaś twierdza została naszpikowana pułapkami. Plan zakładał wykrwawienie wroga i ucieczkę do najbardziej strzeżonego fortu.

To jest jednak krasnoludzka robota – pomyślał mędrzec, patrząc na potężne mury. Miały grubość co najmniej trzech łokci i zostały solidnie umocowane. Ich sforsowanie jest raczej niemożliwe. Najznamienitsi inżynierowie przygotowali nawet kilka dział. Prochu zgromadzonego w magazynach było znacznie więcej, niż przewidywało zapotrzebowanie. Nadmiar miał zostać wysadzony wraz z orkami w środku.

Serca starca radowało się na sam widok zgodnie pracujących przedstawicieli czterech ras. Przyświecał im wspólny cel i zapomnieli o podziałach. Niestety wiedział też, że ta strategia to jeszcze za mało, żeby zatrzymać bestie Menkesa. Demony takie jak khanisy nie mają tutaj prawa bytu, ale potężni orkowie i giganci to zupełnie co innego. Kilku znamienitych elfickich magów obserwowało wody. Na szczęście nie zauważyli nic niepokojącego. Niestety, stare ziemie, opanowane przez demony, pokryte są mroczną mgłą. Nie jest możliwe sprawdzenie, co tam się dzieje.

Atros postanowił sprawdzić sytuację w swojej akademii. Zlecił Lendarowi opiekę nad grupą wybitnie uzdolnionych ludzi. Co ważniejsze, znali oni Hazana, syna Menkesa. Sam kontakt z nim mógł wywołać w nich zmiany. Latorośl mściwego boga musiała dysponować wielką mocą i złą aurą – pomyślał. Nie zwlekając więcej, wsiał na swojego siwego konia i wyruszył w drogę.

Nie wszyscy na tych ziemiach mieli świadomość istnienia akademii Atrosa, która została w magiczny sposób ukryta. I to właśnie dzięki temu zostanie ostatnią linią obrony istot żyjących. Mędrzec dokładnie pamiętał przekazane mu wskazówki. Bardzo dobrze wiedział, co ma robić. Wiedział też, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, znany mu świat przetrwa.

Serwan leniwie wygramolił się z łóżka. Udało mu się wstać na chwilę przed pobudką. Nie jest w stanie stwierdzić, jak długo już tutaj trenują. Wie natomiast bardzo dobrze, że jego umiejętności wzrosły, znacznie wzrosły. Topór na przedramieniu nabrał krwawych barw. Ręce same prosiły się o prawdziwą walkę. Na co dzień zakrywa ów

tataż ochraniaczem – żeby nie prowokować innych oraz za namową Zolteka. Prawdopodobnie to właśnie on walił teraz do drzwi. Chłopak się nie mylił.

– No, dalej, młody, bo śniadanie nam ucieknie! – powiedział Zoltek z wypisanym apetytem na twarzy.

– Już idę!

Jego stary druh zaprzyjaźnił się z krasnoludami. Bogowie jedyni wiedzą, ile oni mogą wypić. W sali ze śniadaniem byli jednymi z pierwszych. Grace i Dora ich wyprzedziły. Kobiety bardzo się zżyły w akademii.

Chwilę potem weszli przyjaciele Zolteka i tyle było go widać. Chłopakowi wydawało się, że z dnia na dzień przybywa do tego miejsca wojowników. Każdy z nich cechował się swoim unikatowym stylem walki. Można by tutaj znaleźć całą galerię różnych szkół bitewnych. Jednak niewielu z nich miało okazję trenować z Lundarem. A jeszcze węższe grono miało okazję ćwiczyć z nim w ukrytej sali. Gdyby nie przypadek i to, że Serwan śledził elfickiego mistrza, nawet by o tym nie wiedział. Miał tylko nadzieję, że pozostał niezauważony. Nie miał pojęcia, co się działo za ukrytymi w szafie drzwiami.

Rutynę śniadania przerwał stukot laski o podłogę.

– Proszę o chwilę ciszy! – wykrzyczał do zebranych Atros.

Wśród tłumu zapanowało zdziwienie. Nieczęsto było widać tutaj mistrza. Prawdopodobnie dlatego, że miał wiele spraw na głowie. Udało mu się zjednoczyć ludy i skłonić je do walki przeciwko wrogowi, którego nikt wcześniej nie widział.

– Przyszedłem tutaj, aby wam powiedzieć, że będziecie stanowili trzon naszej armii. Nadzieję, w którą będą wpatrzone oczy waszych braci – powiedział poważnym tonem.

Jego słowa wzbudziły ciekawość wśród zebranych.

– Nie możecie zawieść! Macie w sobie moc bogów, ona was poniesie! – dodał po chwili.

Te słowa wlały otuchę w ich serca. Sam zaś mędrzec przeszedł się po sali. Idąc, obdarzał swoich wojowników dumnym i zarazem motywującym spojrzeniem. W końcu dotarł do swojego stolika, przy którym zjadł niewielkie śniadanie.

Po posiłku podszedł do grup ocalałych ze starego kontynentu. Przemówił do nich:

– Już ujawniło się wasze przeznaczenie. Teraz otrzymacie swoje dary.

Wtedy uświadomili sobie, że są w innym pomieszczeniu. Takim, którego nigdy dotychczas nie widzieli.

– Najpierw ty, Doro – przemówił Atros.

Kobieta podeszła do starca i skinęła głową.

– Zostałaś wybrana przez Tal'naha. Twoja magia i troskliwe serce będą bronić ludzkości – powiedział, nakładając na nią rękę.

Kobieta poczuła przepływ energii przez jej ciało. W jej sercu zagościł dziwny spokój – to pewnie dar, jaki właśnie otrzymała.

– Ty, Grace, zostałaś zaś wybrana przez Ekomi. Twoje serce jest pełne miłości, co jej zaimponowało – oznajmił.

Kobieta czuła się niezwykle doceniona. Wznosiła modły do tej bogini od dłuższego czasu. Została obdarowana mądrością, jakiej nigdy dotąd nie znała.

– Ty zaś, Zolteku, jesteś wybrańcem Hur’a. To on obdarował cię poczuciem humoru – powiedział Atros z wielkim uśmiechem na ustach.

Zoltek go oczywiście odwzajemnił.

– Masz bardzo ważne zadanie, mój przyjacielu, będziesz musiał dbać o morale drużyny – dodał stary mędrzec. – Ciebie, Funkarze, wybrał sam Nanzal – powiedział Atros do wielkiego wojownika. – Twój oręż będzie wyznaczał sprawiedliwość.

Obdarowanego tą mocą bardzo zdziwił taki obrót spraw. Tym niemniej cieszył się z nowej siły, jaką otrzymał. Poprzysiął w swym sercu wiernie wymierzać sprawiedliwość.

– Na pewno nie zawiodę – wyszeptał.

– Na końcu zostałeś ty, Serwanie, pewnie już wiesz. Oddałeś się Gargonowi, a on cię przyjął – powiedział z wielką dumą.

Widział, że ten bóg jest bardzo wybredny w swoich wyborach. Jego wojownicy musieli być wyjątkowi. Na twarzy Serwana zagościł uśmiech, a w jego sercu duma. Znamię na ramieniu się rozzarzyło do czerwoności, a jego blask prześwitywał przez ochraniacz.

Nie spostrzegli się, kiedy Atros po prostu zniknął. Byli bardzo zachwyceni i przejęci swoimi darami. Każda łaska niesie z sobą zadanie. Każdy z nich musiał być posłuszny swemu nowemu patronowi. Ich dusze zostały oznaczone na wieki. Tak czy inaczej, wiedzieli, że jest to jedyna droga do zwycięstwa.

Atros natomiast wyruszył na swoim koniu, żeby załatwić jeszcze jedną sprawę, zanim dojdzie do ataku na ich ziemię. Ten kontynent był zamieszkiwany przez potężne i starożytne istoty, które spały ukryte w swych terenach. Mowa tutaj o niezrównanych golemach czterech żywiołów. Każdy z nich był wodzem plemienia golemów odpowiadającego danemu żywiołowi.

Nawet tak potężne istoty musiały bać się nadejścia Menkesa. Jego destrukcyjne intencje na pewno ich nie pomijały. Atros wiedział też, że przekonanie tak starych istot nie będzie łatwe. Pozyskanie ich może być kluczowe. Mają one bowiem posłuch u wszystkich magicznych istot, jakie żyją. Właściwie mowa tutaj o dodatkowej armii. Na szczęście udało mu się przekonać wielką czwórkę do zwołania nadzwyczajnej narady.

Atros przybył na umówione miejsce. Była to niewielka polana, otoczona gęstym lasem. Na samej polanie widniał krąg ułożony z kamieni. Było południe, więc słońce mocno świeciło. W powietrzu dało się wyczuć spokojną i błogą atmosferę. Starzec podszedł do kręgu. Podrapał się po długiej brodzie i spojrzał na runy. Znał bardzo dobrze zawarte tutaj symbole.

Khartos – syn ziemi.

Notos – syn wody.

Kores – syn powietrza.

Goner – syn ognia.

Podobno to właśnie z ich mocy została stworzona ziemia. Legendy mówią, że widzieli, jak bogowie przędą nici losu. Bez wątpienia to oni są źródłem magii w tej krainie.

Starzec nie chciał więcej już tracić czasu i zabrał się do pracy. Ułożył wszystkie imiona we właściwej kolejności. Następnie wyjął laskę i wbił w ziemię pośrodku kręgu. Skierował oczy ku niebu i wypowiedział słowa inkantacji. W tym momencie ujrzał wielką kamienną głowę, wynurzającą się z ziemi pod nim. Zaraz potem kamienną rękę, która podźwignęła resztę ciała. Stworzenie było co najmniej dwa razy większe od niego. Sprawiało wrażenie ulepionego z gliny.

Jednocześnie inna sylwetka zaczęła wyłaniać się z niewielkiej trąby powietrznej. Rozmiarem nie odstawała od swojego poprzednika. Jej ciało było natomiast całkowicie przezroczyste. Tylko te zielone oczy wskazywały na jej położenie. W innym miejscu ziemia się rozstała, a z niej wypłynęło źródło. Z wody natomiast ukształtowała się kolejna magiczna postać. Jedno z okolicznych drzew zapłonęło, ale się nie spaliło. Po chwili z ognia wyszedł ostatni z magicznych golemów. Wszyscy stanęli w równym rzędzie przed Atrosem. Każdy z nich miał mniej więcej tak samo duże ciało. I dokładnie te same oczy.

– Dlaczego mącisz nasz sen? – zapytał Goner.

– Ośmieliłem się was przebudzić, ponieważ nadciąga wielkie niebezpieczeństwo – odpowiedział im mędrzec.

– Dlaczego myślisz, że ci pomożemy? – Następne pytanie zadał Notos.

– Bez was, o wielcy, całe życie jest zgubione. Na pewno wyczuwacie zło, jakie przybyło na świat – powiedział do nich Atros, mając najbardziej poważną twarz, na jaką było go stać.

– Naradzimy się, a wtedy damy ci odpowiedź, dzielna istoto – zdecydował Khartos.

Po jego słowach cała czwórka się odsunęła na niewielką odległość. Sam zaś Atros usiadł na kamieniu i się przyglądał. Był przepełniony niepokojem. Wiedział, jak ważną decyzję muszą podjąć te pradawne istoty. Ich wyroki mogły być dla niego nieprzewidywalne.

Siedział około godziny, aż w końcu golemy do niego wróciły. Wstał czym prędzej, żeby przypadkiem ich do siebie nie zrazić. Czekał na ich słowa z sercem w gardle.

– Zaiste, zagrożenie jest wielkie – przemówili. – Staniemy do walki z naszym odwiecznym wrogiem, ramię w ramię z istotami żywymi.

Czas przepowiedni

Atros przez długi czas siedział ukryty w niewielkiej komnacie. Jego zachowanie bardzo niepokoiło lordów zjednoczonych ras. Czekali na niego, spodziewając się wieści. Wiedzieli, że zagrożenie jest realne. Przez długi czas nic się nie działo. Wielu wojowników zaczęło wątpić w armię demonów, a ludzi wzięli za podróżników. Ich historię uznali za próbę wzbudzenia litości. W ten sposób wiedzieli, że będą tutaj bezpieczni. Mury i zasieki zostały wykonane w imponujący sposób. Nie brakowało też zakłęt ochronnych. Potężne działa krasnoludów były skierowane w wody. Każdy statek musiał zatonać pod ich ostrzałem. Zaczęli nawet myśleć o zbudowaniu więcej takich umocnień. Wtedy te przekłete wampiry nie mogłyby ich już tak nękać...

Uczniowie akademii dostali rozkaz specjalny. Musieli być gotowi do drogi w każdym momencie. Oczywiście, wszyscy zastosowali się do wytycznych. Wiedzieli, że niebawem ich umiejętności będą bardzo potrzebne.

Po długiej medytacji Atros w końcu otworzył oczy. Niestety jego mina była pełna zawodu. Liczył na jakieś wskazówki, pomoc od bogów w tym ciężkim dla nich okresie. Jedyne, co spotkał, to milczenie.

Wyszedł z swojej komnaty. Wszystkie oczy skierowały się w jego stronę. Każdy tutaj obecny miał wypisane na twarzy zniecierpliwienie. Mędrzec rozejrzał się dokładnie po sali.

– Czas pokaże – powiedział i wyszedł.

Jego zachowanie wzbudziło jeszcze większy niepokój. Jeden z lordów wyszedł ma mur i rozejrzał się po nowo powstałej twierdzy. Bardzo cieszył się z widoku wszystkich ras pracujących wspólnie w jednym celu. Co prawda, nikt nie pamięta wojen międzyrasowych, jeśli takowe kiedykolwiek miały miejsce. Stosunki raczej ograniczały się do handlu. Natomiast polityka tego krasnoluda polegała na stosunkach międzynarodowych. Chciał w ten sposób pozbyć się zagrożenia z innego kontynentu. Razem mogli tego dokonać.

Serwan wraz z ekipą zebrali się na korytarzu przed swoimi pokojami.

– Jak myślicie, czy Hazan będzie dowodził atakiem? – zapytał Funkar.

– Nie wiem – odpowiedział Serwan. – Nie takiego go znałem.

– A jaki naprawdę był? – zapytała z wielki zaciekawieniem Grace.

– Właściwie to niewiele rozmawialiśmy o przeszłości. Wiem, że świetnie walczył. Razem przeszliśmy szkolenie w królewskim garnizonie. Raz wspominał o swojej miłości z wioski, to pewnie ta biedaczka, którą zabił na naszych oczach – powiedział, przepełniony żalem. – Na pewno było z nim coś nie tak, rozkazywał khanisom. Nie chciało mi się jednak wierzyć, że może być zły.

- Może on został wybrany przez Menkesa – snuł przypuszczenia Zoltek.
 - To całkiem możliwe – zgodzili się wszyscy.
 - Może jest opętany? To niemożliwe, żeby człowiek robił tak straszliwe rzeczy – powiedział Serwan.
 - Na pewno jest silny i trzeba się go obawiać – stwierdziła Dora.
 - Musi być w nim choć odrobina starego Hazana – powiedział młody wojownik. Bardzo wierzył w swojego dawnego przyjaciela. Nie chciał, żeby to właśnie on był jego największym wrogiem.
 - Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – stwierdził Funkar. – Musisz odnaleźć go w bitwie i z nim porozmawiać.
 - Tak, to jedyne wyjście – odpowiedział chłopak.
 - Może, gdy to się stanie, nigdy nie dojdzie do walki? Jeśli to on rozkazuje tym stworom, to może im rozkazać wrócić do otchłani – stwierdziła Dora.
 - To prawda – zgodziła się Grace z uśmiechem na twarzy.
 - Ci orkowie... Myślicie że to zwykła rasa, którą Menkes zniewolił? – spytał Zoltek.
 - Nie wiem. To całkiem możliwe, bardzo różnili się od demonów. Ciekawe jaka jest ich historia – odpowiedział chłopak.
 - Są niezwykle silnie i groźni, zgładzili nasz świat bez wysiłku – powiedział Funkar. Ciarki przeszły po reszcie rozmówców.
 - Oni nie są chyba największym problemem – oznajmił Serwan.
- Wszyscy z zdziwieniem spojrzeli w jego stronę.
- Co masz na myśli? – w końcu spytała Grace.
 - Co jakiś czas w naszej historii przewijali się czciciele Menkesa. Co, jeśli przywołali tutaj złego boga? – wyjaśnił.

Dzień chylił już się ku wieczorowi. W pewnej twierdzy jeden z niziołków przechadzał się ulicami. Do jego niewielkich uszu dobiegł śpiew. Poszedł to sprawdzić. Zastał budynek pełen po brzegi pijanych krasnoludów. Ciekawość wzięła nad nim górę i wszedł do środka. Zobaczył, że przy jednej z ścian jest stolik. Koło niego pełno beczek i ktoś, kto sprzedawał piwo. Śpiewom towarzyszyła muzyka i tańce. Rozbawione krasnoludy nie żałowały sobie niczego. Przy jednym z stolików walczyły na rękę. Wygrany otrzymywał złotą monetę. W innym miejscu rzucały dziwnymi drewnianymi kostkami, które na każdym boku miały wyryty numer. Ten z graczy, który wyrzucił najwięcej, wygrywał od reszty po jednej monecie. I wyraźnie odbywała się tu popijawa na całego. Przybysz, nie myśląc wiele, poszedł skosztować tutejszych trunków.

- Co to za miejsce? – zapytał niziołka za stolikiem.
- Pewien człowiek opowiedział mi, że mieli u siebie sporo takich miejsc. Nazywali je karczmą. Że też wcześniej na to nie wpadliśmy! – odpowiedział.

Serwan ujrzał samotną górę, była bardzo stroma. Nie porastały jej żadne rośliny,

pewnie przez ten okropny upał. Chłopak, nie myśląc wiele, zaczął się wspinać. Była to niezwykle trudna wyprawa. Jego ręce szybko zrobiły się mokre od potu, zaczęły się ślizgać. Ostre skały raniły jego dłonie. Chłopak nie dał za wygraną. Pomimo wielkiego trudu, wydawało mu się, że nie robi postępu. Zamknął oczy i wspinał się dalej. Walczył ze sobą i naturą przez wiele godzin. W końcu udało mu się wejść. Wziął głęboki oddech i rozejrzał się dookoła. Cały krajobraz to była tylko wielka pustynia. Bez jakiegokolwiek życia. Bez jakiegokolwiek rośliny i bez kropli wody. Zupełna pustka. Wtedy spostrzegł tajemniczą postać koło siebie.

– Myślisz, że wejście tutaj było trudne? – spytał nieznajomy. – To nic przy tym, co czeka cię niebawem. Świat, jaki widzisz, to przeszłość, jeśli zawiedziesz...

Serwan obudził się zlany potem w swoim pokoju. Znamię na jego ręce pulsowało. Wiedział, że sen to znak od Gargona. Nie mógł zawieść. Wyszedł na korytarz, żeby nabrać trochę świeżego powietrza.

– Co robisz tutaj w środku nocy? – zapytał Grace, siedzącą pod drzwiami.

– Miałam dziwny sen – odpowiedziała.

– Naprawdę? Odpowiedz mi o nim! – powiedział ciekawy jej wizji.

– Byłam w ciemnym pomieszczeniu z bardzo dużym lustrem. Na środku stał stół z jakimiś dziwnymi figurkami. Do pomieszczenia weszła kobieta, ubrana w piękną suknię, zakrywającą starannie całe ciało. Na twarzy miała maskę. Powiedziała mi, że te figurki to wojownicy. Ostrzegła mnie, że tylko najsprytniejsza strategia pozwoli nam wygrać wojnę. Kazała wyteńczyć umysł, ale nie dała mi żadnej jasnej wskazówki. Chwilę potem pokazała bezkresną pustynię w wielkim upale. Za pustynią zaś bezkresny mrok. Zagroziła, że jeśli zawiodę, taki los czeka naszą planetę – wyjaśniła.

– Miałem bardzo podobny sen – wyjaśnił Serwan i usiadł koło kobiety. Grace oparła głowę na jego ramieniu.

– Proszę, powiedz mi, że wszystko będzie dobrze – poprosiła szeptem.

Chłopak poczuł przyływ dumy.

– Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Mamy bogów po swojej stronie. Na pewno wygramy – pocieszył towarzyszkę.

– A jeśli nam się uda odeprzeć ich atak, to co potem? – zapytała.

– Potem zabiorę cię do najbezpieczniejszej krainy na świecie, będziemy uprawiać ziemię i żyć w spokoju – oznajmił.

Oboje wiedzieli, że to nie leży w ich naturze, choć taki los jest bardzo kuszący. Czy taka przyszłość w ogóle możliwa?

Atros pozostał w swojej komnacie w akademii. Tej nocy ogarnął go wyjątkowy niepokój. Od dawna tak się nie czuł. Miał dziwne przeczucie, że niedługo wydarzy się coś wielkiego. W pewnej chwili nie wytrzymał. Wstał z łóżka i chciał jak najszybciej

odwiedzić obserwatorów. Gdy tylko wyszedł z akademii, dostał od nich sygnał alarmowy. Popędził na koniu co sił w kopytach.

– Co się dzieje? – zapytał mędrzec i wpadł do komnaty magów.

– Od północy ciągnie do nas dziwna flota – oznajmił jeden z nich.

– Nie wyczuwamy od nich żadnej aury – dodał następny.

– Od północy i bez aury? – spytał Atros. – To na pewno nie mogą być siły Menkesa! Znając jego naturę, spotęgowałby swoją złowrogą aurę i siał postrach przed swoim przybyciem.

Mędrzec wszedł na dach i spojrział przez magiczną lunetę. Faktycznie, flota jest, ale aury brak. Po dogłębnym zbadaniu sprawy dostrzegł, o co tutaj chodzi.

– To wampiry, bardzo liczne. Na pewno są z nimi wampiry wyższe, one ich magicznie ukrywają. Pewnie będą tutaj rano – oznajmił. – Do diabła, akurat teraz! – zaklął pod nosem.

Powinni sobie z nimi poradzić, ale na pewno nie bez strat. Utrata morale to ostatnie, czego potrzebowali. Wyruszył jak najszybciej, by podnieść alarm.

Dowódcy wojska wydali rozkazy do przegrupowania armii. Wojownicy z akademii również dołączyli. Główne siły zebrały się w północnej twierdzy, bardzo blisko planowanego przybycia wrogów z sąsiedniego kontynentu. Krasnoludzkie działa zostały ustawione, ale zasięg jeszcze nie pozwalał na wystrzał.

Wojska stały w gotowości. Gorzałka dodawała otuchy niewprawionym wojakom. Natomiast dla krasnoludów była niczym woda. Nie potrafili pić niczego innego niż wódka i piwo. Całe wojska były w pełni zmotywowane. Atros stał na ich czele, z murów obserwował wody. Od twierdzy do plaży było może z pięćset kroków. Dzięki temu wpłynięcie wrogiego statku było niemalże niemożliwe.

Powoli wrogie okręty pojawiały się na horyzoncie. Wampirza magia dodawała im nadnaturalnej prędkości. Inżynierowie czekali tylko na rozkaz od dowódców. Łucznicy i kusznicy trzymali broń w pogotowiu. Stukot stali rozbrzmiewał echem po całej okolicy. Pomimo że zbliżał się poranek, słońce nie miało zamiaru wschodzić.

Ten fakt nieco zaniepokoił Atrosa. Nie wiedział, że wampiry miały aż taką moc. Ta walka mogła okazać się trudniejsza, niż sądził. Tak czy inaczej, nie miał wyboru. Musiał bronić się najlepiej, jak potrafił. Nie mógł też pokazać wszystkich asów ani ponieść za dużych strat. Orkowie też mają zamiar tutaj zawitać...

Cała twierdza zamarła w oczekiwaniu. Naliczyli co najmniej trzydzieści wielkich statków wroga. Coraz więcej pojawiało się na horyzoncie. Noc była bardzo ponura. Nawet księżyc nie świecił, prawdopodobnie za sprawą gęstych chmur.

Serwan, Funkar, Zoltek oraz Grace stali ramię w ramię. Dora pozostała w tyle, żeby rzucać zaklęcia ochronne. Stali na czele oddziału z akademii. Koło nich było wielu znamienitych wojowników innych ras. Widzieli ich na treningach i znali możliwości towarzyszy.

– To jest twoja pierwsza bitwa, co? – spytał Funkar.

– Zgadza się – odpowiedział Serwan, nie spuszczać wzroku z bramy.

– Twoja sytuacja jest podobna? – powiedział Zoltek do Grace.

Dziewczyna tylko skinęła głową.

– Nie boicie się? – zapytał kąśliwie Funkar.

Chłopak odpowiedział mu lekkim uśmiechem. Stali w równym szeregu, uzbrojeni po zęby, co mogło budzić pewność siebie.

Po niedługiej chwili usłyszeli huk armat.

– Zaczęło się! – powiedział z uśmiechem Serwan.

Atros bacznie obserwował wroga. Kule z armat leciały znacznie dalej, niż zakładano podczas przygotowań. Krasnoludzka robota zawsze pozytywnie zaskakuje. Zaskoczenie też pojawiło się na jego twarzy, gdy spostrzegł, że kule odbijają się od statków. Nie wyrządzało im to nawet najmniejszej krzywdy.

– Przeklęte bestie, jakiej magii mają zamiar przeciwko nam użyć? – klął pod nosem.

Teraz wiedział, że nie ma co się lękać. Na pewno dojdzie do otwartej walki.

– Zaryglować bramy! Łuki i kusze w gotowości! – wydał rozkazy.

Podparł się na swojej lasce i obserwował wroga. Statki, jakby nigdy nic, dobiły do brzegu. Zaczęły wbiegać z nich hordy dzikich. Takich ilości Atros jeszcze nie wiedział. Często atakowali ich tutaj, ale nigdy tak licznie. Wtedy przeszył go lekki ból głowy – to wiadomość od obserwatorów. Zamknął oczy, żeby się w nią wsłuchać.

„Od zachodu ciągnie do nas mroczna armia na czarnych stadach. Spowija ją czarna mgła i niespotykane wroga aura”. Niech to szlag, to na pewno Menkes – pomyślał starzec. Wytężył swoje zmysły, jak tylko potrafił. Dołożył do tego tyle magii, na ile było go stać, i dostrzegł to, czego zobaczyć nigdy nie chciał...